

STRONNICY RUBCOWA VEL GONZÁLEZA

**Jak przeciwnicy PiS
bronili rosyjskiego szpiega**



**Marek Jurek doradza
zawarcie teraz koalicji
PSL-PiS-Konfederacja**

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 33/591 12-18 SIERPNIA 2024
CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY



WAKACYJNY ALFABET ROZRYWKI
PIOTRA GOŃKA

**Zapanelowani! - Polska znika
pod polami przykrytymi
panelami fotowoltaicznymi**

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
3 3 >
9 1772299 850001
Nakład: 46 800 egzemplarzy

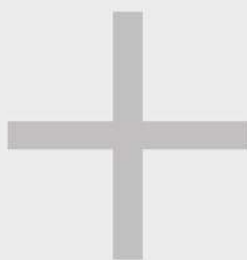
Polski gang Olsena

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY I MIESIĘCZNIKA HISTORIA DO RZECZY



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER:

**„W STEPIE SZEROKIM. PODRÓŻ
PO UKRAIŃSKICH KRESACH”**

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA



~~1363~~ ZŁ

424,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 939 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 4f778cf24c

Nowa wokeistowska Ameryka



PAWEŁ LISICKI

Wnie tak całkiem odległych czasach, bo jeszcze na początku XXI w., wszystko wydawało się jasne. Amerykańska armia była najlepsza na świecie, USA stały na straży wolności i praw człowieka, a kapitalistyczne firmy zajmowały się pomnażaniem zysku, nie biorąc udziału w walkach ideologicznych i politycznych. Dlatego trudno było mieć wątpliwości, że Polsce służy strategiczny sojusz z Waszyngtonem, bo zapewniał on realizację najważniejszego celu politycznego, którym była ochrona polskiej suwerenności i tożsamości kulturowej oraz cywilizacyjnej.

Podobnie było rzeczą jasną, że przynależność do NATO stanowi swego rodzaju gwarancję bezpieczeństwa w przypadku zewnętrznej agresji. Ileż to razy w związku z tym słyszałem, że niezależnie od tego, kto będzie rządził w Waszyngtonie – demokraci czy republikanie – nie będzie to miało wpływu na strategiczny sojusz z Ameryką! Wynikało z tego, że Polska powinna być zainteresowana zwiększeniem amerykańskiej obecności militarnej i kapitałowej w każdych warunkach i okolicznościach. Dzisiaj pojawia się coraz więcej informacji, które ten dogmat polskiej polityki kwestionują.

Kluczowym czynnikiem jest tocząca Amerykę, a co za tym – idzie cały Zachód, choroba, czyli ideologia wokeizmu. Można ją różnie opisywać. Jej najważniejszymi przejawami są genderyzm (lub teoria queer), imigracjonizm (a więc negacja własnej kultury i rozdęty do granic szaleństwa antyrasizm) i klimatyzm. Wokeizm – najkrócej mówiąc – to nowe wcielenie marksizmu, z domieszką freudyizmu. Wokersi, a więc obudzeni, są przekonani, że cały świat odziedziczonych relacji społecznych i międzyludzkich naznaczony jest niesprawiedliwością. Trzeba zatem dokonać przewrotu. Novum

polega na tym, że ideologia ta, choć pierwotnie zagnieżdżyła się na amerykańskich uniwersytetach, wspierana jest obecnie przez globalne korporacje. Szybki podbój przez wokeizm wszystkich sfer życia Zachodu powinien dać polskim elitom, przynajmniej tym, które odwołują się do kategorii interesu narodowego i państwa narodowego, dużo do myślenia. Gdyby bowiem okazało się, że ów nowy radykalizm wygra ostatecznie, co może się stać choćby za sprawą zwycięstwa wyborczego Kamali Harris, trudno sobie wyobrazić, jak Polska miałaby zachować własne bezpieczeństwo kulturowe.

Nie przesadzam. Amerykańska armia już od lat jest w coraz większym stopniu zainfekowana wokeizmem, czego najbardziej spektakularnymi dowodami były pojawienie się w wojsku tęczowych politruków oraz opowieści Joe Bidena o tęczowych oddziałach. Swego rodzaju symbolicznym ostrzeżeniem przed tym, co nas czeka, jest dymisja polskiego generała Artura Jakubczyka. Oficer jest jednym z ośmiu polskich generałów w strukturach NATO. Według różnych przecieków dowództwo NATO ma mu zarzucać „zachowania rasistowskie i homofobiczne”, co prowadzi do jego dymisji.

Nie wiem, czy cała ta sprawa jest, na co wiele wskazuje, czy nie jest intrygą rządu Tuska, który próbuje pozbyć się oficerów desygnowanych do NATO przez poprzedni gabinet. Wiem jednak, że zarzuty „homofobii i rasizmu”, mimo że na pierwszy rzut oka brzmią niedorzecznie, doskonale mieszczą się w wokeistowskim żargonie. Tak, można być pewnym, że w przypadku zwycięstwa kandydatów demokratów neomarksistowska ideologia będzie narzucana sojusznikom, w tym polskiej, z coraz większą mocą.

Innym znakiem tego, co będzie się działo, jest decyzja niemiec-

kiej sieci sklepów drogerijnych Rossmann, która to ogłosiła bojkot Tesli, firmy Elona Muska. Powodem jest to, że Musk wspiera Donalda Trumpa. Jest to szokujący wręcz przykład zideologizowania i upolitycznienia wielkich, zachodnich, nie tylko amerykańskich, korporacji. Trudno jednak się dziwić. Od lat największe z nich systematycznie przecież angażowały się w organizację i wsparcie tzw. parad równości, a więc w swego rodzaju publiczną manifestację wsparcia dla wynaturzeń.

Trzecim wreszcie znakiem ostrzegawczym powinien być wybór na kandydata na wiceprezydenta USA Timothy'ego Walza, gubernatora Minnesoty. Jeśli to w ogóle możliwe, to jest on nie mniej radykalny niż kandydatka demokratów. Dość powiedzieć, że w Minnesocie obowiązuje prawo do całkowitej wolnej i nieskrępowanej aborcji, czyli zabijania dzieci w łonie matki, do... chwili ich narodzin dziewięć miesięcy po poczęciu. Podobnie Walz wspiera wszystkie najbardziej radykalne pomysły genderystów i zwolenników tzw. krytycznej teorii rasy.

O różnych ideologicznych osobliwościach pary Harris-Walz mógłbym napisać znacznie więcej. Nie chodzi jednak teraz o to, by zajmować się analizą ich szans wyborczych i pytaniem o to, jak neomarksistowskie radykałowie przejęli kontrolę nad partią demokratyczną. Dość powiedzieć, że przejęli i że ma to rosnący wpływ także na politykę zagraniczną i relację między USA i jej sojusznikami, uważając oni bowiem krzewienie wokeizmu na świecie za swój obowiązek. Nie mogę więc zrozumieć, dlaczego do ogółu, także prawicowych polskich komentatorów, to nie dociera. Dlaczego wolą pozostawać w stanie błogiej drzemki, powtarzając dawne slogany o „zawsze dla Polski korzystnej obecności amerykańskiej”. ©



TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KLAWO JAK CHOLERA, DONALD
Nieudacznicy przy władzy

KRAJ

20 PIOTR SEMKA
WATYKAŃSKA MGŁA – POLSKA MGŁA
Zmiany personalne w Kościele w Polsce

23 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
JAK PRZECIWNICY PIS BRONILI
ROSYJSKIEGO SZPIEGA

26 ROZMOWA
Z O. DR. KRZYSZTOFEM WENDLIKIEM
W DRODZE DO MARYI

28 JERZY KARWELIS
COVID-19 WEDŁUG NIK

30 ŁUKASZ ZBORALSKI
ZAKRĘCENI NA RONDACH

KULTURA

32 ROZMOWA Z PROF. MACIEJEM URBANOWSKIM
REMBEK NIE KRZEPI.
REMBEK NIEPOKOI!
Pisarz zatrzymany w locie

35 PIOTR GOCIEK
WAKACYJNY ALFABET ROZRYWKI

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 MAREK JUREK
ZDAŻYĆ PRZED TUSKIEM
Koalicja PSL-PiS-Konfederacja. Teraz

46 ŁUKASZ WARZECHA
WIELKA BRYTANIA PŁONIE

49 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
ARSZENIK I NOWE PORZĄDKI

50 ROZMOWA Z SAVERIEM GAETĄ
TRZECIA TAJEMNICA FATIMSKA.
CZY ZNAMY JĄ W CAŁOŚCI?

HISTORIA

52 JERZY MIZIOŁEK
POLSKIE KŁOPOTY Z CUDEM NAD WISŁĄ
Pamięć potrzebuje pomocy

56 ADAM ZUBEK
NAJCUDOWNIEJSZY TWÓR

ŚWIAT

58 WITOLD REPETOWICZ
IRAŃSKA ODWILŻ?
Jaką politykę będzie prowadził Masud Pezeszkian

62 MACIEJ PIECZYŃSKI
ŻYCIE POD OKUPACJĄ

66 ROZMOWA Z PPŁK. MATTHEW LOHMEIEREM
ZAINFEKOWANE WOJSKA USA

EKONOMIA



70 TOMASZ CUKIERNIK
ZAPANELOWANI
Ekologiczna energia kontra przyroda i człowiek

WAKACJE Z „DO RZECZY”

74 JACEK PAŁKIEWICZ
PODRÓŻE W CZERWCU I DZIŚ

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacke Przybylski** (i sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (i sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:

Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETNIŚCI:

Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Cośic (*Bruska*),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarniecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek,
Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (*Rzym*),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz,
Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torzański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieroniewicz,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: Karol Gac z zespołem: Zuzanna Dąbrowska-
Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin
Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid
Sienkowski, Łukasz Żygadlo

STUDIO GRAFICZNE: Wojciech Niedziello (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Tański (skład), Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
Fotoredakcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk
Korekta: Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,
Agata Błaszczak-Stefaniak

RYSONOWICZ: Andrzej Krauze, Cezary Krystopa
Okładka: TWP/PAP, Rafał Guz (x2)/PAP, Radek Pietruszka/PAP;
oprac. graf. Sunday/JAN

WYDAWCA: Orle Pióro SA

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro SA:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: Piotr Pech tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzecki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

Druk: Walstead Starachowice

PRENUMERATA WYDAWNICZA:

Joanna Gosek, Joanna Nowakowska

+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00

e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:

Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88

e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl

Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczta.pl

www.poczta.pl/prenumerata#prasa

GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl

Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500

Nr indeksu 288 829 Nakład: 46 800 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena
detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adjustacji
tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Pawłowi Lisickiemu

w tak trudnym dla niego momencie
wyraży najgłębszego,
przepętnionego bólem współczucia i żalu
z powodu śmierci Ojca



Bronisława Lisickiego

składają wydawca oraz przyjaciele
z tygodnika „Do Rzeczy”,
miesięcznika „Historia Do Rzeczy”
i portalu Dorzeczy.pl

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa
listy i e-maile. Przypominamy, by
korespondencję elektroniczną
kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Buty będą miały cyfrowe paszporty”, rozmowa z Karolem Kudrą, „DRz” nr 31/2024

Szanowna Redakcjo,
z zainteresowaniem przeczytałem
rozmowę red. Cukiernika z prezesem
PGPO K. Kudrą w nr. 31/2024. Sądzę, że
z przedstawionym punktem widzenia
zgodzi się 99,99 proc. przedsiębiorców
próbujących wyprodukować coś (i jesz-
cze na tym zarobić!) w Polsce. Chodzi
mi głównie o nieuczciwą konkurencję
z importowaną taniochą – kiepskie
materiały i niewolnicza siła robocza
przy naszym cywilizowanym rynku pracy
i gąszczu wymagań co do produktów
sq, nie przymierzając, jak transwestyta

rywalizujący w damskich konkurencjach.
Moim zdaniem winą leży w znacznej mie-
rze w niskiej świadomości konsumentów,
a być może w wypieraniu przez nich tego,
iż tak niska cena czegoś, co przyjechało
z drugiego końca świata (i jeszcze parę
osób po drodze na tym zarobiło!), nie
może być uczciwa, porównując ją z ceną
krajowego odpowiednika produktu.
Marzeniem moim jest, by w procesie doj-
rzewania naszego społeczeństwa istotne
miejsce zajął patriotyzm gospodarczy
i pojawiła się świadomość, że warto
sięgnąć głębiej do kieszeni i mieć może
mniej rzeczy, ale za to porządných, a nie
obkładać się śmieciami i jednorazówkami.
Na początek proponuję, by za każdym
zakupem wyskakiwał komunikat: „Wła-
śnie dołożyłeś się do budowy potęgi Chin,
państwa komunistycznego, które trzyma
ludzi w obozach koncentracyjnych i chce
zapanować nad światem”.

Pozdrawiam serdecznie
wszystkich świadomych konsumentów
Albert Golec

NA PIERWSZY OGIEŃ

Pooburzaliśmy się. I co z tego?



PIOTR SEMKA

Od dwóch tygodni trwa ofensywa obrońców kontrowersyjnych zawodniczek boksu na olimpiadzie – Imane Khelif z Algierii i Lin Yu-ting z Tajwanu. Od wielu dni czytamy pouczenia, że nie są to osoby transpłciowe. Że internauci wykazują się nieuctwem. Dyskredytowane są też testy Międzynarodowej Federacji Boks (IBA), które miały świadczyć o tym, że osoby te nie powinny walczyć z kobietami. Obie zawodniczki wykluczono z mistrzostw świata w 2023 r. w New Delhi, ponieważ nie zdały testu mającego na celu ustalenie płci. (Używam słowa zawodniczki z premedytacją, bo nie lubię kpinkowania, określeń typu babochłopy itd. Z drugiej strony widać ewidentnie, że osoby takie są znacznie silniejsze i bardziej męsko zbudowane niż przeciętne kobiety).

Fakt ten nie robi zbyt dużego wrażenia na obrońcach kontrowersyjnych zawodniczek. Bardziej bojuwi wykpiwają wszelką dyskusję na ten temat, nazywając ją „grzebaniem w majtkach zawodniczek”. Argumentują, że wszystkie dowody

posiada tylko IBA, która ma być w naturalny sposób zainteresowana w utrzymywaniu swojej wersji orzeczeń niekorzystnych dla obu zawodniczek. Wszystko to okrasza jest sugestiami, że federacja znajduje się pod wpływem Rosji, która używa politycznej propagandy transfobicznej do własnych celów.

Mniej bojowi obrońcy obu zawodniczek przyznają, że są jakieś problemy, gotowi są nawet uznać, że trzeba się nad nimi pochylić, ale przede wszystkim podkreślają, że temat ten wymaga ogromnego szacunku dla tych, którzy zmagają się z dysforią płciową. Przypominają, że problemy takie są przyczyną ogromnych cierpień osób, którym przypadł taki los. Wszystko kończy określone ogólnikowe zdanie, że debata na ten temat trwa i że ważny jest szacunek dla wartości zarówno osób interpłciowych, jak i transfobicznych, tak samo jak zasada równych szans w pojedynkach bokserskich.

Problem w tym, że takie unikowe sentencje niewiele zmieniają. Władze Międzynarodowego Komitetu

tetu Olimpijskiego wyżej stawiają argumenty obrońców zawodniczek niż tych, którzy uważają, że wypacza to zasady równych szans w sporcie. A Algierska Federacja Olimpijska dodatkowo grzmi, że wszelkie negocjowanie praw ich zawodniczek to neokolonializm i próba szykanowania państw arabskich.

Wszystko to jest kpiną ze zdroworozsądkowej obserwacji zwykłych ludzi. Kibice nie są specjalistami od problemów z tożsamością płciową, ale doskonale widzą, jak osoby przypominające rosnących mężczyzn tkwią zawodniczki o kobiecej sylwetce. Ale MKOl się nie cofnie i na razie nic się nie zmienia.

Aż przyjdzie kolejna olimpiada i wszystko się powtórzy. Znowu zwykli ludzie nie będą mogli patrzeć, jak roślejsza zawodniczka będzie okładać słabszą koleżankę. I znowu ci sami mentorzy na nowo ogłoszą, że prostytutki mają pokornie milczeć. Tak można bawić się latami. A to, że zwykły ludzki rozsądek będzie rozchodzić się z ideologią LGBT, bonzów z MKOl nie obejdzie. Przecież kraina ułudy jest o wiele atrakcyjniejsza. ©©

ZŁOTO, BRĄZ I REKORDY ŚWIATA

Na igrzyskach w Paryżu w ubiegłym tygodniu reprezentanci Polski zdobyli kolejne medale. Natalia Mirosław pobiła dwa rekordy świata oraz zdobyła złoty medal. Na podium z nią stanęła druga Polka – Aleksandra Kałucka, która zdobyła brąz. Do zamknięcia tego numeru „Do Rzeczy” wiadomo było już, że polscy siatkarze mają co najmniej srebro (awansowali do finału) i taki sam medal miała już zapewniony pięciarka Julia Szeremeta (także awans do finału). (luz) ©©



FOT. MICHAEL REAMES/GETTY IMAGES



FOT. ROBERT CAROŹŃSKI

Ważna wiadomość dla tych, którzy emocjonują się meczem PiS kontra Państwowa Komisja Wyborcza. Emocje dotyczą pytania: „Odbiorą subwencję czy jej nie odbiorą?”. Informujemy, że nie ma się czym emocjonować. Z naszych informacji wynika, że stosunek głosów w PKW wynosi obecnie 5:4 przeciw PiS. Więc zabiorą. Dyskusja dotyczy tylko pytania: „Ile?”.

W związku z powyższym nasze info o rychłym powstaniu Funduszu Obrony PiS, czy jak tam ta zrzuta będzie się nazywać, nabiera realnej realności. Niestety, niektórzy członkowie partii reagują z małym entuzjazmem. Jeden z nich miał nawet wypalić do członka władz głównych: „Jak to? To tamci nakradli, a my mamy płacić?”.

Zmiany, zmiany. Jesienią kongres PiS. I to jeszcze zanim nadejdzie listopad – mówią wiewiórki. No i opowiadają też, że będą nowi wiceprezesi partii. Łączyć ich ma jedno: młodość, aby pokazać, że PiS się zmienia. Zmienia, ale w granicach rozsądku, gdyż zmiany prezesa nikt nie planuje, rzecz jasna.

Powinniśmy właściwie używać nazwy „wielki kongres zjednoczeniowy”, bo dojdzie na nim do połączenia Suwerennej Polski z PiS. Czyli do powrotu utraconych ziem do macierzy. W związku z powyższym mamy ważną informację: tak, jeden z nowych wiceprezesów PiS będzie z Suwerennej Polski.

Nie zapadła jeszcze decyzja, czy na kongresie zostanie ogłoszone nazwisko kandydata PiS na prezydenta. Jest to rozwiązanie brane pod uwagę. Podobnie jak rozwiązanie już sprawdzone – to znaczy, że prezes będzie 11 listopada w Krakowie i podczas manifestacji niepodległościowej nazwisko ogłosi.

Apropos kandydatów na kandydata – karierę w PiS robi hasło „BBN”. Ale nie chodzi o Biuro Bezpieczeństwa Narodowego, lecz o nazwiska Tobiasz Bocheński, Zbigniew Bogucki i Karol Nawrocki. Ten ostatni to najświeższy pomysł w rozważaniach. I my to rozumiemy: kierowany przez niego IPN to jeden

z ostatnich kawałków wolnej Polski, bo nie udało się go zagarnąć Platformie.

Skoro o Nawrockim: nasze wiewiórki wypatrzyły prezesa IPN na jednym z basenów. Okazało się, że szef Instytutu jest dość intensywnie wydzierany w treści religijno-patriotyczne. Na piersiach ma napis: „Panie, nie jestem godzien, ale rzeknij tylko słowo, a będzie uzdrowiona dusza moja”. Nie jesteśmy specjalnymi entuzjastami dziarania, ale wedle naszej wiewiórki dziary Nawrockiego są znacznie estetyczniejsze niż dziary niejakiego Józefaciuka.

Tymczasem w europarlamencie. W sumie nic, bo wakacje. Nawet urzędnicy na maile nie odpowiadają. Trwa jednak proces wymiany starych europejów na nowych. I teraz to, co najpiękniejsze: na bramkach PE w Brukseli minęła się zwierzyna z myśliwym. W roli zwierzyny występował Włodek Karpiński, którego kiedyś wypuszczono z aresztu, by na kilka miesięcy objął funkcję europosła. W roli myśliwego Mariusz Krwawy Kamiński, który doprowadził do umieszczenia Włodka w areszcie. A tak przy okazji: – Panie Bodnar, czy ma Pan świadomość, że Włodek nie chroni już żaden immunitet? No więc ten, teges, kiedy wróci do celu?

Dplomacja. Jak wiadomo, zmiany przeprowadzane przez Lepszą Zmianę mają na celu poprawienie pozycji Polski w świecie. Już opowiadamy, jak wygląda to w praktyce – na przykładzie Islandii. Otóż odwołany

w lipcowej fali wzmożenia tamtejszy polski ambasador był jednocześnie ambasadorem o najdłuższym stażu, czyli tzw. dziekanem Korpusu Dyplomatycznego. Z tej racji miał wygłosić przemówienie podczas uroczystości ku czci duńskiej królowej Małgorzaty II (monarchini niedawno abdykowała). Niestety, został odwołany, więc przemówienie przypadło ambasadorowi Kanady. Mamy w związku z tym hasło dla PeŁo: „Make Canada Great Again”.

Media. Jak wiadomo, TV Republika inwestuje w nową siedzibę. Będą to dwa piętra w Błękitnym Wieżowcu na placu Bankowym w Warszawie. W miejscu tym już kiedyś znajdowało się ważne prawicowe medium. Otóż 30 lat temu była tam siedziba Radia Wawa należącego wówczas do Wojciecha Reszczyńskiego. Ale potem radio wyprowadziło się na Nowolipki. Z zadowoleniem przyjmujemy to, że prawica powraca do Błękitnego Wieżowca, i widzimy w tym zapowiedź nowych, lepszych czasów.

Ze świata sztuki. Jak wiadomo, jeden z panów G. studiował na uczelni zwanej obecnie Akademią Teatralną. Ma więc okazałe znajomości w kręgach aktorskich. Jakież było jego zdumienie, kiedy spotkał kumpla aktora, który wyznał, że „za PiS było lepiej!”. Dodajmy, że ów aktor, jak większość środowiska, nie uchodził nigdy za admiratora prawicy. Wręcz przeciwnie. Co wywołało nagły sentyment do PiS? Postawa TVP. – Nie dość, że prawie cała produkcja telewizyjna stanęła, to jeszcze przestali wypłacać tantiemy za powtórki – oznajmił.

Ten sam kolega aktor podzielił się jeszcze jedną ploteczką. Wśród artystów krąży hiobowa wieść, że resort finansów szuka dochodów i zaczyna się przyglądać 50-procentowym kosztom uzysku dla artystów. Jak wiadomo, ten przywilej został za PeŁo odebrany twórcom, a przywrócił go znieprawdowany przez nich PiS. Teraz miałby znów zostać zabrany, w ramach walki z „PiS-owskim rozdawnictwem”. Nie mamy wątpliwości, że nie zmieniłoby to w najmniejszym stopniu preferencji wyborczych środowiska. Wszak – jak mawiał klasyk – od dziennikarzy głupszy są tylko aktorzy. ©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Taśma prawdy

Zbigniew Stonoga cieszy się, w pełni zasłużenie, taką reputacją, że jeśli gdzieś ogłosi, iż stolicą Polski jest Warszawa, to każdy normalny człowiek na wszelki wypadek trzy razy to sprawdzi. Łatwość, z którą liczne „poważne” osoby, w tym kilku prominentnych dziennikarzy obozu rządzącego oraz osławiona prokurator Wrzosek, podchwyciły opublikowaną przez kogoś takiego taśmę z rzekomego kolegium Kanału Zero, kompromituje je kompletnie. Obsesyjna nienawiść odbiera rozum – tak jak zjadłby antysemita, usłyszawszy, że „cztery tysiące Żydów nie przyszło do WTC”, nie pyta, skąd ta sensacja, bo po prostu chce w nią wierzyć, tak samo zjadłby wrogowie PiS, zazdrośni o sukces

Stanowskiego, którego nikt do tego sukcesu nie namaścił i nie dał mu prawa sprawować „rządu dusz”, uwierzyli z punktu, bo im pasowało, choćby było od Stonogi. Kanał Zero to w rzeczywistości Kanał Ziobro – tak! Od zawsze to podejrzewałem, że Stanowski to PiS!

Taśma okazała się trollingiem samego Stanowskiego. Wystarczyło minimum krytycyzmu, by natychmiast wyłapać, że rzekome kolegium rozmawia o sprawach, które działy się w różnych dniach, że taka rozmowa była po prostu niemożliwa. Ale krytycyzmu zabrakło – patrz wyżej. Teraz wypadałoby zamilknąć, zawstydzić się i zastanowić nad sobą.

Gdzieby tam! Wkręcenie przez Stanowskiego oburzyli się, że

„podważył wiarygodność mediów”, jakby to nie oni sami podważali ją nieustannie. Najbardziej zaś zapiekli w obsesjach podchwycili wyjaśnienie podzruczone przez Elizę Michalik: skoro Stanowski spreprował taką taśmę, to dowód, że ma do ukrycia coś naprawdę grubego. I po to podrzucił fejk Stonodze, żeby osłabić wymowę tej prawdziwej taśmy, tej, której ujawnienia się boi i która prędzej czy później zostanie odkryta przez Romana Giertycha i jego „gwizdacz”.

To wyjaśnienie (moim skromnym, w skali „Mędrców Syjonu” 8/10) koi nerwy wkręconych, a nam daje nadzieję, że za jakiś czas Stanowski swój numer powtórzy – i znowu będzie kupa śmiechu. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Polska jest mniejszością

Polska nie tylko jest kobietą, jest – mniejszością! Nie ma chyba jeszcze aktualnych badań na temat stosunku Polaków do wyborów amerykańskich, ale gdy 20 lat temu wybierano G.W. Busha, międzynarodowe sondaże opinii pokazywały, że z jego zwycięstwa cieszyć się będą w większości jedynie Izraelczycy, Filipińczycy i – Polacy. Podobny efekt wielokrotnie widziałem w Parlamencie Europejskim w sprawach prawa do życia, imigracji i innych. Bardzo często, jako reprezentacja narodowa (a nie ta czy inna partia), głosowaliśmy inaczej niż większość krajów, byliśmy w mniejszości.

W zasadzie nic dziwnego, mimo że jesteśmy największym państwem spośród większości państw Unii Europejskiej, tych, które przystąpiły do Unii już związanej, po Maastricht, po zakończeniu zimnej wojny. Bo właśnie ta większość państw reprezentuje mniejszość mieszkańców Unii i mniejszość w jej instytucjach. A my jesteśmy statystycznym liderem tej mniejszości. W pewnym więc sensie jesteśmy arcy mniejszością! To powinno brzmieć dumnie, szczególnie w Europie opartej na „prawach mniejszości”. Skąd więc tak mało szacunku dla Polski, i to szczególnie właśnie w tym, co stanowi o naszej inności, która mniejszością nas czyni?

Głupie pytanie, prawda? Przecież musi być jakiś porządek! Niespełna dwa lata temu świetnie wyłożył to kanclerz europejskiego porządku, Olaf Scholz, w słynnym artykule o „Zeitenwende”. Należy w Europie „wyeliminować” możliwość sprzeciwu „pojedynczych państw” wobec decyzji podejmowanych w ich imieniu. Bo „szybkie podejmowanie decyzji” za inne państwa to „warunek sukcesu” Europy.

Tak, Polska jest tylko „pojedynczym państwem”, a „pojedynczość”, nawet w sporej grupie, Mniejszością nie czyni. Bo o tym, kto jest Mniejszością, decydują Scholz, von der Leyen i inni. Oczywiście naprawdę Inni, a nie tylko ci, którzy się (niewłaściwie) różnią. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Krzysztof Stanowski chwilę po wystawieniu
pliku z nagraniem Zbigniewowi StomudzePIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Remanent olimpijski

W natłoku doniesień z igrzysk w Paryżu siłą rzeczy nawet najbardziej uważnemu kibicowi musiały umykać wydarzenia piękne, choć poboczne, ale cenne jak zapiski na marginesie inkunabułu. Niech mi więc będzie wolno zaśpiewać wam olimpijski dytyramb na cześć włoskiego szermierza Filippa Macchiego.

Macchi przegrał w finale floretu z Cheungiem Ka Longiem z Hongkongu. Wydawało się, że wszystko idzie po myśli Włocha. Prowadził 14:12. Od złotego medalu dzieliło go jedno trafienie. Ale Chińczyk doprowadził do remisu. O wszystkim miała zdecydować następna akcja: kto trafi, ma złoto. Jednak w dwóch kolejnych akcjach sędziowie po analizie po-

wtórek wideo nie przyznali trafienia żadnemu z szermierzy. Uznali je za jednoczesne. Po trzeciej akcji przyznali je Chińczykowi. Włoski trener podbiegł do sędziów, wrzeszcząc: „Złodzieje! Hańba!”. Nie posiadali się z oburzenia włoscy sprawozdawcy. W studiu TV włoscy fechtmistrzowie, medaliści olimpijscy, darli na sobie szaty i rzucali grubym słowem. Byli zgodni, że każda z trzech ostatnich akcji de facto wygrał Macchi. „La Gazzetta dello Sport”, największy dziennik sportowy Europy, poświęciła sprawie kilka bitych stron. Włoscy internauci doszli do wniosku, że był to spisek skośnokich, bo pojedynek sędziowali Azjaci.

Najbardziej zainteresowany Filippo Macchi odpowiedział długim wpisem na platformie X,

który powinien trafić do kronik olimpijskiego fair play:

„Nie wiem, od czego zacząć. Czytam, że zostałem okradziony. A ja jestem szczęśliwy. Mam dopiero 22 lata, wspaniałą rodzinę, przyjaciół i dziewczynę, dla której nie mam słów zachwyty. Robię to, co kocham. Jestem szermierzem. Na najważniejszym turnieju świata zdobyłem srebrny medal. Uprawiając szermierkę, nauczyłem się jednego: decyzje sędziów trzeba respektować. Zawsze. Znam ich obu. Nie śmiałbym obwiniać ich i szukać w ten sposób alibi dla mojej porażki i dla moich błędów”.

Miał na myśli to, że prowadził 14:12 i nie potrafił zadać zwycięskiego trafienia. Chapeau bas! ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZWYCIĘSTWA DZIĘKI BOGU

Novak Djoković dokonał tego, o czym marzył. Tenisowy mistrz, który nigdy jeszcze nie zdobył olimpijskiego mistrzostwa, sięgnął po złoty medal w Paryżu, pokonując w niesamowitym meczu Carlosa Alcaraza z Hiszpanii.

Po zwycięstwie, klęcząc na korcie, uczynił znak krzyża i wielokrotnie dziękował Bogu za sukces. Widać było, jak podnosi ręce do nieba i powtarza: „Bóg jest wielki”. Serb znany jest ze swojego głębokiego przywiązania do prawosławia.

Przykład dała też Tatjana Smith, południowoafrykańska pływaczka, która zdobyła srebrny medal na 200 m stylem klasycznym. Po zwycięstwie w konkurencji na 100 m pokazała się w koszulce z napisem dziękującym Bogu, Jezusowi i Duchowi Świętemu. Miała też na niej napis „Ze względu na Ciebie, dla Ciebie”. Na ceremonię medalową przyszła z kolczykami, na których zawieszane były krzyżyki.

O brązowy medal w judo w Paryżu starły się Brazylijka Larissa Pimenta i Włoszka Odette Giuffrida. Wygrała pierwsza z nich, ale obie czule się pożegnały na macie. Pimenta wyjaśniła potem w wywiadzie, że Włoszka jest dla niej osobą wyjątkową, bo dzięki pomocy Brazylijki „odnalazła Boga”.

Czwarte miejsce w biegu na 800 m zajęła w Paryżu Shafiqua Maloney, reprezentantka karaibskiego kraju Saint Vincent i Grenadyny. „Byłam bezdomna – nie miałam jedzenia i tym podobnych rzeczy. Bóg przeprowadził mnie przez to wszystko i kiedy tu dotarłam, musiałam wierzyć, że nie zaprowadził mnie tak daleko tylko po to, żeby mnie opuścić, i że mnie poprowadzi dalej” – mówiła reporterom po zakwalifikowaniu się do finału. **(luz) © ©**

FOT. MICHAEL BAUCHER / MACO SPORT / FORUM



ZUZANNA
DĄBROWSKA-
-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

TAKA NATURALNA

Czy sztuczne zęby świadczą o naturalności? Według jednej z najpopularniejszych polskich influencerów tak. Wersow, czyli Weronika Sowa, którą na Instagramie obserwuje ponad 3,5 mln osób, opowiada o zmianach w swoim wyglądzie. Zaczęło się optymistycznie. – W moim życiu stało się coś przełomowego i stwierdziłam, że potrzebuję takiej zmiany również w moim wyglądzie i postawiłam właśnie na tę naturalność i w niej teraz czuję się najbardziej komfortowo – mówiła w filmie na YouTube, wskazując na zabieg pomniejszania powiększonych ust. O powrocie do natury ma świadczyć także rezygnacja z rozjaśniania włosów. Problem w tym, że w tym samym filmie Wersow pochwaliła się... sztucznymi zębami. Chodzi o licówki, których założenie wymaga spiłowania (sic!) swoich naturalnych zębów. – Cały czas przyzwyczajam się do mojego nowego uśmiechu, więc może być tak, że za jakiś czas stwierdzę, że troszkę coś tam jeszcze pozmieniam, bo mimo

iż przez trzy miesiące, nawet jeszcze jak nagrywałam, to już przygotowywałam się do tego [...]. Mimo że dostosowaliśmy go na kilku wizytach, żeby faktycznie był taki, jaki sobie wymarzyłam, to i tak czuję, że może w nim zajść jeszcze kilka zmian – opowiadała Sowa. Internauci nie mogą pojąć, jak celebrytka, której naturalne zęby były naprawdę ładne, może prezentować taką hipokryzję. Krytycznych komentarzy przybywa. Na razie Wersow nie skomentowała tego, co dzieje się w sieci, jednak udostępniła na InstaStory swój utwór „Nie wypada”, który – jak opowiadała sama Weronika – „przedstawia jej zagubienie podczas czytania różnych komentarzy sugerujących to, jaka powinna być, jak powinna wyglądać, jak powinna się zachowywać czy nawet ubierać”. Każdy dorosły może decydować, jak wygląda. Tylko może lepiej nie udawać, że sztuczność to natura. Szczególnie jeśli jest się idolką nastolatek.

MYŚLIWI, DO ZNACZKÓW!

Kinga Rusin ma dość i wzorem premiera Tuska postanowiła się wściec. I to nie na żarty. „Szał mnie trafił! Myśliwi wręcz kąpią się we krwi zwierząt! Liczby nie kłamią. To uzbrojona sekta!” – grzmi była prezenterka TVN w instagramowym poście. Następnie przywołała oficjalne statystyki, które jej zdaniem i tak są zaniżone. „Oto najnowsze, oficjalne (czyli trzeba by pewnie pomnożyć co najmniej przez dwa) statystyki polowań: w ciągu roku myśliwi zabili pół MILIONA (!) zwierząt! CODZIENNIE życie traciło średnio... 300 (!!!) jeleni, 600 (!!!) saren i 600 dzików! I nie mówimy tu o odstrzałach sanitarnych, ale o zabijaniu dla rozrywki” – oburza się Rusin. Celebrytka alarmuje, że myśliwi chcą „zwiększyć (!) odstrzały, znieść moratoria na odstrzał łosi, wilków i bobrów, i znów zabierać dzieci na polowania”. Kinga walką z myśliwymi zajmuje się nie od dziś. „W 2018 r. aktywnie uczestniczyłam w Sejmie w pracach nad nowelizacją ustawy łowieckiej. Wtedy wygraliśmy i udało się ograniczyć prawa myśliwych. Teraz, pomimo tego, że mamy w Sejmie większe poparcie dla ochrony

praw zwierząt, mogą one zapłacić życiem za jakieś partyjne kunktatorstwo [...]. Wygrałam trzy procesy z myśliwymi. Dostawałam groźby karalne za moją postawę i walkę. Znam na pamięć ich argumenty i przekazy PR-owe, które mają nam zamydlić oczy” – wskazuje oburzona gwiazda. Rusin wprost wytyka, kto jest za to wszystko odpowiedzialny. „Pomóc myśliwym w zmianie prawa ma... PSL! Kosiniak-Kamysz podpisał z myśliwymi porozumienie, które ma »zwiększyć bezpieczeństwo« w kraju. Biorąc pod uwagę częste śmiertelne wypadki w czasie polowań, to brzmi co najmniej kuriozalnie” – czytamy. „Za czasów PiS myśliwi mieli za sobą całe Ministerstwo Środowiska, wydawało się, że nowe rozdanie w Sejmie przyniesie zmiany, bo hasła ochrony przyrody były na sztandarach zwycięskich partii. I co?” – pyta z rozgoryczeniem. Na koniec Kinga Rusin zaznaczyła, że „zabijanie to nie zabawa”. „Niech myśliwi zmieniają hobby: zamiast zabijać, niech strzelają na sportowych strzelnicach lub... niech zbierają znaczki” – podsumowała.

ALARM DLA USA

Człowiek katastrofa w akcji. Organizująca patowalki celebrytów federacja FAME MMA potwierdziła zerwanie kontraktu z Filipem Chajzerem (miał zawalczyć w klatce z youtuberem o pseudonimie Gimper). „Informujemy, że umowa pomiędzy federacją FAME a Filipem Chajzerem została rozwiązana za porozumieniem stron” – przekazano w oświadczeniu federacji. Sam Chajzer potwierdził, że zawarto ugodę, która zabrania jednej i drugiej stronie komentowania całej sprawy. Dumny właściciel budki z „krafkowym” kebabem nie załamuje jednak rąk. Już ma nowe, fascynujące plany. – Mogę powiedzieć, że moje najbliższe plany zawodowe to wyjazd do USA, gdzie mam rozmowę z jednym z największych koncernów gastronomicznych w związku z moim biznesem gastro. Gałę FAME MMA będę oglądał z Nowego Jorku z jak największym zaciekawieniem – przekazał Chajzer portalowi Plotek. Trzymajcie się tam w USA. ©©



FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, tu i ówdzie w mediach zaczęły pojawiać się informacje o bardzo wielu osobach zatrudnionych w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, czyli pana Donalda Tuska. Otóż podobno było tak, iż najpierw pracowników zwolniono, a potem zatrudniono sporo nowych.

Nas to w ogóle nie szokuje ani nie smuci. Uważamy, iż sektor publiczny powinien być postrzegany jako solidny i rzetelny pracodawca, gdzie posady są stałe i bezpieczne, nie trzeba się martwić o premie, dodatki itp. Dobrze, że sektor publiczny skutecznie konkuruje z prywatnymi, stwarza miejsca pracy i przeciwdziała bezrobociu.

Z góry też odpieramy bezzasadne pisowskie zarzuty o rzekome zatrudnianie swoich. Po prostu znaleziono tak wielu ekspertów i specjalistów od polityki senioralnej czy równości, że szkoda byłoby, iżby marnowali się oni gdzie indziej, skoro można z nich zrobić pożytek dla tego kraju.

Dlatego sugerujemy, iżby media szukały sensacji gdzie indziej, a nie tam, gdzie ciężko pracuje się na rzecz dobra wspólnego, okej?

Musimy przyznać, iż jesteśmy miło zaskoczeni dotychczasową postawą naszych sportowców podczas tegorocznych igrzysk. My co prawda piszemy te słowa jeszcze przed końcem

całej imprezy i mamy świadomość, iż jakieś medale mogą się tu jeszcze pojawić, ale na ten moment jesteśmy w klasyfikacji medalowej za znacznie mniejszymi europejskimi (i nie tylko) państwami.

Of kors mogą się wydarzyć jeszcze jakieś przykre manifestacje narodowo-sportowe, typu medal siatkarzy lub sukces tej waginoosoby, która tak szybko się wspina po jakiejś dziwnej ścianie

rezultaty, i manifestują w ten sposób, iż w imię równości i tolerancji nie chcą dyskryminować innych sportowców z innych krajów i osiągać od nich lepszych rezultatów.

Po drugie, być może do głosu zaczynają dochodzić w polskim sporcie przedstawiciele pokolenia Z, które uważa, iż niczego nie musi, nie ma ochoty tak szybko biegać, pobiegnie, jeśli akurat będzie mieć taką ochotę, ale może niekoniecznie dzisiaj ani jutro, a tak w ogóle to chce dodatkowe dni wolnego i owocowy piątek.

A po trzecie, może jest to wreszcie dowód na to, iż jako społeczeństwo przestajemy wreszcie zajmować się takimi głupotami jak sport i nasza młodzież spokojnie sobie gra na komputerach i konsolach, słucha podcastów, ogląda jutuba i nie ma zamiaru się pocić i męczyć. Bo po co im to? Dla satysfakcji wąsatych januszów i ich narodowego wzmożenia w reakcji na sportowe rezultaty.

Jest więc szansa, iż paryskie igrzyska będą jednymi z najgorszych dla

reprezentacji tego kraju, ale jest też inna szansa: iż jako społeczeństwo może nie zdobędziemy wielu medali, ale nauczymy się czegoś o wiele cenniejszego (jeszcze nie jesteśmy do końca pewni, co to jest). ©©



(swoją drogą sześć sekund i po temacie? Czy to jest adekwatny wysiłek???)

Może to świadczyć o zachodzących w tym kraju kilku pozytywnych zjawiskach, które postaram się tu choćby pokrótce wspomnieć.

Po pierwsze, być może jest już tak, iż polscy sportowcy postanowili nie brać udziału w tym całym cyrku i wyścigu na

PODSŁUCHANE

W lewym bucie

Jarku, będzie trzeba jakoś w końcu wybrać tego kandydata.

Wiem, Mariusz. Ale chodzi o to, żeby problemów nie robił jak Andrzejek. Tylko jak to sprawdzić wcześniej? Andrzejek też miał się słuchać, no a potem...

Tym razem mam test dla kandydatów opracowany. Spisałem w punktach, spójrz.

„Przez tydzień niech chodzi tylko w lewym bucie”... „Na zebraniu

radę politycznej ma się przedstawić jako Zdżichu”... Nic nie rozumiem.

Proste przecież. On też nie ma rozumieć, tylko wykonywać. Jak wykona, to znaczy, że potem też będzie wykonywał i nie będzie pytał. „W TVN ma pochwalić Tuska”.

Nie przesadzasz? ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Głodem ich wziąć. A potem niech wyją”.

TOMASZ LIS, publicysta, na portalu X, o sędziach Sądu Najwyższego, sędziach Trybunału Konstytucyjnego i sędziach Krajowej Rady Sądowniczej



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: [FB.COM/MWIZWO](https://fb.com/mwizwo)



Orle Pióro, wydawca tygodnika „Do Rzeczy”, planuje debiut na giełdzie!

Credo redakcji tygodnika „Do Rzeczy”

przyjęte przez Redakcję i Wydawcę
Warszawa, dnia 21 stycznia 2013 roku

Tygodnik „Do Rzeczy” jest pismem konserwatywno-liberalnym.

Konserwatywnym, bo szanuje tradycję chrześcijańską, odwołuje się do sprawdzonych i trwałych zasad etycznych w życiu publicznym, przeciwstawia się eksperymentom społecznym, które podkopują i naruszają odziedziczony ład wartości, bo poważnie traktuje polską pamięć narodową, niepodległość państwa i jego podmiotowość. **Liberalnym**, bo popiera wolność gospodarczą, docenia przedsiębiorczość i twardo będzie stał w obronie nieskrępowanej wolności słowa oraz swobody debaty publicznej.

Tygodnik chce być wyrazistym głosem w polskiej debacie publicznej. Głosem, który ma wpływ na opinię publiczną, który się słyszy i bierze pod uwagę. Ale ma to być głos niezależny, wolny od partyjnych uwikłań, reprezentujący interes ogółu. Najważniejszym punktem odniesienia dla publicystów i dziennikarzy tygodnika będą Czytelnicy. Zdobycie i zachowanie ich zaufania jest nadrzędnym celem redakcji.

Dlatego redakcja, wydawca i dziennikarze zamierzają przestrzegać Kodeksu Dobrych Praktyk, dokumentu opracowanego i przyjętego w 2005 r. przez Izbę Wydawców Prasy, jak również szanować inne kodeksy i wysokie standardy związane z zawodem dziennikarza – jak np. Karta Etyki Mediów (Rady Etyki Mediów), czy Kodeks Etyki Dziennikarskiej (Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich).

Rolą wydawcy i redaktora naczelnego jest dbanie o zaznajamianie z treścią niniejszego dokumentu i przyjętych zasad wszystkich dziennikarzy i pracowników tworzących zespół tygodnika „Do Rzeczy”.

Michał M. Lisiecki
Wydawca

Paweł Lisicki
Redaktor Naczelny

Wolność to Konkret!

Przejdźmy DoRzeczy



ZAINWESTUJ

Zostaw swój e-mail na naszej stronie, aby otrzymywać najnowsze informacje i wspierać niezależne dziennikarstwo.

Odwiedź naszą stronę: www.dorzeczy.pl/gielda
lub wyślij swój adres e-mail, SMS/WhatsApp na numer:
+48 508 040 882, a my wyślemy Ci informację zwrotną.

Gwarancja Prywatności:

Twoje dane są bezpieczne. Nigdy nie udostępnimy Twojego adresu e-mail osobom trzecim.

KORZYŚCI DLA CIEBIE:

Bądź na bieżąco:

Otrzymuj najnowsze informacje o naszym debiucie na giełdzie.

Dostęp do ekskluzywnych treści:

Zarezerwowanych tylko dla naszych subskrybentów.

Wspieraj wolne media:

Twoje zaangażowanie pomaga nam tworzyć wartościowe treści.



Ilustracja: Wydanie numer 1 z 2013 r.

INWESTUJ I ZYSKAJ!

Już wkrótce więcej szczegółów inwestycyjnych od nas i naszego biura maklerskiego.

eprasa.pl/4f778cf24c

Klawo jak cholera,



Gabinet Donalda Tuska zwalcza PiS
w taki sposób, że tylko przysporzy opozycji
zwolenników FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

Donald



Rafał A. Ziemkiewicz

Rząd próbuje załatwić przeciwników politycznych w iście gangsterski sposób. Jednak jego poczynania za każdym razem kończą się tak jak skoki ekipy z komedii o gangu Olsena

Są dwie wiadomości: dobra i zła. Zła – Polską rządzi gangsterzy. Dobra: to jest gang Olsena”. Napisałem te słowa kilkanaście lat temu, za poprzednich rządów Donalda Tuska, komentując ostatecznie fiasco ponad 60 śledztw prokuratorskich i dwóch sejmowych komisji śledczych, które miały udowodnić, że PiS w latach 2005–2007 nadużywał władzy, i tym samym dostarczyć podstawy prawnej do jego delegalizacji.

Błędy PiS, popełnione po roku 2015, dojście do głosu nowego pokolenia, które nie mogło pamiętać ciągłych kłamstewek, „przykrywek” i „wrzutek” Tuska ani pałętania się Ewy Kopacz po czerwonym dywanie u Angeli Merkel (a lewicowo-liberalne media bardzo dbały, by nikt mu o tym nie opowiedział), sprawiły, że polski Egon Olsen dostał drugą szansę – i że mój stary żart znowu stał się aktualny. Szczególnie po kolejnej nieudanej próbie wymuszenia na Państwowej Komisji Wyborczej politycznej decyzji o odebraniu PiS dotacji (nie żeby pięciu „nowych” sędziów było na nie, ale zażądali jakiejś podkładki, lepszej niż wyśledzony zakup szybkaru dla koła gospodyń wiejskich). A już zwłaszcza po reakcji na kolejne niepowodzenie – fali butnych zapowiedzi, że PiS i tak jeszcze zostanie zdelegalizowany, a wraz z nim Sąd Najwyższy, Trybunał Konstytucyjny (tak: Borys Budka zapowiedział, że obecna koalicja powoła własny, „demokratyczny” TK, a pierwszym, czym on się zajmie, będzie wniosek – jakżeby – o delegację PiS), Narodowy Bank Polski, CBA (chyba, że będzie dostarczać kwitów na PiS), IPN, obie rady od mediów... Słowem: że zdelegalizowane zostanie wszystko, gdzie PiS ma jeszcze coś do

powiedzenia. I – jak to mówił Olsen do swego gangu – wreszcie wszyscy zostaniemy milionerami i wyjedziemy na Majorę!

GENIALNE PLANY

Cokolwiek sądzić o tym odgrążaniu się rządzących, jedno jest pewne: podobnie jak po 2007 r. Tusk wciąż uważa, że droga do ugruntowania władzy wiedzie nie poprzez dobre rządzenie dające wyborcom satysfakcję i poczucie, że głosowali dobrze i mogą to powtórzyć, ale przez likwidację partii opozycyjnej. Jeśli nie będzie Kaczyńskiego, to wyborcy, nawet najbardziej niezadowoleni z rządów Tuska, będą mogli zagłosować najwyżej na któreś ze „stronnictw sojuszniczych”, czyli tak czy owak Tusk pozostanie u władzy na zawsze (no, powiedzmy – tak długo, aż dochrapie się lepszej synekury, gdzieś w Europie, „z dala od tego syfu”, jak mówili jego podwładni), co najwyżej zmieniając konfigurację koalicjantów.

Już samo to założenie stanowi o ogromnym podobieństwie naszego obecnego premiera do filmowego Egona Olsena. Uważany był on, jak pamiętamy, przez swych podwładnych, Benny'ego i Kjelda, za geniusza, ponieważ stale przedstawiał im genialne plany, nieodmiennie kwitowane przez tego pierwszego pełnym zachwytem: „Klawo jak cholera, Egon!” (w oryginale było nieco bardziej dosadnie: „Skide godt!”). Tylko że genialny na papierze plan zawsze kończył się wtopą, bo filmowy „geniusz zbrodni”, planując sam skok, zupełnie nie potrafił przewidzieć jego następstw.

Upór, z którym Donald Tusk dąży do delegalizacji PiS – a nie ma już chyba wątpliwości, że zafiksował się na tym, jak jego filmowy pierwowzór na sejfach Franza Jägera – zdumiewa, zważywszy, że wszystkie badania pokazują, iż głównymi powodami, dla których wyborcy poparli Tuska, są właśnie PiS i Jarosław Kaczyński. Pomińmy już, że Tusk nie wróciłby przecież do władzy, gdyby nie koalicjanci – ale i z tych, którzy oddali głos na niego samego, zaledwie 40 proc. deklarowało ankietom, że czyni to dla jakichkolwiek dostrzeganych w nim przymiotów; zdecydowana większość popiera Tuska wyłącznie – wyłącznie! – dlatego, że widzi w nim anty-Kaczyńskiego.

Zresztą po stronie przeciwnej jest podobnie. Istnienie jednego jest sensem

i warunkiem istnienia drugiego. Nie ma co do tego dyskusji, rzecz została potwierdzona empirycznie i nigdy dość przypominania o tym: kiedy Tusk porzucał Polskę i swą partię, stawiając na jej czele Ewę Kopacz, ta za namową Michała Kamińskiego (obecnie PSL), który oczarował ją wizją „efektu Franciszka”, nieoczekiwanie zaapelowała z trybuny sejmowej, by Kaczyński i Tusk na znak narodowego pojednania podali sobie ręce. I, chcąc nie chcąc, zrobili to. Pamiętają państwo, co się wtedy stało? Jeśli nie, to proszę sprawdzić: sondażowe notowania obydwu poleciały natychmiast na łeb na szyję, tak że po dwóch tygodniach Kopacz zmuszona, by ostro zaatakowała Kaczyńskiego czymkolwiek (pod ręką okazała się być tylko stara, wielokrotnie już zdyskredytowana rzekoma „lojalka” ze stanu wojennego, sfałszowana przez „Nie” Urbana), i sondaże wróciły do normy.

Donald Tusk zafiksował się na delegalizacji Prawa i Sprawiedliwości jak jego filmowy pierwowzór na sejfach Franza Jägera

PiS dobrze odrobił tę lekcję – dlatego kilkakrotnie dyskretnie podał PO pomocną dłoń, gdy tej groziła katastrofa, np. pozwalając wymienić prezydencką kandydaturę Małgorzaty Kidawy-Błońskiej na Rafała Trzaskowskiego. Na Nowogrodzkiej uważano za oczywiste, że Tusk też dobrze rozumie, w jakim układzie działa, i dlatego pierwotnie jego „rozliczenia” nieco zlekceważono, zakładając racjonalnie, że to tylko teatrzyk i srożenie się na pokaz na użytek „żelaznego elektoratu”. Inna sprawa, że wskazywała na to niska, delikatnie mówiąc, skuteczność owych rozliczeń – ale widać coraz lepiej, że nie była ona zaplanowana. Po prostu Egon jest zawsze bez reszty skupiony na tym, żeby wydobyć czerwoną walizkę z banknotami z sejfu – ani myśląc o tym, że potem nie będzie miał jak ani którądy z nią uciec.

Bo, przypuśćmy, że uda się wreszcie zmusić oporną PKW, żeby uznała

„dowody” przysłane jej przez Tuskowego Kjelda, Adama Bodnara, za wystarczające do odebrania PiS subwencji. To oczywiście zaboli, ale uderzy głównie w tak zasłużone dla przegranej PiS partyjne „tłuste koty”, blokujące wewnętrzny ruch i wymianę myśli, za to zmobilizuje elektorat (Polacy generalnie zawsze opowiadają się po stronie tego, kogo uważają za prześladowanego). Summa summarum pchną przez Tuska kolannem chamurwa z subwencją, osłabiając główną przyczynę poparcia dla Tuska, jednocześnie obudzi i wzmocni główną partię opozycyjną, na razie walczącą z polskim Olsenem równie skutecznie, jak komisarz Jensen z tym duńskim.

LEKCJE BEZ NAUKI

Tusk od roku 2007, kiedy to pierwszy raz dzięki antypisowskiej mobilizacji i kolejkom do punktów wyborczych dostał mandat do rządu, niczego się nie nauczył i niczego nie zapomniał. Wtedy otwierał śledztwa i powoływał sejmowe komisje w przekonaniu, że PiS jest partią odwołującą się do marginalnej i skazanej na rychłe „wymarcie jak dinozaury” grupy wyborców. Nawet podwójna klęska w roku 2015 nie zachwiała tym przekonaniem, co miało jeszcze pozór uzasadnienia, bo wynik PiS przełożył się wtedy na sejmową większość dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Ale już w 2019 r. PiS zdobył tę większość w skrajnie niekorzystnej sytuacji, gdy wszyscy uczestnicy wyborów brali udział w podziale mandatów.

Tymczasem Tusk i całe jego otoczenie oparły swe działania na odwróceniu przyczyny i skutku: nie dlatego PiS wziął media, spółki i wpływy, że poparła go w wyborach większość, tylko dlatego wygrywa wybory, że ma media, spółki i wpływy. Prawda obiektywna jest taka, że PiS zaspokoił potrzeby wielkiej części społeczeństwa, notorycznie, latami traktowanej z butą przez lewicowo-liberalne elity, wyraził jej emocje i dał poczucie godności – zniknąć ze sceny politycznej może więc tylko wtedy, gdy znajdzie się ktoś, kto z jego obecnymi wyborcami skomunikuje się lepiej i lepiej ich potrzeby zaspokoi. Tusk, podobnie jak cała lewicowo-liberalna elita, wierzy natomiast, że przyczyna i skutek są odwrotne: PiS dlatego wygrywał wybory, że posiadał

pieniądze i media. Jeśli się PiS tego pozbawi („rozliczy”), jeśli w TVP zamiast Tuska mówiącego „für Deutschland” pokaze się przywróconych istnieniu zombie z TVP sprzed 2015 r. mówiących to samo, co mówili wtedy, to 10,5 mln wyborców, którzy głosowali na Andrzeja Dudę, zagłosuje na Donalda Tuska.

Operacja przejścia TVP na podstawie lewych uchwał „nowych zarządów” (czy pani notariusz, która je sporządziła, nadal ukrywa się w Argentynie?), tak jawnie schrańconych, że po tygodniu wstecznie zmieniono jej „podstawę prawną” na rzekomą likwidację spółki, choć działalność mianowców Tuska w każdym punkcie sprzeczna jest z tym, jak likwidację spółki i obowiązki likwidatora określa Kodeks handlowy, dla człowieka myślącego racjonalnie powinna być w tej kwestii zimnym prysznicem: widzowie TVP Info, zamiast łykać partyjną propagandę PO, przerzucili się masowo na TV Republika. Gang Olsena wyciągnął z tego tylko taki wniosek, że jak się zastraszy reklamodawców, to się i tę telewizję zdusi. W efekcie Republika dostała ogromne sumy, a kolejni reklamodawcy i tak się z bojkotu wyłamują (co ciekawe, nigdy nie przyłączyły się do niego firmy niemieckie, jak Kaufland i Lidl – widocznie one się gniewu Tuska zupełnie nie boją). Za to TVP Info praktycznie zdycha i Tusk, który obiecywał „miliardy na onkologię, zamiast na partyjną propagandę”, musi swą partyjną propagandę ratować jeszcze większymi niż PiS miliardami rezerwy budżetowej. Cóż, było do jej przejścia nie zatrudniać Bartłomieja Sienkiewicza, który okazał się wypisz wymaluj sobowtórem filmowego brata Benny’ego, „Dynamita” Frandsena. Ale nie pomyśleć, że podobnie, gdyby jakimś cudem udało się zlikwidować PiS, jego wyborcy nie nawrócą się na tuskizm, tylko znajdą nowych, groźniejszych dla rządzącego układu reprezentantów?

Kiedy już Egonowi czerwoną walizkę zabierano, wściekał się na swoich pozał się Boże gangsterów – on tu tworzy genialne plany, a nieudacznicy, na których jest skazany, wszystko psują! Fraza „Donald się wściekł” weszła już na stałe do słownika, zresztą on sam chlubił się publicznie, podczas demonstracji w War-

szawie, że swych ministrów czasem tak ruga jak...

ROZMINIĘCIE Z RZECZYWISTOŚCIĄ

I tu dochodzimy do miejsca, gdzie porównanie zawodzi: bo cokolwiek by powiedzieć o filmowym Olsenie, on naprawdę umiał otwierać sejfy, przynajmniej te produkcji Franza Jägera. Tymczasem Tusk na jego miejscu, wmówiwszy sobie i całemu gangowi, że sejf jest tak naprawdę z tektury, szturchnąłby go palcem i ogłosił, iż sejf już jest otwarty. Tak jak upierał się np., że na niedawnym unijnym szczycie „Polska uzyskała 100 proc. tego, co zakładała, jeśli chodzi o projekty obronne”, i że „pierwszy raz... Francja i Niemcy razem przekonywały do tych rozwiązań [finansowania przez UE »Tarczy Wschód«], a cała reszta liderów wsparła polskie stanowisko”. Nawet najbardziej oddane Tuskowi media konstatowały po niecałej dobie, że nic podobnego... nie tylko w konkluzjach szczytu nie ma nic o finansowaniu polskiej „Tarczy Wschód”, lecz także z przecieków wynika, że właśnie Scholz z Macronem w reakcji na projekt Tuska potraktowali go tak, jak on się chwali, że traktuje swoich Benny’ch i Kjeldów.

Wypowiedzi Tuska coraz bardziej rozminają się z rzeczywistością – i nie sposób ustalić, czy lider PO cynicznie kłamie czy naprawdę wierzy, że skoro wymierzył w kogoś z palców i krzyknął „pif-paf!”, to go zabił. Ogłasza, że będziemy zestrzeliwać rosyjskie rakietę nad Ukrainą, produkować prąd bez ETS i tworzyć ukraińskie legiony – nazajutrz zarówno KE, jak i sekretarz stanu USA i przedstawiciele NATO prostują, że nic podobnego. Ogłasza, że „załatwił”, iż nie będziemy musieli przyjmować relokowanych migrantów – komisarz Jourová prostuje, że absolutnie nie, sam zobowiązał się ich przyjmować. Pytany o jakikolwiek problem, zmyśla odpowiedzi ad hoc jak uczeń po raz kolejny usprawiedliwiający spóźnienie do szkoły bajeczką, że babcia mu umarła. Reparaty? Reparaty rzekła się minister Fotyga! Dajemy na TVP więcej niż PiS? Nieprawda, to kłamstwo internetowych hejterów! Ceny energii? Ceny energii pod rządami PO są niższe! Mur na granicy? Ja nigdy nie mówiłem, że nie powstanie! Naprawdę takie kłamstwa są na porządku dzien-

Jaki pan, taki gang: Tuskowy minister obrony twierdzi, że na granicy wschodniej (za którą zresztą nie on odpowiada) jest „klawo jak cholera”

nym, proszę zajrzeć np. na profile PO w mediach społecznościowych – Tusk potrafi dla doraźnego efektu powiedzieć wszystko, z równą swadą, z którą rządząc poprzednio, zapowiedział, że „do 2012 r. wejdziemy do strefy euro”.

Jaki pan, taki gang: Tuskowy minister obrony twierdzi, że na granicy wschodniej (za którą zresztą nie on odpowiada) jest „klawo jak cholera”, a jeśli ktoś mówi, że nie jest, że żołnierze są zdradzani przez własne dowództwo i rząd, to on apeluje, żeby tak nie było (!). Działalność ministra Bodnara to już kompletny cyrk: powołanie „pełniącego obowiązki” (nie ma takiej funkcji w ustawach) prokuratora Korneluka na miejsce prokuratora krajowego Barskiego, który, zdaniem krajowym, nie był nigdy prokuratorem krajowym, a więc nie mógł powołać Korneluka do Prokuratury Krajowej, a więc Bodnar sam stwierdził, że nie mógł Korneluka mianować kimkolwiek, to przecież szczyt prawniczego zaplątania się we własne nogawki. Ale Bodnar się tym nie przejmuję, mianuje „prezesów sądów” bez wymaganej prawem zgody kolegium danego sądu, a w ostatnich dniach wydał prokuratorom „wytyczne” (nie ma takiego pojęcia w prawie), by ignorowali oni Sąd Najwyższy i kierowali sprawy tylko do jego „uśmiechniętych” izb, a nie tam, gdzie im każe je kierować prawo.

I jakoś na razie ta bieżączka trwa – chyba że tupnie na nieudaczników Europa, jak miało to miejsce w sprawie Romanowskiego. No ale cóż, w końcu Wąsika i Kamińskiego też trzeba było po spektakularnym aresztowaniu wypuścić. Dopóki europejscy mocodawcy generalnie przymykają na Tuskową gangsterkę oczy (chyba że podważa ich kompetencje, jak we wspomnianej sprawie), a Polacy śpią, dopóty jest „klawo jak cholera”. Pytanie: Jak długo tak można?

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Watykańska mgła – polska mgła



Piotr Semka

W kwestii najważniejszych stolic arcybiskupich w Polsce na szybkie zmiany raczej się nie zanoszą. I, co więcej, wszelkie gazetowe spekulacje nie muszą się nałożyć na decyzje kadrowe papieża Franciszka

20

Uschyłku 2023 r. przez wiele polskich mediów przetoczyła się fala artykułów pod hasłem „Przełom w polskim Kościele”. Ich autorzy zwracali uwagę, że w trzech naszych najważniejszych stolicach arcybiskupich przewidywane są zmiany. Tę wyliczankę zaczynało zazwyczaj od Warszawy i deklaracji kard. Kazimierza Nycza z grudnia 2023 r. o chęci jak najszybszego przekazania funkcji metropolity warszawskiego w ręce następcy. Dalej wskazywano, że wiek 75 lat, oznaczający w zasadzie zakończenie posługi arcybiskupiej, osiągnął 24 lipca 2024 r. arcybiskup krakowski

Marek Jędraszewski, a 19 października 2024 r. arcybiskup poznański Stanisław Gądecki. Przypominano też, że wiek 75 lat osiągnie 23 grudnia 2024 r. biskup elbląski Jacek Jezierski. Atmosferę oczekiwania na wielkie zmiany w Kościele wzmocniła jeszcze rezygnacja w lutym 2024 r. abp. Andrzeja Dzięgi, metropolity szczecińsko-kamieńskiego.

Szczególnie w wypadku metropolity krakowskiego można mówić wręcz o nieprzyjemnej kampanii liberalnych mediów odliczania dni do ukończenia posługi pod Wawelem. Powołując się na bliżej nieokreślone środowiska krakow-



Od lewej: kard. Kazimierz Nycz,
abp Marek Jędraszewski,
abp Józef Guzek
FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Arcybiskup Jędraszewski dotrwał do swoich lipcowych 75. urodzin, otrzymał z Watykanu polecenie trwania na stanowisku aż do nowej nominacji. Diecezja szczecińsko-kamieńska pozostaje bez nowego metropolity i zarządza nią tymczasowo biskup pomocniczy z sąsiedniej diecezji, koszalińsko-kołobrzeskiej, Zbigniew Zieliński. Co do archidiecezji warszawskiej, to „Gazeta Wyborcza” 2 sierpnia br. ogłosiła: „Nieoficjalnie: Watykan odrzucił nazwisko następcy kard. Nycza. Trwa poszukiwanie nowego metropolity warszawskiego”.

Jak twierdził dziennik z ulicy Czerskiej, do Watykanu miały trafić trzy nazwiska potencjalnych następców kard. Nycza. Według „Gazety” nuncjusz apostolski umieścił na liście: abp. Wojciecha Polaka, prymasa Polski, metropolitę gnieźnieńskiego, kard. Grzegorza Rysia – metropolitę łódzkiego, kard. Konrada Krajewskiego – jałmużnika papieskiego, który mieszka i pracuje w Rzymie.

Według relacji „GW” żaden z kandydatów nie został nowym metropolitą warszawskim. Kardynałowie Ryś i Krajewski mieli mieć „inne plany”, a abp Wojciech Polak miał nie być gotowy zrzec się tytułu prymasa Polski, co musiałoby nastąpić w wypadku przeniesienia z Gniezna do Warszawy. Teoretycznie można by nawiązać do praktyki z czasów posługi kard. Stefana Wyszyńskiego, który uzyskał w Watykanie zgodę na pełnienie zarówno funkcji prymasa związanej z Gnieznem, jak i arcybiskupa warszawskiego, ale na to z kolei nie było gotowości ani ze strony abp. Polaka, ani ze strony Stolicy Apostolskiej. Unia personalna Wyszyńskiego z lat 1949–1981, obejmująca Warszawę i Gniezno, była uważana za specyficzne rozwiązanie wynikające z ciężkiej sytuacji Kościoła w czasach komunistycznej Polski.

Marcin Przeciszewski – szef Katolickiej Agencji Informacyjnej – pytany, czy doszło do wystąpienia przez nuncjaturę nazwisk właśnie tych trzech kandydatów na następstwo po kard. Nyczu, odpowiada: „Nie mogę ani potwierdzić, ani zaprzeczyć. To jest wewnątrzkościelna procedura rozgrywająca się między nuncjaturą w Warszawie a dykasterią do spraw biskupów w Rzymie”. Zapytany, co sądzi o informacjach, że wszyscy trzech mieli odmówić, odpowiada: „Nie sądzę,

by wszyscy trzech kandydaci odmówili. Wydaje mi się to nieprawdopodobne”.

Oszczędną w słowach odpowiedź szefa KAI skłania do rozważań, który z trzech kandydatów będzie obiektem dalszych zachęt ze strony nuncjatury. Jeden z polskich księży posługujący w Rzymie i dobrze znający tamtejsze warunki mówi: „W wypadku kard. Rysia nie jest tajemnicą, że w Stolicy Apostolskiej mówi się o dłuższym czasie o sporych szansach obecnego metropolity łódzkiego na objęcie przewodnictwa którejś z watykańskich dykasterii”. Zapytany z kolei o szanse wielkiego jałmużnika papieskiego kard. Krajewskiego odpowiada: „Krajewski do Warszawy? Myślę, że wątplię. Papież na razie go nie puści. Jest zaangażowany w zbyt wiele spraw, na których zależy papieżowi Franciszkowi, by miał on kończyć swój pobyt w Rzymie. Proszę pamiętać, że jubileuszowy 2025 r. to Rok Święty. Franciszek na pewno nie zrezygnuje z kogoś ze swego bliskiego otoczenia, zanim nie zakończą się obchody, do których pontifex przykładać ma bardzo dużą wagę”.

Czy „inne plany” kardynałów Rysia i Krajewskiego oznaczają automatycznie wzmocnienie szans prymasa Polaka? Niekoniecznie. Jeden z dobrze zorientowanych poznańskich księży mówi: „Prymas Polak, jak się mówi, miałby być kandydatem, który najbardziej odpowiadał odchodzącemu kard. Nyczowi. Tyle że prestiż, który w tradycji polskiej jest związany z tytułem Prymasa Polski, ma dla abp. Polaka duże znaczenie. W wieloletniej historii polskich prymasów nigdy nie było przypadku dobrowolnego zrzeczenia się tego tytułu. Nie sądzę, aby abp Wojciech Polak chciał być pierwszym prymasem, który się na to zdecyduje”.

Co charakterystyczne, wiadomość o tym, że żaden z trzech wspomnianych – abp Polak i kardynałowie Ryś i Krajewski – nie chce fotela arcybiskupiego w Warszawie, potraktowana została przez redakcję „Gazety Wyborczej” jako bolesny cios. 3 sierpnia br. „Gazeta Wyborcza” wybiła dramatycznie brzmiący tytuł: „Czy warszawski Kościół skręci ku Torunowi? Jest takie niebezpieczeństwo”. Autor notatki, Arkadiusz Gruszczyński, wskazał w niej, że „warszawski kler nie jest wcale progresywny”. Wychodząc z tego punktu, publicysta „GW” przestrzegł, że brak

skich księży, cytowano rozchodzące się w sieci wierszyki złośliwie żegnające abp. Gądeckiego, informowano o internetowym kalendarzu, który odliczał czas do 75. urodzin metropolity, a nawet o inicjatywie modłów w kwestii obdarzenia Kościoła krakowskiego „nowym godnym gospodarzem”. Obóz liberalnych zmian w Kościele wieszczył rychłą rewolucję.

WARSZAWA – ZMIANY NIE TAK PRĘDKO

Dziś z perspektywy sierpnia 2024 r. można już powiedzieć, że z tych ogromnych nadziei na zmiany niewiele zostało.

chęci trzech kandydatów wyznaczonych przez nuncjusza może wykorzystać bp Sławomir Oder, dotychczasowy biskup gliwicki, którego „Wyborcza” mianowała „nowym liderem konserwatywnego skrzydła Episkopatu”. Gruszczyński w pesymistycznym tonie pisał: „Kłopot w tym, że obecny papież kompletnie nie interesuje się polskim Kościołem. Ponadto codziennie podpisuje kilkanaście dekretów powołujących nowych biskupów na całym świecie, nie ma więc rozpoznania, co byłoby dobre, a co złe dla lokalnego Kościoła. I tak naprawdę do Warszawy może trafić każdy biskup. Mówi się, że Watykan postara się pogodzić dwa obozy: progresywny biskup dostanie jedną diecezję, a konserwatywny drugą”.

KRAKÓW – ABP JĘDRASZEWSKI MA SIĘ DOBRZE

Chyba nie ma drugiego polskiego metropolity, który byłby obiektem tak długiej i konsekwentnej kampanii oczerniania, jak gospodarz krakowskiego pałacu biskupiego przy ul. Franciszkańskiej 3. Jest to jedyny hierarcha, któremu poświęcono w ostatnim czasie książkę – tendencyjny portret kapłana skompromitowanego, złamanego i współwinnego spadku znaczenia polskiego Kościoła. Mowa o książce „Arcybiskup. Kim jest Marek Jędraszewski” Tomasza Terlikowskiego, w której najbardziej niechętnie metropolicie krakowskiemu fragmenty publikowały tygodniki „Polityka” czy „Newsweek”.

Arcybiskup Jędraszewski z dużą godnością zniósł całą tę kampanię. Nie zniżył się do komentowania niezwykle krytycznej dla siebie książki Terlikowskiego. Co więcej, ciągle gotowy jest do zabierania głosu w sprawach, które niepokoją i dotyczą dużej części polskich katolików.

29 lipca br. w oświadczeniu „Żal i oburzenie”, opublikowanym na stronie archidiecezji krakowskiej, abp Jędraszewski odniósł się do bluźnierczych akcentów ceremonii otwarcia igrzysk. „Szczyt agresji, braku wszelkiego szacunku i tolerancji (uroczystość otwarcia olimpiady) osiągnęła w chwili, jak to już określono w mediach światowych, „tęczowej parodii” dotyczącej Ostatniej Wieczerzy, najświętszego dla chrześcijan wydarzenia. W parodii tej pośród drag queen i innych wyuzdanych postaci zna-

lazło się również dziecko. W ten sposób obrażono ponad miliard chrześcijan żyjących na całym świecie [...]. Jak można było z tego wszystkiego uczynić swoiste przesłanie igrzysk olimpijskich? Jak to przesłanie mogło popłynąć na świat właśnie z Francji?”.

Metropolita krakowski znów stanął na wysokości zadania. Obok niego tylko biskup kielecki Jan Piotrowski wystosował komunikat, w którym prosił, aby w najbliższą niedzielę odśpiewać suplikację jako wynagrodzenie za bluźnierstwa podczas otwarcia igrzysk olimpijskich w Paryżu.

Specyfiką archidiecezji krakowskiej jest bardzo skuteczna w docieraniu do liberalnych mediów anonimowa sieć liberalnych księży, którzy nie tracą żadnej okazji, aby informować dziennikarzy o swoich anonimowych krytykach metropolity krakowskiego. W przypadku decyzji abp. Jędraszewskiego o przeniesieniu ks. Dariusza Rasia z parafii mariackiej w Krakowie, jak się zdaje, zdołali oni nawet uzyskać decyzję Watykanu wstrzymującą tę zmianę, mimo formułowanych przez arcybiskupa wątpliwości związanych z gospodarowaniem przez proboszcza środkami pozostającymi w gestii parafii. Dla liberalnych księży orientujących się na „Tygodnik Powszechny” i „Znak” taka pośrednia reprimenda ze strony Rzymu była prawdziwym świętem.

Teraz jednak obóz niechętny Jędraszewskiemu odkrywa, że na razie gospodarz diecezji pozostanie jeszcze jakiś czas na swoim stanowisku. Jeden z księży posługujący w Krakowie mówi: „Jestem pewny, że Jędraszewski pozostanie na swoim stanowisku przynajmniej do jesieni, jeśli nie nawet do końca roku. Cytowani przez liberalne media pseudo-kościółoznawcy, tacy np. jak Ignacy Dudkiewicz, wieszczą, że Jędraszewskiego mogliby zastąpić bądź dotychczasowy krakowski biskup pomocniczy Damian Muskus, bądź biskup pomocniczy z Koszalina, Krzysztof Zadarko – obaj z wyrażeniem postępowego skrzydła polskich biskupów. Sądzę, że jest to raczej myślenie życzeniowe. Watykan liczy się z opinią abp. Jędraszewskiego i na dodatek utożsamiany z »linią Franciszka« kard. Konrad Krajewski bynajmniej nie jest przeciwnikiem Jędraszewskiego”.

Co może to oznaczać w praktyce? Na krakowskiej giełdzie kandydatów wspomina się o możliwości objęcia Krakowa przez wspomnianego już biskupa gliwickiego Sławomira Odera. Niektórzy mówią o kandydaturze abp. Józefa Guzdzka, metropolity białostockiego. Inna możliwa kandydatura to abp Mieczysław Mokrzycki, który wobec konfliktów z hierarchią grekokatolicką we Lwowie może na rozładowania napięcia zostać przeniesiony do Krakowa. Ale to, oczywiście, na razie spekulacje.

SZYBKICH ZMIAN NIE BĘDZIE?

W tym przeglądzie sytuacji kadrowej w najważniejszych polskich stolicach biskupich osobnym zagadnieniem jest następstwo po metropolicie poznańskim abp. Stanisławie Gądeckim. Kiedy można się spodziewać jego następcy? W Poznaniu mówi się, że abp Gądecki się stara, by Stolica Apostolska pozostawiła go na stanowisku aż do przyszłorocznej uroczystości beatyfikacji ks. Stanisława Streicha (1902–1938). Ksiądz Streich został zastrzelony w trakcie odprawiania mszy w Luboniu pod Poznaniem w lutym 1938 r. przez aktywistę komunistycznego. Beatyfikacja ks. Streicha planowana jest na maj albo czerwiec 2025 r. Do tego czasu metropolita poznański miałby pełnić swoją posługę mimo ukończenia w październiku tego roku limitu 75 lat.

Wszystko to oznacza, że w kwestii najważniejszych stolic arcybiskupich w Polsce na szybkie zmiany raczej się nie zanoszą. I, co więcej, wszelkie gazetowe spekulacje nie muszą się nałożyć na decyzje kadrowe papieża Franciszka. Ksiądz Dariusz Kowalczyk, wykładowca Papieskiego Uniwersytetu Gregorianum w Rzymie, wskazuje: „Przy wszystkich spekulacjach dotyczących nominacji na najważniejsze stolice biskupie w Polsce trzeba brać pod uwagę oryginalność papieża Franciszka. Ma on skłonność do decyzji niekonwencjonalnych i niespodziewanych. Ma zwyczaj sięgania po opinie z Polski zdobywane różnymi drogami i niekiedy sięgające opinii osób, które nie znajdują się w centrum medialnych refleksorów. Możemy spodziewać się wielu niespodzianek. Papież nie przykładając specjalnie przesadnej wagi do formalnej procedury przedstawiania kandydatów”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Test Rubcowa

Paweł Rubcow został zatrzymany przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego za szpiegostwo

FOT. LASEXTA.COM



Zuzanna
Dąbrowska-Pieczyska

Hasło „Rosja już tu jest”, mające obrazować stan Polski pod rządami Zjednoczonej Prawicy, okazało się prorocze. Ostatecznie uderzyło jednak w tych, którzy je wymyślili i którzy mienili się obrońcami „demokratycznych wartości”. Wszystko za sprawą Pawła Rubcowa

O tym, że Polskę rządzoną przez PiS Rosja miała spenetrowaną do głębi, przekonywał w głośnym wywiadzie z września 2022 r. gen. Piotr Pytel. „Rosja już tu jest. Jej największym sukcesem w Polsce jest PiS” – stwierdził w rozmowie z „Gazetą Wyborczą”. Słowa byłego szefa SKW poniosły się szerokim echem wśród „silnych razem”, antyrządowych aktywistów i polityków ówczesnej opozycji. Z jednej strony tropiono więc wszelkie przejawy rzekomej prorosyjskości rządzących, a z drugiej atakowano ich za sprawę zatrzymania „hiszpańskiego dziennikarza” Pabla Gonzáleza.

González, a raczej Paweł Rubcow, został zatrzymany w Przemyśle przez

Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego za szpiegostwo cztery dni po pełnoskalowej agresji Rosji na Ukrainę z 24 lutego 2022 r. Rubcow – agent rosyjskiego wywiadu wojskowego GRU – to jeden z więźniów wymienionych przez kraje zachodnie z Rosją w ramach największej od czasów zimnej wojny wymiany. Dzięki swojemu zaangażowaniu po stronie antypisowskiej opozycji zyskał sympatię najbardziej krytycznych wobec rządu Zjednoczonej Prawicy środowisk.

PRZYJACIEL ANTYPISU

W uwiarygodnieniu przed pałającymi niechęcią do PiS i koalicjantów pomogły mu teksty dotyczące protestów

proaborcyjnych. „Polski katolicyzm wdziera się w ciało kobiety. W Polsce od miesięcy trwa silna konfrontacja rządu z kobietami. Powodem jest reforma prawa aborcyjnego. Dla jednych państwo stoi na straży prawa do życia, dla innych kwestionowane są podstawy państwowości” – pisał Rubcow w marcu 2021 r. w hiszpańskim serwisie internetowym Público. Relacjonując protesty aktywistów aborcyjnych, wskazywał, że „Polki buntują się przeciwko ultrakonserwatywnemu rządowi Prawa i Sprawiedliwości w związku z reformą prawa aborcyjnego. Protestują od miesięcy z powodu, ich zdaniem, ingerencji w najbardziej prywatną rzecz, jaką posiadają, czyli swoje ciało”. Korespondent zachwycał się solidarnością polskich kobiet. „Protesty to nie tylko spolaryzowały polskie społeczeństwo, ale także zjednoczyły we wspólnej walce grupy, które wcześniej miały trudności ze wspieraniem się nawzajem – takie jak ruch feministyczny i środowisko LGBT+”. Podobnie wielu Polaków również wychodzi na ulice, aby wesprzeć swoje matki, siostry i córki” – wskazywał.

Broniącym go już po aresztowaniu przez ABW z pewnością podobały się peany na cześć proaborcyjnych i jednocześnie antyrządowych manifestacji, które szły w świat. „Protesty te są najważniejszymi w kraju od 1989 r., czyli roku upadku ostatniego polskiego rządu komunistycznego. Niezadowolone społeczeństwo z władz PiS trwa praktycznie od czasu dojścia partii do władzy w 2015 r., a obecnie przybrało nową formę” – opisywał Rubcow.

Sprawą wykluczenia z przepisów tzw. przesłanki eugenicznej agent GRU zajmował się już wcześniej. Tuż po wyroku Trybunału Konstytucyjnego, w październiku 2020 r., opublikował na Instagramie wpis opatrzone tytułem „To jest wojna”. Na zdjęciu widać było symbolizującą ruch proaborcyjny czerwoną błyskawicę. „To hasło protestów kobiet, ale nie tylko ich, które odbywają się obecnie w całej Polsce po decyzji Trybunału Konstytucyjnego, zakazującego 98 proc. aborcji w kraju. Starsze panie szyją materiały protestacyjne, aby wesprzeć innych. To ich wojna tak samo jak młodszych” – pisał Paweł Rubcow.

Rubcow vel González zajmował się też tematem kryzysu migracyjnego na granicy polsko-białoruskiej. „Na granicy

Polski i Białorusi gromadzą się tysiące ludzi z Iraku, Afganistanu czy Syrii. Chcą ją przekroczyć w poszukiwaniu lepszego życia w Niemczech i innych miejscach UE. Ich pojawienie się tam nie jest przypadkowe, ale konsekwencje są nieprzewidywalne” – pisał, ostrzegając przed „katastrofą humanitarną”. Agent GRU nie siał wzorowanej na Łukaszkowskich mediach tepej propagandy, ale delikatnie sfluował przekaz o dramacie „uchodźców”. „Z całą tą sytuacją wiąże się problem informowania na miejscu o tym, co się naprawdę dzieje. Polski rząd uznał granicę za strefę zmilitaryzowaną i uniemożliwia uzyskanie dostępu do tego obszaru” – wskazywał w hiszpańskich mediach. Rubcow przekonywał, że zarówno Polska, jak i Białoruś utrudniają pracę dziennikarzom i „wytwarzają próżnię informacyjną na temat tego, co naprawdę dzieje się na tym obszarze”. „Coś, co w połączeniu z militaryzacją kryzysu

Broniącym Rubcowa już po aresztowaniu przez ABW z pewnością podobały się peany na cześć proaborcyjnych i jednocześnie antyrządowych manifestacji, które szły w świat

nie wróży dobrze, zwłaszcza ludziom uwięzionym w lasach tysiące kilometrów od swoich spraw jako zakładnicy gier geopolitycznych” – pisał. Powielał nieprawdziwe informacje o atakach polskich żołnierzy na fotoreporterów przy granicy.

Krytykował też rząd Mateusza Morawieckiego za (przynajmniej deklaracyjny) opór wobec federalistycznych zapędów Brukseli. „Warszawa cieszy się z otrzymywania funduszy UE i wszystkich «dobrych» rzeczy, ale bez dawania w zamian. Trochę naiwne i egoistyczne podejście” – tak skomentował list wysłany przez Morawieckiego do unijnych przywódców, w którym ówczesny premier wykazywał prymat prawa krajowego nad prawem UE. Rubcowowi nie spодobała się też reelekcja Andrzeja Dudy. „Populizm i korzystanie

z dobrodziejstw UE, bez przyjmowania wartości tolerancji i integracji, jakie powinni wyznawać jej członkowie” – podsumował zwycięstwo kandydata PiS w 2020 r. Co ciekawe, antypisowskie protesty leżały w obszarze jego zainteresowań już w 2015 r. W grudniu bowiem opublikował w serwisie Twitter (dziś X) mapkę „manifestacji w obronie demokracji”. „W Polsce jest życie opozycyjne” – napisał.

SALON BRONI AGENTA

Urodzony w 1982 r. w Moskwie agent ma podwójne obywatelstwo. Jego matka to Hiszpanka, której rodzina wyemigrowała do Związku Sowieckiego przed 1936 r. Po upadku ZSRS wraz z synem wróciła do kraju. Rubcow nosił pierwotnie nazwisko po ojcu (rodzice się rozwiedli), jednak później stał się Pabłem Gonzálezem – przyjął nazwisko panieńskie matki. Polska ABW zatrzymał go, w dużej mierze opierając się na danych ukraińskiego SBU.

Aresztowanie Rubcowa, który przez lata uwiarygadniał się w oczach przeciwników PiS, wywołało niemałe poruszenie. „Hiszpańskie Amnesty bije na alarm, jeśli chodzi o wydłużający się areszt zatrzymanego w Polsce pod zarzutem szpiegostwa dziennikarza Pabla Gonzáleza. Czy ABW obroni zarzuty o bycie agentem GRU czy będzie to wielka kompromitacja polskich służb i gigantyczne odszkodowanie?” – pytał z oburzeniem Bart Staszewski, aktywista ruchu LGBT. Po wymianie więźniów z początku sierpnia opublikował wyjaśnienie ukazujące absolutną naiwność. „Był jednym z setek dziennikarzy, którym udzielałem wywiadów. Nie miałem zaufania do polskich służb, które za czasów PiS były opresyjne, łąły pałą kobiety podczas protestów i inwigilowały aktywistów. Stąd też moja ówczesna, sceptyczna reakcja na jego aresztowanie – jak widać, niesłuszna. To tylko pokazuje, że zagrożenie jest realne, szpiegdy nie wyglądają jak z Jamesa Bonda i mogą przyjąć formę zagranicznych korespondentów. Polskim służbom gratuluję skutecznej akcji” – stwierdził aktywista.

Sprawą zajmowała się znana w kręgach obecnej władzy Anna Mierzyńska, która twierdzi, że jest ekspertem do spraw dezinformacji. W marcu opublikowała w serwisie OKO.press tekst podający w wątpliwość działania polskich służb. „Nie wiadomo, czy są podstawy do traktowania Gonzáleza jako niebezpiecznego

więźnia, a co za tym idzie – znaczącego ograniczenia jego praw w areszcie. Za tak zwaną »enkę« uznaje się więźniów, którzy popełnili szczególne rodzaje przestępstw. W przypadku Gonzáleza w grę wchodzi jedynie zamach na niepodległość albo integralność Rzeczypospolitej lub na jednostkę sił zbrojnych, ewentualnie udział w zorganizowanej grupie przestępczej. Z komunikatów polskich służb nie wynika jednak, by takie zarzuty były wobec Gonzáleza formułowane – wskazała, atakując byłego szefa MSWiA (to za czasów Mariusza Kamińskiego zatrzymał Pawła Rubcowa). „Były koordynator służb specjalnych w rządzie PiS właśnie Gonzáleza nazwał »najgroźniejszym rosyjskim szpiegiem w Polsce«. Użył tego określenia zaraz po wyjściu z więzienia, w którym się znalazł, odsiadując orzeczoną wobec niego karę. Nie wiadomo, na jakiej podstawie Kamiński sformułował taką tezę” – grzmiała Mierzyńska.

Choć sama zauważyła, że wątpliwości co do Rubcowa mają nie tylko „pisowskie służby”, to nie dowierzała w winę mężczyzny. „Z informacji pochodzących od niezależnych rosyjskich dziennikarzy wynika, że Hiszpan miał od kilku lat inwigilować rosyjską opozycję, zwłaszcza środowisko związane z fundacją Żanny Niemcowej. To córka słynnego opozycjonisty Borysa Niemcowa, zamordowanego w Rosji w 2015 r. Natomiast w grudniu 2023 r. pojawiły się doniesienia, że González miał powiązania z Siergiejem Turbinem, oficerem rosyjskiego wywiadu GRU. Wskazujące na to poszlaki pochodzą ze zhakowanych rosyjskich baz danych. Żadne z tych zarzutów nie zostały dotychczas formalnie potwierdzone” – pisała w marcu.

Jak dziś, gdy wiadomo, kim jest Rubcow, tłumaczy się owa „ekspertka”? Próbuje odwrócić uwagę od własnej kompromitacji. „Co do Gonzáleza: można mnie atakować za opisanie przetrzymywania go w areszcie bez procesu i działania Hiszpanii. A można się zastanowić, kto go wprowadził na Forum Ekonomiczne jako panelistę w 2021 r. Panel o konflikcie w Donbasie i na Krymie. A w 2020... A w 2020 r. jako panelistę na Forum Europa – Ukraina (ten sam organizator). Panel o... propagandzie. O tym byli wiceministrowie i ministrowie PiS i SP milczą” – zwracała uwagę.

Bart Staszewski, aktywista ruchu LGBT, po wymianie więźniów z początku sierpnia opublikował wyjaśnienie ukazujące absolutną naiwność

„Atakują tych, którzy upominali się o przestrzeganie prawa, a nie tych, którzy utrzymywali kontakty z Gonzálezem. To próby osłabienia moich ustaleń dotyczących powiązań konkretnych środowisk z Rosją i Białorusią, rozprowadzania w Polsce prokremlowskich narracji i budowania prorosyjskich środowisk. Sami sobie odpowiedzcie, kto jest zainteresowany ich podważeniem” – wskazywała, chcąc wskrzesić cytowaną na początku tego tekstu tezę gen. Pytła o tym, że PiS to Rosja.

Aresztowanie pracownika GRU z dużą dozą wątpliwości opisywał na łamach Deutsche Welle Jacek Lepiarz. „Pracujący dla hiszpańskich i latynoamerykańskich mediów freelancer relacjonował wydarzenia w Ukrainie i Polsce. 4 lutego został aresztowany na terenie Ukrainy, a 28 lutego pod zarzutem »działalności przeciwko państwu polskiemu« zatrzymała go polska ABW. Trafił najpierw do więzienia w Rzeszowie, a następnie do Radomia. Dotychczas dwukrotnie przedłużano mu areszt śledczy. Obecna sankcja obowiązuje do 25 listopada. Żona Gonzáleza, Goiriena, bardzo niepokoi się o los męża” – pisał, cytując słowa kobiety (partnerki, nie jest oficjalnie żoną Rubcowa): „W Hiszpanii lepiej są traktowani członkowie organizacji separatystycznej ETA niż Pablo w Polsce”. „Goiriena nie uzyskała zgody na widzenie z mężem, a hiszpański konsul został dopuszczony do niego zaledwie cztery razy w ciągu ośmiu miesięcy. Polski obrońca Gonzáleza udziela małżonce skąpych informacji i nie rozmawia z prasą” – wskazywał Lepiarz.

ZERO ŻENADY

Polskie służby za sprawę rosyjskiego agenta atakował też Piotr Niemczyk, w latach 90. dyrektor Biura Analiz i In-

formacji Urzędu Ochrony Państwa i były wiceszef Zarządu Wywiadu UOP. Traktowany przez środowisko PO jako ekspert do spraw służb, podobnie jak Anna Mierzyńska, zaliczył gigantyczny blamaż. „Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego chwali się, że w Przemyślu złapała groźnego agenta Kremla. Wiele wskazuje na to, że sprawa może się skończyć kolejną kompromitacją polskich służb” – stwierdził w marcu 2022 r. na łamach „Gazety Wyborczej”.

„Do zatrzymania doszło w pokoju hotelowym, a Pablo González miał mieć przy sobie dwie karty płatnicze rosyjskich banków na różne tożsamości. Miał też dwa paszporty. To bardzo obciążające dowody. Tylko że żaden wyszkolony rosyjski kret, ukryty pod dziennikarską legendą, nie pozwoliłby sobie na noszenie dwóch paszportów i kart kredytowych z państwa, na którego rzecz szpieguje. Żadne procedury operacyjne na świecie na to nie pozwalają” – wskazywał Niemczyk, węsząc kompromitację PiS-owskich służb.

„W obronie aresztanta występują zarówno baskijscy politycy, jak i Komitet Obrony Dziennikarzy z Nowego Jorku. Przed parlamentem w Madrycie wyjaśnienia w jego sprawie składała minister obrony Hiszpanii Margarita Robles. Autorzy komentarzy podkreślają, że Polska jest dopiero na 64. miejscu w rankingu wolności prasy” – dodał, chcąc wzmocnić swoje argumenty. Niemczyk nie dowierzał, że „obrońca wartości” może być człowiekiem GRU. Pisał kpiąco: „Ten »ruski agent« w tekstach do prasy i korespondencjach dla telewizji regularnie porusza składowe problemy człowieka. W komentarzach dotyczących Polski wspierał osoby zaangażowane w pomoc dla uchodźców na granicy polsko-białoruskiej i dziwił się fenomenowi Radia Maryja. Jego praca doktorska na Wydziale Nauk Politycznych i Administracji Uniwersytetu Kraju Basków dotyczy prześladowań ruchu LGBT w Gruzji”.

Wydaje się, że po takiej wpadce Niemczyk powinien przeprosić lub choćby zamilknąć. Nic bardziej mylnego. Dzień po ogłoszeniu wymiany więźniów wystąpił w materiale na ten temat, przygotowanym przez program informacyjny TVP2 „Panorama”.

Z o. dr. Krzysztofem Wendlikiem, przeorem klasztoru Paulinów w Warszawie, kierownikiem Warszawskiej Pielgrzymki Pieszej na Jasną Górę rozmawia Ryszard Gromadzki

W drodze do Maryi

Warszawska Pielgrzymka Piesza przemierza szlak ze stolicy do sanktuarium na Jasnej Górze od 1711 r. Tegoroczna edycja jest 313. z kolei. Pątnicy podążali na Jasną Górę w czasach zaborów (w 1792 r. wszyscy uczestnicy pielgrzymki zostali wymordowani przez Rosjan), w czasach komunistycznych represji czy w okresie pandemii. W ciągu dziewięciu dni od 6 do 14 sierpnia pielgrzymi pokonują ok. 35 km dziennie. Najwięcej pieszych pielgrzymek przybywa na Jasną Górę w sierpniu w związku z przypadającym 15 sierpnia świętem Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny. Według biura pielgrzymkowego sanktuarium na Jasnej Górze w 2023 r. przybyło tam 3,6 mln pielgrzymów, w tym 77,5 tys. pieszo, w ponad 200 zorganizowanych grupach z całej Polski.

RYSZARD GROMADZKI: Co wciąż skłania tysiące Polaków różnego stanu i wieku, żeby w fizycznym znoju i duchowej dyscyplinie pieszo pielgrzymować przed oblicze Matki Bożej na Jasną Górę? Wydaje się, że we współczesnym świecie, w którym poddawani jesteśmy milionom bodźców i pokus, nie powinno być już miejsca na wyrzeczenia, które wiążą się z pieszym pielgrzymowaniem. Takie praktyki powinny być całkowicie *passé*...

O. DR KRZYSZTOF WENDLIK: Jeden z moich współbraci, który przekroczył setny rok życia, dziś już świętej pamięci, kiedyś powiedział, że światem rządzi Bóg. Oczywiście potwierdzam to, co on powiedział. Świat jest stworzony nie po to, żeby był w opozycji do Boga, i dlatego materia nie jest stworzona po to, żeby być swoistą frondą wobec wymiaru duchowego i vice versa. Pan Bóg naprawdę czuje się na świecie jak u siebie, to my jesteśmy gośćmi, pielgrzymami. Dlatego też człowiek,

który będąc Bożym stworzeniem, gdyby nawet nie wiadomo, jak bardzo od Niego się oddalił, jest i pozostaje na wieczność naznaczony przez akt stworzenia. Powołanie człowieka przez Boga do istnienia to nie jest tylko kwestia jakiegoś przeznaczenia, lecz także jest to prosty cel. Celem zaś życia człowieka jest bycie w życiodajnej relacji z Bogiem. I to stoi u podstaw antropologii chrześcijańskiej, a co za tym idzie – ma swoje odbicie w jednym z jej wymiarów, tzn. homo peregrinus – człowieka pielgrzyma, chciałoby się dodać: człowieka, który staje się pielgrzymem, bo przecież nikt się nim nie rodzi. Pozwólmym jednak mówić przekąźnikom Objawienia, którymi są Pismo Święte i Tradycja. Pismo Święte już na samym początku bardzo wyraźnie ukazuje człowieka o imieniu Abram, który, żyjąc w świecie ze wszech miar ogarniętym

313. Warszawska Pielgrzymka Piesza na Jasną Górę wyruszyła 6 sierpnia 2024 r.

FOT. PAP



Wala głową w mur, który nie chce runąć. I wtedy ów Ktoś staje się ciałem, rozbija swój namiot pomiędzy nami, bo przyjmuje postać człowieka. Oczywiście skandalem, bluźnierstwem byłoby, gdyby jakiś człowiek powiedział: „Jestem Bogiem”, ale sytuacja w chrześcijaństwie jest inna, gdyż to Bóg staje się człowiekiem. I poprzez tę jedyną w swoim rodzaju pielgrzymkę, którą odbywa Chrystus po ziemi, poprzez swoją mękę, śmierć i zmartwychwstanie, wskazuje człowiekowi wszystkich czasów cel: NIEBO. Znakomicie nawiąże do tego liturgia Kościoła, kiedy to na uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, z której to okazji tysiące pielgrzymów zmierzają na Jasną Górę, ukaże cel naszych ziemskich zmagani: bycie razem z Maryją w niebie, radość z bycia zbawionym i odkupionym. Trzeba nam dzisiaj jakże bardzo jasnej i solidnej, opartej na Tradycji refleksji teologicznej, o którą tak bardzo zabiegali zarówno Jan Paweł II, jak i Benedykt XVI. Wiara i rozum zawsze razem, nigdy w kontrze. To jest niezwykle potrzebne właśnie po to, żeby pielgrzymowanie nie stało się czymś subiektywnym, jakimś odczuciem, emocją, przelotnością.

Nie sądzi ojciec, że często tak właśnie jest? Przede wszystkim to emocja, przelotność „niosą” pątników pielgrzymimi szlakami. Trudniej połączyć trud wędrowania z głęboką refleksją intelektualną, z wejściem we własną duszę, osobistą relację z Bogiem.

Znów odniósłbym się do tego, co Kościół w swojej mądrości ponadczasowej, uniwersalnej, bo Bożej, przedstawia. Mam na myśli pierwszą encyklikę papieża Benedykta XVI „Deus caritas est”, w której to papież tłumaczy, czym jest miłość. I w sposób wręcz mistrzowski pokazuje, że miłość ma potrójny wymiar: zmysłowy, przyjaźni i poświęcenia. Owszem, pielgrzymowanie w swym początkowym stadium może kogoś zafascynować, poruszając jego zmysły, jednak aby było chrześcijańskie, musi wziąć pod uwagę wymiar duchowy, który najbardziej realizuje się w dostrzeżeniu zdolności człowieka do ofiary na rzecz innych, będąc poruszoną do głębi, widząc, co Chrystus uczynił nam, kiedy byliśmy jeszcze grzesznikami, jak napisze św. Paweł Apostoł.

Można powiedzieć, że pielgrzymowanie Polaków na Jasną Górę ma odrębny ryt? Czy ten ryt określa nasza instynktowna maryjność?

Jasna Góra jest Jasną Górą, dlatego nie jest Licheniem, Gietrzwałdem czy Kalwarią Zebrzydowską, a przez to posiada własne znamię. Jak powiedział Jan Paweł II, Jasna Góra jest ołtarzem i konfesjonalem narodu polskiego, jest Kaną i Wieczernikiem zarazem. Jest symbolem zwycięstwa małych nad potęgą wielkich tego świata, jest miejscem, gdzie zawsze byliśmy wolni. Aby jednak te wszystkie wniosłe słowa nie stały się jakimś sloganem, intelektualnym wytrychem, spodobało się Bogu mówić z tego miejsca przez Maryję, i to ona od 1382 r. inspiruje Polaków do wyjścia ze strefy komfortu, przemawiając przez zranione Oblicze, i w ten sposób uwiarygadnia Ewangelię, czyniąc ją przystępną, zwłaszcza dla tych najbardziej przez życie poranionych. Choć na Jasną Górę przyzwyczailiśmy się przychodzić, to nie dlatego, że ktoś nam to narzucił, bazując na instynkcie potrzeb religijnych, ale dlatego, że – jak powie św. Augustyn – „niespokojne jest serce człowieka, dopóki nie spocznie w Bogu”, w tym wypadku w ramionach Matki.

Czy wierność pieszemu pielgrzymowaniu do Boga, do jasnogórskiego wizerunku Jego Matki można odczytywać jako znak nadziei w świecie pogrążonym w zamęcie i dekadencji?

Rolą uczniów Chrystusa, bez względu na panujące warunki, jest bycie wobec świata światłem. A światło, które dociera do nas chociażby dzięki płomieniowi świecy czy żarzącej się żarówce, nie ma na celu skupienia uwagi na sobie, gdyż jego rolą jest umożliwienie człowiekowi widzenie spraw tak, jak się mają. Chodzi o rozproszenie ciemności, o pokazanie drogi wyjścia czy wręcz ewakuacji z miejsc, które stanowią śmiertelne zagrożenie.

Wierność zatem pielgrzymowaniu nosi ów wymiar ewangelicznego światła, które zapalone przez Chrystusa w sercach nawet garstki pielgrzymów pisze historię zbawienia na polskiej ziemi nie tyle pomimo trudów i przeciwności, ile ze względu na ich coraz to powszechniejsze występowanie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



o. dr Krzysztof Wendlik – przeor klasztoru Paulinów w Warszawie i kierownik Warszawskiej Pielgrzymki Pieszej na Jasną Górę (od maja 2020 r.).

kultem bożków, słyszy słowa: „Wyjźdź z twojego domu, z twojej ziemi”.

I wychodzi...

I wychodzi. Właśnie dlatego to powtarzające się potem wołanie Boga, co widać w historii Zbawienia, poprzez samego Izraela, który jest wręcz wyprowadzony z ziemi ucisku, z domu niewoli, do ziemi Kanaan. I wreszcie, kiedy nadchodzi pełnia czasu, przychodzi na świat poprzez Maryję, dziewicę z Nazaretu, Syn Boży, który to daje ostateczną odpowiedź człowiekowi, i to nie tylko człowiekowi wierzącemu. Musimy zauważyć sytuację, w której wówczas znajdowała się ludzkość. Grecy, którzy szukali mądrości i nie znaleźli jej, w sensie ostatecznym, gdyż mozolnie przekazywana mitologia upada, na gruncie filozofii właśnie zaczynają powoli przeczuwać, że Bóg jest realną osobą.

COVID-19 według NIK



Jerzy Karwelis

Inspektorzy NIK wskazali, jak państwo źle działało w „pandemii”. Problem w tym, że działania naprawcze ma wprowadzać ten, kto był pionierem straszenia ludzi COVID-19



Skonfliktowany z PiS szef NIK sięga kontrolami wstecz, odkrywając nieprawidłowości z czasów, gdy rządził jego byli patroni FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/EAST NEWS

Coraz więcej wiadomo, jak to było podczas COVID-19. Wcześniej dostęp do danych był dziwnie utrudniony – dziś odpadają kawałki zmurszałej kurtyny i można zajrzeć za kulisy pandemii. U nas, od czasu do czasu, robi to Najwyższa Izba Kontroli. Powody tego wyłomu zdają się być polityczne, gdyż skonfliktowany z PiS szef NIK coraz to, sięgając wstecz, odkrywa kolejne warstwy – delikatnie mówiąc – nieprawidłowości z czasów, kiedy rządził jego byli patroni. Tu trzeba też ostrożnie – w pandemii mieliśmy „podział ponad strzykawkami” i wszystkie partie równo sanitaryzowały życie społeczno-gospodarcze, a więc skrobanie tej emalii może ujawnić zaskakującą rdzę polskiego garnka wojny polsko-polskiej.

Mamy tu kilka podejść NIK, które zagłębiają się również w dziedzinę postępowania państwa za czasów pandemii. Ale – głównie ze względu na zakres kompetencji NIK – nie wnikają one w badanie merytorycznej, epidemiologicznej zasadności wprowadzanych wtedy środków i obostrzeń, skupiają się jedynie na sprawach organizacyjnych w postępowaniu według procedur wyznaczonych przez prawo. A więc nie dowiemy się z raportów NIK, czy np. testy covidowe były miarodajne, czy szczepionki działają czy nie. Dowiemy się, jak pracowały w pandemii organy państwa.

I tak np. poprzednia covidowa kontrola NIK przeprowadzona we wrześniu 2023 r. wykazała wiele nieprawidłowości w wydaniu ponad 9 mld zł w ramach dodatków. Okazało się, że np. wypłacano aż ok. 31 osobom dodatki za opiekę nad jednym łóżkiem pacjenta. NFZ zaczął obecnie zwracać te środki, ale mamy tego „już” 25 mln zł, no, może dojdzie jeszcze z 10 mln zł – z 9 mld zł. Wlewanie pandemicznych wiader pieniędzy w dziurawy kocioł covidowej służby zdrowia doprowadziło do tego, że w pandemicznym roku 2021 w kasie NFZ pozostało niewydanych 10 mld zł. Tak – została jeszcze kasa, mimo tych wszystkich dodatków, milionów testów, szczepionek i tymczasowych szpitali.

JAK DZIAŁAŁO PAŃSTWO

Teraz NIK zabrała się do badania sprawy bardziej całościowo – choć w sensie medycznym – niemerytorycznie. Zajęto się działaniem organów państwa. I wy-

szało, że działały źle.

Po pierwsze, NIK „delikatnie” wskazała, że odejście ze stanowiska szefa Głównego Inspektoratu Sanitarnego, Jarosława Pinkasa, w dniu 11 listopada 2020 r., czyli w środku szalejącej zarazy, to jeszcze nic w porównaniu z tym, że stanowisko to nie zostało obsadzone przez całą pandemię, aż do 17 czerwca 2024 r. Organy państwa nie były w stanie obsadzić kierownictwem kluczowej dla pandemii instytucji. GIS w pandemii dowodził pełniący obowiązki szef Krzysztof Saczka, inżynier informatyk. Trzeba dodać, że Jarosław Pinkas zrezygnował z dowodzenia GIS z powodów zdrowotnych, co nie przeszkadzało

mu brylować w mediach, rozprawiając o pandemii, i skończyć jako członek rady nadzorczej Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych. Jak widać, ci tam z GIS to są „mężczyźni pracujący”, którzy żadnej pracy się nie boją.

Sytuacja osłabienia GIS została od razu „wykorzystana” przez Ministerstwo Zdrowia. Ono musi się, wedle prawa, konsultować z GIS, zwłaszcza przy wnioskowaniu o ogłoszenie stanu zagrożenia epidemiologicznego. A tego, według wyników kontroli NIK, nie uczyniło.

Ten proceder zachodził jednak nie tylko w momentach ogłaszania pandemii, lecz także przez cały czas jej trwania. Rada Ministrów wprowadziła

101 rodzajów obostrzeń, z czego 97 na wniosek ministra zdrowia. Okazało się, że wnioskował on o te obostrzenia, nie przedstawiając wystarczających, a czasami wręcz żadnych analiz i uzasadnień. Rada Ministrów decydowała więc raczej w ciemno, bez żadnych naukowych argumentów i badań, jak to w świecie było w każdym kraju, bo „przecież wiadomo”, że w innych krajach też tak jest. Tyle zostało z tego powoływania się na naukowe podstawy eksperckich rekomendacji i politycznych decyzji.

FALE TESTÓW

Najciekawszy fragment raportu NIK stanowi zwrócenie uwagi na naruszenie procedur związanych ze zgłaszaniem zachorowań. Otóż rząd 2 maja 2020 r., a więc na samym początku pandemii, zrezygnował z raportowania zachorowań na COVID-19 na podstawie objawów klinicznych. Żeby uświadomić sobie reperkusje tej decyzji, należy zwrócić się do czasów „przedcovidowych”. Jak monitorowano zachorowania na choroby zakaźne, zwłaszcza dróg oddechowych? Na podstawie oglądu pacjenta i rozpoznania ich objawów. Każdy taki przypadek odkryty przez lekarza lub laboranta musiał być raportowany do regionalnego GIS, stąd się brały milionowe wyspy sezonowej grypy sprzed COVID-19. W pandemii (sic!) zrezygnowano z tej procedury. Raportowano tylko pozytywne wyniki testów. A to ma wiele reperkusji, które doprowadziły do fali nie zakażeń, ale testów, na którą reakcja administracyjnych obostrzeń rozregulowała system zdrowia, doprowadzając do fali ponadnormalnych, niecovidowych zgonów.

Co to oznaczało? Po pierwsze, że pojawili się masowo tzw. zakażeni bezobjawowo. Skoro ich objawy nie były ani wykrywane, ani raportowane, to państwowe regulacje obostrzeniowe i personalne decyzje kwarantannowe były podejmowane na podstawie jedynie testów. Stąd tysiące zdrowych ludzi były zamykane w domach, nie chodziły do pracy i szkoły; stąd zamykano „pechowe” województwa, powiaty świeciły się na czerwono, gnianie po lasach i plażach. Po drugie – testy PCR wręcz od samego początku były kwestionowane przez regulatorów światowych jako wysoce zawodne, zawyżające prawdziwe wyniki

na pozytywne, z koniecznością weryfikowania ich wyników za pomocą badania pacjenta, a te właśnie odrzucono.

Trzecia konsekwencja przyjęcia testów jako „złotego standardu” powodowała fale zakażeń. Mechanizm był prosty: aby dobrać jakiś region, a częściej – by uzasadnić przyszłe obostrzenia, zwiększało się liczbę testów. I jeżeli, powiedzmy, było zakażonych 10 proc. Polaków i przetestowało się milion takowych na tę okoliczność, to mieliśmy wynik 100 tys. zakażonych. A jak się przetestowało 2 mln, to wyszło, że mamy zakażonych 200 tys. osób. Czyli wychodziło w medialnych statystykach, że zakażenia wzrosły o 100 proc., choć obecność wirusa w społeczeństwie była taka sama. I takie fikołki stanowiły podstawę do podejmowania decyzji o obostrzeniach, lockdownach, zamykaniu szkół, testozie i szczepionkozie.

UŚMIECHNIĘTY GIS

Kontrole NIK kończą się rekomendacjami, które organy państwa mają wdrożyć, jeśli wykryte w czasie kontroli nieprawidłowości mają zniknąć. Tak też jest i w tym przypadku. Przypatrzmy się, kto ma realizować te zalecenia. Wygląda to słabo.

Jakby uprzedzając raport NIK, premier na wniosek ministra zdrowia Izabeli Leszczyny (filolog języka polskiego – oni tam w tym zdrowiu mają coś w genach: jak nie informatyk jako szef GIS, to pani od polskiego jako minister zdrowia) powołał na wakujące stanowisko Głównego Inspektora Sanitarnego dr. Pawła Grzesiowskiego. To bardzo znamienita nominacja, zwłaszcza w świetle potrzeby wdrożenia rekomendacji NIK.

Trzeba przypomnieć postać nowego szefa GIS. No, może nie wszystkim, bo ci, którzy zgłębiali zakres pandemicznego gnębienia ludu chorującego miast i wsi, znają osobę doskonale. To główny sanitarysta kraju. Pan doktor w mediach straszyl dzień i noc Polaków milionami ofiar. Straszyl na tyle, że ówczesny p.o. GIS w kwietniu 2021 r. zwrócił się do Naczelnej Izby Lekarskiej z wnioskiem o pozbawienie prawa do wykonywania zawodu dzisiejszego szefa GIS. Powodem było nadmierowe panikowanie ludności, co w ustach szefa GIS, który był w pandemii głównym źródłem straszenia Polaków, musi brzmieć znacząco.

A było czego posłuchać. Oto nowy szef GIS w rodzinnej kwarantannie nosił wraz z całą rodziną maseczki w mieszkaniu. Wieszczyl wybuch kolejnej fali pandemii zaraz po meczu na Narodowym Polska – Węgry 10 grudnia 2021 r. W listopadzie 2021 r. na łamach „Gazety Wyborczej” przewidywał, że z powodu zaniedbań umrze w Polsce 10 proc. ludności powyżej 50. roku życia (sprawdziłem – miało umrzeć 700 tys. Polaków). Najbardziej alarmistyczne ostrzeżenia o milionach beztroskich ofiar padły z ust Grzesiowskiego 13 stycznia 2022 r., po czym 24 lutego przyszedł Putin i wojną z Ukrainą wygonił pandemicznych partyzantów z lasu. Temat morderczego COVID-19 znikł zdmuchnięty jak gromnica, miliony zaś niezaszczepionych uchodźczych Ukraińców ruszyły w Europę, o dziwo – bez żadnych pandemicznych reperkusji. Ekspert wtedy jakoś zamilknął.

Teraz wychynał, albo raczej został zauważony, jego panikarski dorobek i został doceniony przez nowe władze, prawdopodobnie dlatego, że zawsze prokurował błędne prognozy. To nie oznacza jednak, że na ważnej posadzie spoważniał i spuścił z panikarskich tonów. Gdzież tam! Znowu ostrzega przed zaniedbaniami. No bo musi być jakiś pandemiczny czynnik. Bez tego w GIS nie da się żyć.

A więc suną ostrzeżenia, że wróci kolejny mutant, że ptasia grypa, że long COVID. Czujność (!), bo „nowa normalność” rozleniwia w reakcjach nie tylko beztroskich obywateli, lecz także państwo, które jest nieświadome zagrożień.

Raport NIK, jako rekomendacja do wdrażania, ma niewłaściwego, bo nadgorliwego adresata. Postulaty NIK o wzmożeniu naukowych podstaw przy zarządzaniu przyszłymi pandemiemi trafiły do kogoś, kto żadnych argumentacji nie potrzebuje. Ten ma już w sobie pewność argumentów o mocy dogmatów przynależnych wierze, z których nie ma potrzeby się tłumaczyć. Tym bardziej naukowo. Wystarczy tylko zawierzyć pandemicznym sercem i tropić inkwizycyjnie wszystkie odstępstwa małuczkich oraz uświadamiać władzę, że nie bardzo się stara. Za co kiedyś ta poprzednia wyrzuciła naszego bohatera, nowa zaś – przyjęła na łono sprawczej kontroli.



Codziennie na rondach dochodzi do kilkudziesięciu zderzeń. Brakuje bowiem prawa dotyczącego tych skrzyżowań, a drogowcy organizują tam ruch w fatalny sposób

FOT. KOMENDA MIEJSKA PSP M. ST. WARSZAWY

Zakręcenii na rondach



Łukasz Zboralski

Polscy kierowcy, nawet gdy chcą jeździć poprawnie, czasem nie mają szans. W kodeksie drogowym brakuje bowiem kilku ważnych regulacji. Urzędnicy resortu infrastruktury od lat nie kiwnęli palcem, by je napisać. I żaden minister do tej pory nie umiał ich zmusić do tej pracy

Odkąd w Polsce urealniono stawki mandatów za wykroczenia drogowe, śmiało można twierdzić – dają do tego podstawy dane o wypadkach – że polscy kierowcy nie są wcale gorsi od innych. Pod względem liczby powodowanych wypadków znajdujemy w europejskiej średniej. Gdy spojrzymy jednak na to, że mamy system zdobywania prawa jazdy, który niewiele uczy (za to wielu daje dobrze zarobić), oraz że mamy drogowców, którzy tak projektują nam drogi, że na Zachodzie masowo traliliby zajęcie, a może i trafiali do więzień,

możemy pokusić się o stwierdzenie, że Polacy za kierownicą mogą być nawet jednymi z najlepszych. Tylko wciąż nie mają szans, żeby to pokazać. Te szanse przez kilkadziesiąt lat odbierają im też leniwi urzędnicy, którzy albo pisali nam wadliwe prawo, albo nie pisali go wcale i zostawili w nim niebezpieczne luki. Pokłosie ich wadliwych decyzji i lenistwa zbieramy przez lata. Przykłady?

Gdy cała Europa doszła do wniosku, że w obszarach zabudowanych ze względu na przeżywalność pieszych w wypadkach należy jechać maksymalnie 50 km/h,

w Polsce uznano, że w nocy można jeździć szybciej. Latami kierowcy musieli pamiętać, że od w godz. 23–6 mogą szybciej, a potem muszą wolniej. Od tego idiotyzmu uwolniliśmy się dopiero dwa lata temu.

Gdy w wielu krajach kierowca ma do zapamiętania trzy podstawowe limity prędkości – drogi szybkiego ruchu, drogi poza miastami i drogi w obszarze zabudowanym – w Polsce zapamiętać musi o wiele więcej. Kiedy Polak wyjeżdża z miasta, to najpierw musi rozpoznać, czy ma do czynienia z drogą jednojezdniową czy dwujezdniową, bo dopiero wówczas będzie wiedział, czy może jechać maksymalnie 90 km/h czy 100 km/h. Tak samo wjeżdżając na ekspresówkę, polski kierowca musi rozpoznać, czy jest jednojezdniowa (100 km/h) czy dwujezdniowa (120 km/h).

Gdy prawie cała Europa po podpisaniu konwencji wiedeńskiej uczyła kierowców, że pieszy ma pierwszeństwo, już gdy zamierza wejść na pasy, to polscy mędrzy w PRL skrzywili ten zapis w polskim

prawie i udało się to odkręcić dopiero w 2021 r.!

50 ZDERZEŃ DZIENNE

Jednym z najlepszych przykładów lenistwa urzędników Ministerstwa Infrastruktury są ronda. Ten rodzaj skrzyżowań jest dużo bezpieczniejszy niż z drogami z pierwszeństwem. Na nich trudniej przejechać z dużą prędkością, wymuszają zwolnienie, nie spotyka się tam więc poważnych zderzeń, i to tych najgorszych, bo bocznych – w nich ludzie giną dużo częściej niż przy zderzeniach czołowych, bo nie są w stanie ochronić ich pasy bezpieczeństwa, nie działają też projektowane w samochodach strefy zgniotu.

Ronda są więc bezpieczniejsze. Ale nie w Polsce. Kilka lat temu sprawdziłem, jak wygląda liczba zdarzeń na skrzyżowaniach o ruchu okrężnym. Otóż w 2019 r. policja odnotowała 531 wypadków na rondach. W tych miejscach zgłoszono też 16,3 tys. kolizji. Nie wszystkie kolizje są zgłaszane policjantom, więc zdarzeń z pewnością jest o wiele więcej. Nawet zaniżając ich liczbę do tych raportowanych służbom, wiemy, że każdego dnia w Polsce średnio 50 razy ktoś zderza się z kimś na skrzyżowaniach, które powinny być najbezpieczniejszymi. Dlaczego?

Powody są dwa. Za oba odpowiadają urzędnicy. Po pierwsze, w Prawie o ruchu drogowym do dziś nie ma ani jednego zdania regulacji dotyczących skrzyżowań o ruchu okrężnym. Nikt ich nie napisał. To powoduje, że kierowcy nie mają precyzyjnej instrukcji, jak poruszać się w tych miejscach. Ba, kłopoty z tym mają sami fachowcy. I tak np. w województwie mazowieckim szkoli się i egzaminuje kandydatów na kierowców w ten sposób, że gdy będą na rondzie „skręcać w lewo” lub zawracać, to przed wjechaniem na rondo muszą obowiązkowo włączyć lewy kierunkowskaz. Jednak już w Małopolsce na egzaminie na prawo jazdy nikt takiego włączania lewego kierunkowskazu nie wymaga. Za to wieloletni szef Małopolskiego Ośrodka Ruchu Drogowego i były doradca ministra infrastruktury do spraw bezpieczeństwa na drogach Marek Dworak od lat przekonuje, że lewy kierunkowskaz to aberracja, a na rondzie trzeba za to sygnalizować zjazd z niego prawym kierunkowskazem.

Kiedy zwracałem na to uwagę sześć lat temu, ówczesny rzecznik Ministerstwa

Infrastruktury odpisał mi, że resort się nad tym problemem pochylił. „Ministerstwo Infrastruktury przeanalizuje pojawiające się wątpliwości oraz rozbieżności w interpretacji przepisów ustawy Prawo o ruchu drogowym, dotyczące poruszania się przez kierujących pojazdami na skrzyżowaniach o ruchu okrężnym, i rozważy zasadność podjęcia działań legislacyjnych w tym zakresie” – obiecywał Szymon Huptyś.

Po sześciu latach wiadomo, że w sprawie nie kiwnięto palcem. Opór urzędników przed podjęciem pracy jest tak wielki, że nie dał mu rady nawet Marek Dworak jako pełnomocnik ówczesnego ministra Andrzeja Adamczyka. Zapowiadał, że idzie do resortu m.in. po to, by ujednolicić przepisy dotyczące rond. Wyniesiono go z gmachu przy Chałubińskiego na tarczy.

Z rondami jest zresztą jeszcze gorzej. Nikt bowiem nie pilnuje zarządców dróg, którzy oznaczają jako ronda skrzyżowania, które wręcz przeczą idei ruchu okrężnego. Mamy przez to w Polsce tak

Od lat resort infrastruktury „analizuje”, jak ujednolicić zasady jazdy na rondach. Do dziś nic z tym nie zrobił

potężny bałagan, że policja nigdy nie jest w stanie ocenić winy przy zderzeniu na rondzie, gdy... nie zobaczy na miejscu, jak to rondo w rzeczywistości wygląda.

„[...] należy podkreślić, że duże różnicowanie rozwiązań inżynierskich stosowanych na tego typu skrzyżowaniach sprawia, że przyjęcie jednej, uniwersalnej i wiążącej interpretacji właściwego postępowania kierujących pojazdami nie jest możliwe” – przyznawał mi kilka lat temu insp. Leszek Jażdżewski, naczelnik Wydziału Opiniodawczo-Analitycznego Biura Ruchu Drogowego KGP. „Nie tylko konstrukcja skrzyżowania z wyspą centralną, a w szczególności średnica i kształt tej wyspy (nie zawsze jest ona okrągła), liczba i układ dróg tworzących skrzyżowanie, ale również przyjęta organizacja ruchu, w tym zastosowane oznakowanie pionowe i poziome w tych miejscach, natężenie ruchu itp., powodują, że dokonywanie oceny prawidłowości zachowania

kierowców możliwe jest wyłącznie na podstawie konkretnej, a nie hipotetycznej sytuacji i na bazie faktycznego, a nie hipotetycznego miejsca na drodze”.

ROWERZYŚCI W POPRZEK

Drugim obrazem niemocy każdego kolejnego ministra infrastruktury jest problem z przejazdami dla rowerów. Nikt do tej pory w Prawie o ruchu drogowym nie napisał ani zdania o tym, jak w takim miejscu ma się zachować rowerzysta. Napisało tylko w ustawie, co ma zrobić kierowca. I jest to wskazówka nie do końca wystarczająca. Kierowcy bowiem nakazano – oprócz oczywiście zachowania szczególnej ostrożności – ustąpienie pierwszeństwa rowerzyście, który znajduje się na przejeździe. Jak to rozumieć? Sami policjanci mają kłopot i stołeczna komenda w oficjalnych poradach filmowych w zasadzie nie była w stanie tego do końca wyjaśnić. Obecny stan prawny z jednej strony prowadzi do uznania pierwszeństwa na zasadzie „kto pierwszy znajdzie się na przejeździe, ten je ma”, co nijak nie jest bezpieczne. Oczywiście kierowca mający zachować szczególną ostrożność musi obserwować też otoczenie przejazdu dla rowerów i wziąć pod uwagę, czy zbliżający się do przejazdu rowerzysta nie znajdzie się tam przed nim. Ponadto akurat w przypadku rowerzystów skasowano kiedyś z prawa zakaz „wjeżdżania bezpośrednio przed nadjeżdżającym pojazdem”.

Tego problemu nie rozwiązano w przepisach do dziś m.in. dlatego, że część środowisk rowerowych przyjęła własną interpretację tego, że droga dla rowerów tworzy oddzielne skrzyżowanie. Ta interpretacja jest jednak mocno nieprecyzyjna.

Przez brak jasnych przepisów cierpią wszyscy: i kierowcy – którzy każdego dnia dziesiątki razy zderzają się na rondach, i rowerzyści – którzy bywają potrącani na przejazdach rowerowych.

To wszystko mogłoby zostać uporządkowane, gdyby tylko jakiś minister zmusił urzędników resortu infrastruktury do napisania kilku linii prawa. Na razie takich prac nikt w ministerstwie nie prowadzi. Obecnie myśli się tam wyłącznie o kolejnych wzmocnieniach kar dla kierowców – niebawem na trzy miesiące tracić będzie się prawo jazdy za przekroczenie prędkości o co najmniej 51 km/h także poza obszarem zabudowanym.

KRZYSZTOF MASŁOŃ I TOMASZ Z. ZAPERT:
Przygotowane przez pana, opracowane i opatrzone posłowiami 10 tomów „Dzieł zebranych” Stanisława Rembeka Państwowy Instytut Wydawniczy opublikował w ciągu czterech lat. Jak na standardy edytorskie, nie tylko nasze, to tempo wręcz nadzwyczajne. Ale czy to wydanie przywróci pisarza czytelnikom?

PROF. MACIEJ URBANOWSKI: Taką mamy nadzieję: ja i wydawca, inicjator tej edycji. Książki Rembeka były do tej pory trudno dostępne, o wielu utworach nie wiedzieliśmy, że istniały. Były rozproszone w czasopiśmie lub ukryte w archiwum. Teraz można spojrzeć na to piarstwo jak na pewną uporządkowaną tematycznie i chronologicznie całość. Nie taką znowuż małą, jak się okazało.

Co w spuściznie Rembeka najbardziej pana zaskoczyło? Mniej znane jego utwory dorównują klasą „W polu” czy „Naganowi”?

Najbardziej zdziwiło mnie to, że mimo bardzo trudnego życia Rembek tak wiele napisał. Zaskoczyło mnie też, że próbował swych sił także jako poeta, reporter, publicysta, eseista, krytyk literacki, a nawet scenarzysta filmowy. Potrafił być świetnym epistolografem. To pokazuje ostatni, 10. tom jego dzieł, gdzie są wielostronicowe listy do żony. Był więc Rembek multiinstrumentalistą literackim, ale najlepiej grywał jako powieściopisarz.

Do mniej znanych, a znakomitych dzieł Rembeka zaliczyłbym jego dzienniki z wojny polsko-bolszewickiej i okupacji, wydane wiele lat po jego śmierci. Uważam za bardzo dobrą nowelistykę. Tę o wojnie polsko-bolszewickiej, a także o okupacji niemieckiej, czy „Dziecko”, wstrząsający obrazek o powstaniu styczniowym. Niedoceniona jest chyba „Przemoc i szabla”. Żałuję, że „Wianek Malwiny”, rzecz o powstaniu listopadowym, zachował się w formie „miazgi”, ale są tam śliczne fragmenty.

Stanisław Rembek pisywał też utwory dla młodzieży, czego dowodzi np. „Ekspedycja karna”, zresztą niezbyt udana. Ale chyba nieporozumieniem było potraktowanie „Przemocy i szabli” jako historycznej powieści dla młodych czytelników. A to przecież powieść o upadku Rzeczypospolitej, najsmutniejszych może latach w naszych dziejach, w której aż roi się od świetnych sylwetek postaci historycznych, a i barwnych, po części fikcyjnych



Z prof. Maciejem Urbanowskim, historykiem literatury polskiej, krytykiem literackim rozmawiają Krzysztof Masłoń i Tomasz Zbigniew Zapert

Stanisław Rembek ok. 1930 r.

FOT. ARCHIWUM PAŃSTWOWE W PIOTRKOWIE TRYBUNALSKIM



Rembek nie krzepi.
Rembek
niepokoi!

bohaterów. Dlaczego nie mogło dojść do edycji książki, także w PAX, który odstąpił od jej wydania? Czy tak się stało wyłącznie ze względu na przypisywaną „Przemocy i szabli” antyrosyjskość?

Powieść tę Rembek ukończył tuż przed wybuchem drugiej wojny światowej, cyzelował ją jeszcze w czasie okupacji, dopisał wtedy spory fragment początku. Sprzedał rękopis Zbigniewowi Mitznerowi, który miał ją wydać po wojnie w wydawnictwie Wiśła. Potem Rembek próbował powieść wydać w PAX, już po odwilży, ale bez skutku. Nie znam przyczyny odmowy jej wydania. Obraz Rosji i rosyjskiej polityki w Polsce po 1772 r. musiał się kojarzyć z postępowaniem Sowietów w PRL. Tak samo mogło być z portretami rosyjskiej agentury czy ukazaniem fasadowego sejmu rozbiorowego. Albo z krytyką ówczesnych postępów, dla których większym wrogiem od Rosji byli polscy patrioci. Z kolei poplecznicy Rosji szermują hasłami obrony rzekomo zagrożonej demokracji. Może też nie podobała się patriotyczna i mimo wszystko optymistyczna wymowa tej książki? W końcu jej bohaterem był Józef Wybicki, a pośrednio nasz hymn narodowy z przesłaniem: „Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy my żyjemy”. A może jakoś zaważyła dość tradycyjna forma powieści? Rembek był daleki od awangardowych eksperymentów, tak cenionych w latach 60. i 70.; bliżsi mu byli Conrad i Żeromski. W „Przemocy i szabli” więcej zresztą Sienkiewicza.

Rembek bił się z bolszewikami w 1920 r., ale doświadczenia okupacji hitlerowskiej sprawiły, że ostrzej chyba wypowiadał się o Niemcach niż o Rosjanach. W 1946 r. np., w wydrukowanym w „Gazecie Ludowej” jego tekście „Na przedpolach Powstania”, można było przeczytać, że trudno ich „[...] nazwać narodem. To tylko olbrzymia szajka morderców i złodziei”. Czy to była tylko pierwsza, gwałtowna reakcja na popełnione przez hitlerowców zbrodnie?

Na pewno tak, pamięć o wojnie była wciąż bardzo świeża. Choć we wspomnianym 10. tomie dzieł Rembeka znalazł się jego tekst z „Prosto z Mostu” z ostrą krytyką pronazistowskiej w ocenie pisarza książki Henryka Wernińskiego „Adolf Hitler o Polsce i Polakach”. Protestował też przeciw niemieckim żądaniom wobec Gdańska. Przypominał, że w ciągu tysiąca lat swego istnienia

podlegał Krzyżakom i ich następcom „tylko” przez 260 lat. Jako nastolatek, w 1914 r., widział walki Rosjan z Niemcami o rodzinny Piotrków. Najsilniej oczywiście na stosunek Rembeka wobec Niemców wpłynęło to, co robili oni w czasie okupacji w Milanówku i Warszawie, a co tak świetnie opisał w dzienniku z tego okresu, a potem w „Wyroku na Franciszka Kłosa”. Zresztą w tej powieści Niemców jako takich prawie nie ma. Są ich kolaboranci, volksdeutsche mieszkający wcześniej w Rzeczypospolitej. Oni też są najbardziej okrutni wobec Polaków.

Jakie było naprawdę pochodzenie pisarza? Wiadomo, że jego ojciec zmienił nazwisko w 1926 r. – wcześniej nazywał się Ehrenberg. Jak głosiła legenda, pochodził z alzackich Francuzów, w co jednak niekoniecznie trzeba wierzyć.

O takim właśnie pochodzeniu mówił sam Rembek. Dąbrowska, jak wiadomo z jej dziennika, sugerowała, że jest on z pochodzenia Żydem, na podstawie jego... wyglądu! Zdaje mi się to bzdurą, ale jak było naprawdę z tymi przodkami z Alzacji, nie wiem. Ehrenberg to nie było w Polsce znowuż takie rzadkie nazwisko. Paweł Ehrenberg, ojciec znanego poety Gustawa, tego od pieśni „Gdy naród do boju”, był warszawskim piekarzem. Może zbada to wszystko autor tak potrzebnej biografii autora „W polu”. Wszyscy dotychczasowi egzegeci wierzą jednak w wersję pisarza. Notabene Rembek znał świetnie francuski. Mieszkał przez rok w Algierii, wtedy francuskiej kolonii. Miał tam się ukazać w prasie francuski przekład „Nagana”. Rembek zachwycił się Napoleonem, który według niego traktował wojnę jako czystą sztukę. Przełożył też z francuskiego powieść przygodową Sabatiniego „Czarny łabędź”. Ten ślad francuski jest ciekawy, choć dość typowy dla przedwojennej inteligencji, która była frankofilska. Ale sam Rembek we Francji chyba nie był.

W latach 60. do ekranizacji „Wyroku na Franciszka Kłosa” Rembeka przymierzał się reżyser Stanisław Lenartowicz, obsadzając w roli tytułowej Bogumiła Kobiele. Cemu do tej koprodukcji



STANISŁAW REMBEK
„DZIEŁA ZEBRANE”
PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY

z kinematografią zachodnoniemiecką nie doszło i „Wyrok...” musiał czekać na swą filmową wersję do roku 2000, gdy dla potrzeb telewizyjnych zrealizował go Andrzej Wajda?

To kolejna zagadka w biografii Rembeka i kolejny przykład jego „pecha”, o którym pisali Tomasz Burek i Joanna Siedlecka. Na „filmowość” jego prozy zwracała uwagę krytyka już w latach 30. On sam był w młodości zapalonym kinomanem, o czym świadczy jego dziennik. Próbował, jak wspominałem, pisać nawet scenariusze. Do

ekranizacji „Wyroku...” w latach 60. mogło nie dojść dlatego, że Rembek po wydaniu „W polu” w 1958 r. u Giedroycia w Paryżu był na nieformalnym indeksie. Temat zdrady narodowej też pewnie nie zachwycił ówczesnych decydentów... Na marginesie: dziwię się, że nikt nie próbował ekranizować w III RP „W polu” czy „Nagana”.

U progu III RP powstał natomiast „Szwadron” Juliusza Machulskiego, adaptacja filmowa opowiadań „Przekazana sztafeta” oraz „Igła wojewody”, przyjęta, eufemistycznie mówiąc, chłodno. Z czasem recepcja zmieniła się na korzyść filmu. Można chyba zaryzykować hipotezę, że autor literackiego pierwowzoru byłby z tego obrazu zadowolony. Niestety, premiery nie dożył.

Reżyser myślał o zekranizowaniu tych opowiadań wcześniej, ale w czasie stanu wojennego nie było to możliwe. Z kolei w roku 1992 modne były w Polsce ucieczka do historii i hasło: „Wyberzmy przyszłość”. A film rzeczywiście broni się po latach. Rembek go już nie zobaczył – zmarł 21 marca 1985 r. w wieku 84 lat. Musiał być pod koniec życia rozgoryczony. Wprawdzie w 1982 r. NOWA wydała w drugim obiegu „W polu”, które miało się ukazać legalnie, ale zablokował to 13 grudnia. Podobno zmielono gotowy nakład powieści. Rembek legalnie ostatnią rzecz wydał więc osiem lat przed śmiercią i było to wznowienie opowiadań styczniowych. Nic nowego od 1956 r. nie opublikował! Próbował wydać tom esejów historycznych i wznowić poprawioną wersję „Nagana”, pod innym zresztą tytułem. Nie mógł też skończyć „Wianka Malwiny” ani rzeczy o Powstaniu Warszawskim. Tę ostatnią

zatytułował, nomen omen, „Ostatnia porażka”.

„Balladę o wzgardliwym wisielcu” oraz dwie gawędy styczniowe dedykował Rembek Bolesławowi Piaseckiemu. Przewodniczącemu PAX poświęcił także ciekawy, pełen emocji szkic, który możemy teraz przeczytać w ostatnim, 10. tomie jego „Dzieł zebranych”. Wcześniej nie był on nigdy publikowany. Czy z założenia pisał go do szuflady?

Tego znowu nie wiem. Wspominał o tym tekście Jerzemu Giedroycowi, chciał mu go przesłać, ale czy to zrobił, nie wiadomo. Może tak, co tłumaczyłoby zerwanie między obu panami korespondencji. Dla Giedroycia Piasecki był chyba większym wrogiem niż komuniści. Ten obszerny artykuł zachował się w archiwum pisarza w paru odbitkach, ale nie jest jasne, czy Rembek go komuś wysyłał i czy w ogóle chciał go drukować. Ale też

beka chwalił jeszcze w latach 30. Autora „Nagana” wspierał z kolei ojciec Kisiela, Zygmunt Kisielewski, także pisarz, dzisiaj zapomniany. Zachował się jego ciekawy list do Rembeka. Jest w tomie 10.

Czy nie będzie nadużyciem powiedzieć, że Rembek stał się niejako patronem autorów z pokolenia „Współczesności”, zwłaszcza Stanisława Grochowiaka, Władysława Lecha Terleckiego i Marka Nowakowskiego?

Na pewno czuł do nich sympatię. Życzliwie komentował opowiadania Leszka Szymańskiego, pierwszego redaktora „Twórczości”. Ciepło pisał o prozie Grochowiaka i Jerzego Krzysztonia. Obaj byli zresztą na początku związani z PAX. Z Grochowiakiem przyjaźnił się do końca życia. Marek Nowakowski poświęcił „Wyrokowi...” znakomity esej w ogłoszonej w stanie wojennym książce

w pewnym sensie pisarzem zmarnowanym. Zatrzymywanym w locie. Jego kariera nabrała rozpędu po wydaniu „W polu”. Posypały się wtedy nagrody, wywiady, propozycje. Wojna to przerywa. Potem „Wyrok na Franciszka Kłosa” w 1947 r. i zaraz potem zakazy druku. I świetna „Ballada...”, a dalej już nic, do końca. Z winy historii? Na pewno. A także cenzury w PRL. I krytyki, która po 1945 r. nie dość mocno dopominała się o Rembeka. On sam wpadał wtedy w depresję, sporo pił. Jak tylko otwierała się przed nim szansa druku, powstawały rzeczy wybitne. Miał wspomnianego „pecha”, bo jego tematami były wojna polsko-bolszewicka i zdrada, a z tym nie mógł zrobić kariery w PRL. Nie był zresztą typem karierowicza. Proszę przeczytać jego szkic o Nikodemie Dyźmie z „Prosto z Mostu”!

Dzisiaj Rembek po tylu latach nieobecności zajmuje niewiele miejsca w podręcznikach historii literatury polskiej. „Jakiś” Rembek – tak pewnie wzorem „klasyczki” powie dzisiaj większość czytelników. Ale warto go czytać. Obok fascynujących obrazów polskiej historii odnajdziemy w tej prozie znakomitą batalistykę i ważne pytania o zwykłego człowieka w sytuacjach granicznych. Wraca tam ciekawy problem irracjonalności dziejów, istoty i przyczyny zdrady narodowej, a także okrucieństwa nowoczesnych wojen i ideologii. No i jest sprawa Rosji, jej polityki wobec Polaków, i tego, jak i po co zabiera ona wolność innym narodom i ludziom. Najważniejszy był dla Rembeka fenomen wojny, ale interesowała go ona jako swoiste laboratorium obserwacyjne zachowania jednostek. Człowiek jest w tym pisarstwie zawsze zagadką. Zdolny do zaskakujących podłości, lecz także heroizmu. Ale – uwaga! – Rembek nie krzepi! Raczej niepokoi. Jest pisarzem otwartych pytań, poważnych, wciąż aktualnych. Ja przynajmniej zawsze tak go czytałem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Dzisiaj Rembek, po tylu latach nieobecności, zajmuje niewiele miejsca w podręcznikach historii literatury polskiej. „Jakiś” Rembek – tak pewnie wzorem „klasyczki” powie dzisiaj większość czytelników

nie zniszczył tych maszynopisów. W każdym razie jest to tekst zaskakujący. Także dlatego, że Rembek rzadko wypowiadał się na tematy polityczne. Wiadomo, że na prośbę żony Rembeka szef PAX pomógł mu wyjść z tarapatów życiowych i artystycznych, w których znalazł się w okresie stalinowskim. Czy wspomniany szkic był spłatą swoistego długu wdzięczności? Manifestem politycznym? W latach 20. Rembek był związany raczej z PPS, drukował w ich „Robotniku”. Pod koniec lat 30. drukował z kolei w konserwatywnej „Polityce”, narodowym „Prosto z Mostu” i pismach rządowych. A w czasie okupacji w konspiracyjnym „Lewą Marsz!”. Po wojnie drukował w opozycyjnej wobec komuny „Gazecie Ludowej”, a potem związał się z PAX. W tym szkicu Rembek bronił Piaseckiego przed atakami m.in. Tyrmanda po opublikowaniu słynnego „Instynktu państwowego” w październiku 1956 r. Na celowniku znaleźli się też Jerzy Turowicz i środowiska postępowych katolików z „Tygodnika Powszechnego”. Z tym ostatnim współpracował Stefan Kisielewski, który Rem-

„Karnawał i post”. Myślę, że Rembek patrzył na nich z nadzieją, bo rozczarował się „starymi” literatami w okresie stalinowskim. Był z urodzenia outsiderem, chadzał własnymi drogami, z dala od salonów warszawskich. I trochę prowincjuszem, antyintelektualistą, przy tym pesymistą. Bliski mu był realizm, do romantyzmu miał dość skomplikowany stosunek. A czyż to nie cechy pokolenia „Współczesności”? A mówiąc nie do końca serio: Rembek nie stronił od alkoholu! Podobnie jak Grochowiak czy Nowakowski. Wszyscy świetnie pisali o wódce. „Wyrok...” to również przejmujące studium alkoholizmu.

Czytając dziś Stanisława Rembeka, pamiętać trzeba, że po wojnie wydał on zaledwie dwie książki – „Wyrok na Franciszka Kłosa” i „Balladę o wzgardliwym wisielcu”. Przez 40 lat! Niemniej żywa była jego legenda jako autora „W polu” i „Nagana”. Jakie miejsce zajmuje on dzisiaj w literaturze polskiej? Co w jego książkach znaleźć może dla siebie współczesny czytelnik?

Zadziwiające... Tylko dwie nowe książki w ciągu 40 lat! Rembek był



prof. Maciej Urbanowski
– historyk literatury polskiej,
krytyk literacki, edytor, profesor
 nauk humanistycznych, nauczyciel
 akademicki Uniwersytetu
 Jagiellońskiego.



Piotr Gociek

W wakacje film nie musi być dobry. Ważne, żeby sala była klimatyzowana, bo na zewnątrz skwar

Wszyscy wiedzą: są pewne elementy, bez których wakacje byłyby po prostu nieważne. Urlop nad morzem bez ryby z frytkami, weekend w górach bez grillowanego oscypka z żurawiną i kwaśnicy, popołudnie na deptaku turystycznym bez gofra z bitą śmietaną z borówkami. Na plaży trzeba zobaczyć parawan, a pod Śnieżką – parę zdobywającą szczyt w szpilkach (ona) i japonkach (on). Podobnie jest w świecie filmu: wakacyjna pora rządzi się swoimi prawami. Potwory i horrory, kowboje i podboje (miłosne), niezobowiązujące hity i kity. Powiedzmy szczerze – częściej kity. W wakacje film nie musi być dobry. Ważne, żeby sala była klimatyzowana, bo na zewnątrz skwar.

A**JAK ADAPTACJA GRY LUB KOMIKSU** Kierowanie latem do kin produkcji, których nie obejrzy z reguły nikt poza najbardziej zapalonymi fanami oryginału, ma długą tradycję. Pół biedy, gdy trafi się film umiarkowanie obciachowy (jak „Legion samobójców”). Gorzej, kiedy trafiamy na coś w rodzaju „Żyłety” (wiem, co mówię, w 1996 r. trafiłem). W tym roku do kin trafia w środku sierpnia adaptacja, której ani nikt nie potrzebował, ani specjalnie nie oczekiwał. „Borderlands”, inspirowany grą wideo pod tym samym tytułem, to pokaz marnowania potencjału ciekawej obsady: co w tej opowieści robią Cate Blanchett, Jack Black, Jamie Lee Curtis – nie wiem. Co robi Kevin Hart – wiem, bo po nim nigdy się niczego dobrego nie spodziewałem. Na plus: prawie nic. Na minus: prawie wszystko.

D**JAK DETEKTYW** Komedia kryminalna to gatunek wręcz stworzony, by poprawiać nam humory w wakacje. Komu humoru nie poprawia Eddie Murphy jako Axel Foley, gliniarz z Detroit na delegacji

w Beverly Hills, ten trąba. Netflix produkuje seryjnie rzeczy nijakie, miękkie lub nadmiernie politpoprawne, ale czasem nawet tam trafi się udane przedsięwzięcie. „Axel F”, czwarta odsłona cyklu rozpoczętego w roku 1984, to jeden z nielicznych rodzynek w netflixowym zakalcu. Na plus: wiecznie młody Eddie Murphy. Na minus: lęk, że powstaną kolejne części.

E**JAK EGZOTYKA** Meksyk, Kenia, Madagaskar, a nawet Seszele już nam spowszedniały, bo Polaków albo stać na takie wycieczki, albo przynajmniej konsumują ich uroki poprzez śledzenie na Instagramie przygód z życia ludzi znanych z tego, że są znani. Kino więc niewiele ma nowego do zaoferowania. Ale czasem zaskakuje. Autor pierwszego

się w roku 2006, gdy po niespodziewanej abdykacji króla trzeba kraj przygotować do pierwszych w historii demokratycznych wyborów. Mieszkańcy Bhutanu szybko odkrywają, że polityka bardziej dzieli, niż łączy. A przecież chodzić miało o wspólne dobro. Brzmi znajomo? Na plus: całokształt. Minusy – brak.

G**JAK GLADIATORZY** Wszystko przez Ridleya Scotta – to on wskrzesił swoim „Gladiatorem” (2000) kino sandałowe, czyli krwawe opowieści o starożytnym Rzymie. Jesienią w kinach pojawi się „Gladiator II”, ale modę na zakrwawiony piach areny wcześniej wykorzystał amerykański serwis streamingowy Peacock. I tak powstał serial „Those About to Die” (u nas dostępny w Amazonie), czyli

Wakacyjny alfabet rozrywki

w dziejach nominowanego do Oscara filmu z Buthanu („Lunana. Szkoła na końcu świata”), Pawo Choyning Dorji, przedstawia kręconą w Himalajach komedię „Mnich i karabin” (w kinach). Krajobrazy zapierają dech w piersiach, a prócz wrażeń czysto estetycznych dostajemy jeszcze historię z morałem. Akcja rozgrywa

historia z czasów cesarza Wespazjana zrealizowana wedle recepty HBO oraz Janusza Rewińskiego z komedii Machulskiego „Superprodukcja”: seks and przemoc. O dziwo, nieźle się to ogląda, choć tylko wtedy, gdy nie potraktujemy ekranizacji powieści Daniela P. Mannixa zbyt poważnie. Na plus: Iwan Rheon

■ jako Tenax, ważna figura półświatka przestępczego Rzymu. Na minus: Anthony Hopkins jako cesarz Wespazjan – niespecjalnie się stara.

H JAK HORROR Horrory szczególnie mnożą się w kinach (a od pewnego czasu i w streamingu), gdy nadchodzi Wszystkich Świętych (czyli dla niektórych Halloween) oraz w wakacje. Wśród tegorocznych nowości szczególną uwagę zwraca „Kod zła” („Longlegs”), czyli krwawe i sugestywne połączenie „Milczenia owiec” z kinem o opętaniach. Ta ostatnia kwestia pozostaje otwarta: czy grany przez Nicolasa Cage’a seryjny morderca jest samowolnym współnikiem szatana czy może siły piekielne rzeczywiście wybrały go na wykonawcę swej woli? Film Osgooda Perkinsa nadrabia okrucieństwem braku w scenariuszu, ale kreacja Cage’a jest szokująco przerażająca. Zatem na plus: wspomniany Cage, aktor, który niczego się nie boi. Na minus: brak zrozumienia podstawowego faktu, że przeciw prawdziwie diabelskim knowaniom potrzebne są nie agentki FBI, lecz egzorcyści.

K JAK KINO KATASTROFICZNE Płonące wieżowce, trzęsienia ziemi, tonące „Posejdney” lub „Titaniki”, asteroidy lecące ku Ziemi – każdy ma swoją ulubioną filmową katastrofę. W tym roku dostajemy w kinach film „Twisters”. To sequel hitu „Twister” z 1996 r. (oczywiście premiera miała miejsce w lipcu) Jana de Bonta wedle scenariusza Michael Crichtona. W oryginale role główne grali Bill Paxton i Helen Hunt, w nowej wersji łowcami burz (a właściwie tornad) są Glen Powell i Daisy Edgar-Jones. W swojej kategorii rzecz nadszpejzowanie udana, efekty specjalne imponujące. Na plus: reżyser Lee Isaac Chung, autor świetnego „Minari”. Na minus: łopatologiczne przesłanie ekologiczne.

R JAK REKINY Rekiny po prostu muszą być latem w kinie, koniec kropka. Tradycję zapoczątkowaną przez „Szczęki” Spielberga w roku 1975 kontynuują w tym sezonie Francuzi z Netflixu. Film „Rekiny w Sekwanie” bił rekordy popularności serwisu, stosując bardzo prostą receptę: do pewnego momentu to po prostu klon „Szczęk”, a w drugiej części już owe otwarcie na przyszłe sequele



Serial „Those About to Die” w Polsce dostępny jest w Amazonie FOT. MATERIAŁY PRASOWE

w duchu apokaliptycznym, bo krwiożercze bestie nie tylko nauczyły się żyć w słodkiej wodzie, lecz także mnożą się nad miarę. Czekając na „Rekiny w Wiśle”, odnotujmy, że w prawdziwym świecie Paryż nie musi straszyć sportowców rekinami. Jedna z triathlonistek olimpijskiego wyścigu nie musiała czekać na spotkanie z bestią, wyszła z Sekwany zarażona bakterią E. coli. Na plus: kapitalne pomysły wizualne. Na minus: stężenie absurdu w drugiej części filmu.

O JAK OBCY I to nie były jakie obcy, tylko ten najstraszniejszy: tego lata do kin wracają ksenomorfy. „Obcy: Romulus” to kolejna część sagi „Alien”, której pierwszą odsłonę nakręcił w 1979 r. Ridley Scott. Pierwsze dwa filmy głównego cyklu były znakomite (prócz jedynki także film Jamesa Camerona), kolejne miały swoje wady, ale dawały się obronić. Potem na

siłę krzyżowano franczyzy („Alien vs. Predator”), katastrofą zaś okazały się dokręcane na siłę prequely („Prometheus” i „Covenant”). Reżyser Fede Álvarez wraca do korzeni – niewielka zamknięta przestrzeń (tym razem stacja kosmiczna) i kryjące się w mroku niebezpieczeństwo. Na plus: klimat prawdziwej grozy. Na minus: powtórka z powtórki z rozrywki.

R JAK ROMANTYCZNA KOMEDIA Jedną z ulubionych przez widzów form wakacyjnej rozrywki przeżywa trudne chwile. Nie tylko latem. Po pierwsze: nadprodukcja (podobny kryzys dotknął fenomenu tzw. filmów christmasowych). Po drugie: kłątwa woke, bo komedie romantyczne coraz częściej zamiast sprawdzonej formuły „chłopak spotyka dziewczynę/traci dziewczynę/odzyskuje dziewczynę” oferują rozmaite wariacje, hm... jak to się dziś mówi: „nieheteronormatywne”.



oddać hołd klasyce westernu i uciec od jednostronnych klisz znanych z dawnych filmów. O dziwo, przez większość czasu mu się to udaje. Na plus: ambicja i obsada. Na minus: to, że w pełni ocenić i docenić będzie można tę historię, gdy zobaczymy ją w całości. No i odrobinę większy budżet też by nie zaszkodził.

ŻJAK ZUPEŁNIE NIEPOTRZEBNY REMAKE Film „Kruk” Alexa Proyasa z 1996 r. nadrobił stylem to, czego brakowało treści. Rola Brandona Lee powracającego zza grobu, by dokonać zemsty, otoczona jest kultem, bo aktor (syn Bruce’a Lee) zginął na planie. Na tym historia powinna się skończyć, lecz upór i chciwość hollywoodzkich producentów sprawiły, że nakręcono jeszcze trzy sequele, jeden bardziej niepotrzebny od drugiego. Dziś nową wersję (wkrótce w kinach) proponuje reżyser rzemieślnik Rupert Sanders, który w głównej roli obsadził Billa Skarsgård. Co gorsza, studio odgraża się, że to początek nowej serii. Co sądzi o pomysłe, wobec którego sam aktor ma wiele sceptycyzmu? No, ale show must go on. Na plus: film kosztował 50 mln dol., więc jak padnie w dystrybucji, to nikomu nie będzie się chciało kręcić ciągu dalszego. Na minus: chyba wszystko inne.

ŻJAK ŻENUJĄCA PRÓBA WYLUDZENIA PIENIĘDZY Golenie frajerów, lekcja ze streamingu. Da się obronić pomysł montowania wersji reżyserskich okaleczonych przez studio – dlatego autorska wersja „Ligi Sprawiedliwości” Zacka Snydera przedstawiona przez HBO po latach okazała się sukcesem. Ale złym filmom nie pomoże żadna reanimacja, nawet reżyserska. Space opera tegoż samego Snydera „Rebel Moon” pojawiła się w Netflixie w dwóch częściach (grudzień 2023 r. i wiosna 2024 r.). Na wakacje dostaliśmy wersje reżyserskie, wydłużające całość o dodatkowe dwie godziny. Zabieg ten nie ma wiele sensu, chyba że ktoś lubi dentystów wydłużających celowo zabiegę borowania zębów. Tandetna próba połączenia schematu „Siedmiu samurajów” z klimatami gry wideo SF to opowieść jeszcze gorsza od niesławnego „Jupiter Ascending” braci Wachowskich. Na plus: można nie włączać. Na minus: no jednak wisi cały czas w tym Netflixie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Na bezrybiu i rak ryba – okazuje się, że najsympatyczniejszą opowieścią lata o dziewczynie i chłopaku, którzy mają się ku sobie, jest komedia akcji „Kaskader” z Ryanem Goslingiem i Emily Blunt (już w streamingu). Plusów i minusów nie będę tu wyliczał, gdyż robię to w osobnej recenzji na stronie 38.

NJAK NAJBARDZIEJ ODJECHANY TYTUŁ LATA Myślę, że nie tylko lata, ale i roku. Bo niczego o bardziej dziwnym tytule nie znajdziemy w tym roku na ekranach polskich kin. „Humanitarna wampiryzca poszukuje osób chcących popełnić samobójstwo” to film, który jest zarazem przez własny tytuł idealnie streszczony: wrażliwe dziewczę o wampirycznych skłonnościach czuje odrazę do zabijania, więc ratunkiem mogą być jedynie dobrowolni krwiodawcy. Rzecz nie jest horrorem, lecz romanssem, bo gdy pojawi się odpowiedni

kandydat, pojawi się też niewola uczuć. Na plus: tytuł i urok Sary Montopetit w roli głównej. Na minus: to jest zabawny film, ale oparty na jednym chwycie. Lepiej sprawdziliby się w krótszej formie.

WJAK WESTERN Dawno, dawno temu kowboje galopowali po ekranie przez całe wakacje, od pary dekad zdarza się to jednak sporadycznie. Najciekawsze westerny trafiały u nas w ostatnim ćwierćwieczu nie do kin, lecz na DVD, potem gatunek przeniósł się do kablówek i streamingu. W tym roku sytuację odmienił Kevin Costner, wprowadzając do kin dwie pierwsze części swojej amerykańskiej sagi „Horyzont”. Projekt ambitny (łącznie czekają nas cztery filmy), no i sam Costner na ekranie, który charyzmy nie utracił. Losy bohaterów spletają się wokół miasteczka Horizon budowanego na ziemi Indian. Costner próbuje jednocześnie



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Kochanie, ja płonę!

prime video

Rakuten

CANAL+
ONLINE

★★★★★
REŻ. DAVID LEITCH
„KASKADER”
(„THE FALL GUY”)
US 2024

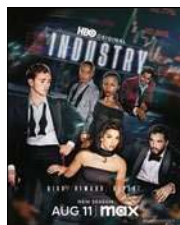
wyst. Ryan Gosling, Emily Blunt, Hannah Waddingham

Ryan Gosling jako kaskader po przejściach kpi z własnego wizerunku wykreowanego w „Drive”. Emily Blunt jako debiutująca pani reżyser trochę nie pasuje do współczesnego wizerunku popkulturowego silnej kobiety, bo pełna jest wątpliwości. Para ma się ku sobie, ale zanim przyjdzie czas na szczęśliwy finał, przebrnąć będzie trzeba przez intrygę kryminalną. Jest tempo, są zabawne dialogi, jest chemia między Blunt i Goslingiem, ale show kradnie znakomita Hannah Waddingham (pamiętamy ją z „Teda Lasso”) jako dwulicowa producentka. W nieznośnie pysznego i niezbyt mądrego gwiazdora kina akcji wciela się Aaron Taylor-Johnson i też daje radę.

Reżyser David Leitch (maczał palce w pierwszym „Johnie Wic-ku”, nakręcił drugiego „Deadpola” i „Atomową blondynkę”) sam był kiedyś dublerem Brada Pitta. W „Kaskaderze” łączy kino akcji ze zwariowaną screwball comedy pełną zabawnych postaci drugoplanowych. Wyszła z tego niezła satyra z elementami meta, nie tak beczelna jak „Jaja w tropikach”, ale też szydząca z Hollywood. Czego zabrakło do wielkiego sukcesu? Może wszystko to jest zbyt gładko spięte w całość, może za często twórcy przypominają nam, że oglądać trzeba z przymrużeniem oka – zwykle jest przecież tak, że im ktoś usilniej przekonuje, że się świetnie bawisz, tym bardziej zabawie szkodzi.

Dlaczego murowany hit kinowy, zamiast bić rekordy wpływów,

chybikiem został wrzucony do streamingu? Może winić trzeba zbytnią pewność siebie producenckiej ekipy? „Jak przekombinujesz, stracisz publiczność” – przestrzega główny bohater łotra, który chce go zabić. Czy twórcy „Kaskadera” przekombinowali, próbując wrzucić zbyt wiele gatunków do jednego worka? A może po prostu losy filmu Leitcha są kolejnym sygnałem zmiany: widzowie do kin chodzą tylko wtedy, kiedy uznają to za konieczne. Albo do multipleksu, gdy chcą wielkiego wysokobudżetowego widowiska, albo do kina studyjnego, gdy nie mogą się już doczekać nowego filmu swego ukochanego reżysera nagrodzonego właśnie na kolejnym festiwalu. Niezobowiązujące lekkie kino środka kojarzy się dziś ze streamingiem. Obawiam się, że tak już zostanie. ©©



NOWE SERIALE: „BRANŻA”

Dla stęsknionych za „Sukcesją” czy „Wall Street” – trzeci sezon serialu o młodych, ambitnych i z reguły bezlitosnych pracownikach londyńskiego banku inwestycyjnego Pierpoint & Co oraz ich wyciągu po awans, prestiż i pieniądze. W trzecim

sezonie do stałej obsady dołączają Kit Harington (Jon Snow z serialu „Gra o tron”) i Sarah Goldberg (Sally z serialu „Barry”). ©©

Piotr Gociek

• sezon 3 „Branża” („Industry”),
Wielka Brytania/USA 2024

max

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 1 „Mr. Bigstuff”,
 Wielka Brytania 2024
- sezon 12 „Futurama: Przygody Fry’ a w kosmosie” („Futurama”),
 USA 2024
- sezon 4 „The Umbrella Academy”,
 USA 2024

skySHOWTIME

Disney+



KINO

Trzy oblicza zemsty

Francuzi znajdują dziwną przyjemność w masakrowaniu toposów (pop)kulturalnych. A jednak oparli się pokusie zdekonstruowania najpopularniejszej powieści Dumasa seniora. Nowy „Hrabia Monte Christo” pod względem kontrowersyjności przekazu nie dorasta ceremonii otwarcia igrzysk olimpijskich w Paryżu nawet do pięć. Owszem, relacje między bohaterami uległy drobnym modyfikacjom, a intryga – sporemu uproszczeniu. Ojciec prokuratora został jego siostrą, fortuna Spadów przeistoczyła się w skarb templariuszy, a finał zawiedzie ortodoksów przekonanych, że w arcydziełach literatury nie wolno zmieniać nawet przecinka. Pamiętając, co

w XXI w. spotkało muskietierów Vidocq’a, Belfegara i Lupina, wypada film duetu Patelliere/Delaporte pochwalić. To adaptacja solenna i solidna, w której jeśli czegoś brakuje, to szczypty szaleństwa. Trzem łajdakom z piekła rodem przeciwstawiono trzech mścicieli. Biję się w piersi, lecz z całej szóstki najmniej spodobał się bohater tytułowy. Gotów jestem przyznać, że skórzane wdzianko hrabiego jest cool, ale Ninie 10 lat temu tak przekonująco wcielił się w Yvesa Saint-Laurenta, że odtąd wciąż wydaje mi się wymuskany sybarytą, który wołałby raczej szczeznąć w lochu niż ryzykować, że podczas ucieczki spoci się i połamie sobie paznokcie. ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★

REŻ. ALEXANDRE DE LA PATEL-LIÈRE, MATTHIEU DELAPORTE
„HRABIA MONTE CRISTO”
(„LE COMTE DE MONTE-CRISTO”)
FRANCJA 2024

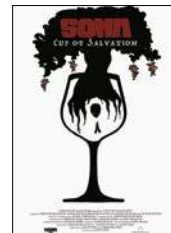
wyst. Pierre Niney, Anaïs Demoustier, Bastien Bouillon



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

ŚWIĘTY TRUNEK

skySHOWTIME



★★★★★

REŻ. JASON WISE
„CUP OF SALVATION”
USA 2023

Dokumentalny hymn na cześć wina z Armenii tudzież przedsiębiorczości Vahe Keushgueriana, który wrócił do ojczyzny, by nowoczesnymi metodami restytuować tradycję profanowaną w czasach sowieckich.

„Napój otwierający bramy do przyszłego świata” tłoczono w tych okolicach już 8 tys. lat temu, ponoć z motywów religijnych. Vahe jest uroczym gawędziarzem i geniuszem marketingu. W jego narracji biznes miesza się z powracającą traumą Ormian (w trakcie kręcenia filmu Azerowie odebrali im Górski Karabach i część winnic przepadła). Opowieści o starożytnych szczepach z Kaukazu, alkoholu będącym częścią narodowej tożsamości i nielegalnym sprowadzaniu winogron z islamskiego Iranu robią wrażenie na sommelierach z Ameryki. Stawką w tej grze jest bowiem wylansowanie „wyjątkowego trunku” w USA, drugiej ojczyźnie Keushguerianów. Tytułowy „kielich zbawienia” z Psalmu 116 zyskał nową, świecką formę. ©©

ROSYJSKIE WAKACJE

35mm online



★★★★★

REŻ. FELIKS FALK
„LATO MIŁOŚCI”
POLSKA/ BIAŁORUŚ 1994

Kino niemoralnego pokoju. Student medycyny objeżdża rodzinne strony w poszukiwaniu cielesnych rozkoszy. W domu wuja spotyka dwie rówieśniczki: z jedną sypia, w drugiej się podkochuje. Kobiecej natury ni w ząb nie rozumie. Pisząc nowelkę „Nathalie”, Iwan Bunin wracał pamięcią do raju, czyli przedrewolucyjnej Rosji. Nostalgia noblisty mieszała się jednak z goryczą. Zbyt przenikliwy, by zignorować fałsz sielanki ziemiańskiego żywota tudzież zwiastuny zbliżającego się końca epoki, uciekł w melancholię. Feliks Falk postawił na sensualizm. Film stara się uwodzić obrazem, muzyką i urodą kobiecych ciał, duchowość spychając do kąta. Buninowi owa rozbuchana erotyka raczej nie przypadłaby do gustu. Zastanawiające, że reżyser znany z potyczek z teraźniejszością, przekroczywszy smugę cienia, zabrał widzów w podróż do świata zdefiniowanego w „Niebezpiecznych związkach” (z widokiem na „Panny z Wilka”). ©©

wyst. Siergiej Sznyriew, Daria Powierennowa, Ewa Bukowska

Wiesław Chelminiak

GRA TYGODNIA: „CARCASSONNE”

Nie samymi grami wideo gracz żyje, a skoro wprowadzamy do rubryki planszówki, to zacznijmy od czegoś dobrego na start. „Carcassonne” to znakomity tytuł dla osób, które dopiero zaczynają, ale uzupełniony licznymi dodatkami

nie znudzi wyjadaczy. Doskonale na imprezę i do rodzinnego grania. Polega na losowaniu kafelków i rozbudowie obszarów (drogi, łąki, miasta), które zajmujemy naszymi pionkami i w ten sposób punktuje-my. Proste zasady, średniowieczny



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★

klimat, estetyczne i porządne wykonanie. ©© **Radosław Wojtas**
• Gatunek: kontrola obszarów
• Autor: Klaus-Jurgen Wrede
• Wydawca, dystrybutor: Bard, Rebel
• Liczba graczy: 2–6
• Wiek: 7+

KRZYSZTOF
MASEŁ

MOJA PÓŁKA

Powiedzmy, że żart

Trzy opowieści, dziejące się w różnym czasie i miejscu, w gruncie rzeczy kompletnie niemające ze sobą nic wspólnego, serwuje czytelnikom Szczepan Twardoch w swojej najnowszej książce – „Powiedzmy, że Piontek”. Książce brawurowej, pomysłowej, w części dotyczącej Niemieckiej Afryki Południowo-Zachodniej (dzisiejszej Namibii) ciekawej poznawczo, a wydaje się nawet, że mniej wrednej niż można się tego było po autorze spodziewać. Choć, gdy napomyka o historii Polski, obowiązkowo opatruje kraj, w którym leżą Pilchowice, pępek opisywanego przezeń świata i jego miejsce na ziemi, mało wdzięcznym przymiotnikiem „zasrany”.

To jednak, że temu pisarzowi Polska się nie podoba, nikogo już chyba nie zaskakuje, podobnie jak dowodzenie przez niego, że śląski jest językiem, a nie żadną gwara. Ustępów powieści odnoszące się do tych i podobnych kwestii są czymś w rodzaju odrabianej przez Twardocha z mozołem pracy domowej zadanej przez wymagającego nauczyciela zza naszej zachodniej granicy. Na szczęście autor „Powiedzmy, że Piontek” daje się porywać wyobraźni i rozwijając poszczególne, fantazyjne wątki, opowiada nam świetne, najczęściej tragicomiczne historie, przy okazji z pewną dozą autoironii odśladując swoje sławne już upodobania, a to do broni, a to znów do zegarków, a przede wszystkim do żeglowania i morskich rejsów.

O morskich podróżach marzy też pierwszy z przedstawionych przez niego bohaterów, Erwin Piontek, 73-letni emerytowany górnik strzałowy, przykładowy mąż swojej ślubnej żony Mariki, ojciec dwóch dorosłych córek, dziadek czterech wnucząt, kibic Ruchu

Chorzów, a także – co najważniejsze – członek Górniczego Klubu Turystyki Żeglarskiej Szkwał. Górnictwo i jachting? A cóż w tym dziwnego? „Od kiedy 150 lat temu – czytamy – z głębokich jelit kopalni wzięto nas w bebecchy pancernych okrętów, bo rozumieliśmy ciśnienie, pompy i parowe maszyny, i ujrzeliśmy ocean w jego okrutnym pięknie – tęsknimy”. I z tej tęsknoty do morza, z przeczytanego w młodości artykułu o samotnym rejsie Leonida Teligi, z codziennego wpatrywania się w stojący na kuchennym parapecie model jachtu „Opty”, na którym ten żeglarz opłynął kulę ziemską, wzięło się nieodparte pragnienie Erwina, by już, z dnia na dzień, natychmiast zrealizować swoje wielkie marzenie. I oto w tajemnicy przed żoną wyciąga wszystkie swoje oszczędności, nakłada gumowy sztormiak, na kupioną starą żagłówkę wnosi zapasy żywności na rok i wypływa na fale... Zalewu Rybnickiego.

Jest Erwin Piontek realista; wie, że z niezliczonych powodów, bo to i wiek nie ten, i umiejętności nawigacyjnych brakuje, musi mierzyć zamiar podług sił. Przelicza zatem dystans wielu tysięcy mil morskich i rozpoczyna swój samotny rejs wokół dobrze mu znanego Zalewu – bez zawijania do portu...

Innego Erwina Piontkę, urodzonego dawno temu, bo w 1868 r., losy rzucają aż na Czarny Łąd, bo tam rozbija się bryg „Tilly”, na którego pokładzie uczył się morza (i innych rzeczy) jako chłopiec okrętowy. W Afryce będzie trochę walczył, trochę niezbyt udolnie gospodarował, a w sumie przeżyje lata na tyle długie, że po powrocie do Niemiec (a gdzie miał wracać, skoro myślał po niemiecku, a jedynie w silnych emocjach po śląsku?) nie poznawał

niczego, czuł się obco i nie na swoim miejscu, ale miał do wykonania wyjątkowe zadanie. I wykonał je, co jednak oznaczało jego koniec. Tyle że – co rusz podpowiada autor – wcale tak nie było, bo przecież powiedzmy, że Erwin był Piontek, ale to może ktoś całkiem inny, kogo akurat wymyślił sobie pisarz.

Tak będzie i z następnym Piontkiem, całkiem współczesnym, a nawet przynależnym do przyszłości. Będzie to sobowtór rządzącego Polską, a właściwie nie, bo Ludowym Państwem Polskim, które powstało po przewrocie w roku (uwaga!) 2028, naczelnika, a także marszałka polnego prof. Zenona Wilka... „Nie jestem Zenon Wilk – przerywa narrację bohater powieści – jestem Erwin Piontek, mieszkalem w Pilchowicach, niedaleko ciebie. Nazywałeś się Szczepan Twardoch, jesteś moim ojcem, ojcem całego świata i staniesz się pokarmem ciemnych stworzeń, kiedy przyjdzie czas wielkiej uczty”. Powiedzmy, że tak się stanie. Powiedzmy, powiedzmy...

Jeśli literatura jest sztuką opowiadania ciekawych historii, to jest to bardzo dobra literatura. W końcu Umberto Eco zachęcał: „Kłam pięknie, Baudolino”. Jeśli jednak czymś więcej, to „Powiedzmy, że Piontek” uchodzić może jedynie za pisarski żart. Cóż, że momentami dramatyczny i z rzadka wzruszający, bo częściej nazbyt nachalnie prowokujący. Choć przyznaję, że wizja osadzonych w tym samym miejscu ośdosobienia polityków skłóconych obozów na przemian rządzących ostatnimi laty na ziemiach między Bugiem a Odrą jest pociągająca. Mają oni nawet swój samorząd, który bez przerwy kłóci się i zrywa obrady, a telewizywie regularnie oglądają cały ten „turniej gamoni”. ©



★★★★★
SZCZEPAN
TWARDOCH
„POWIEDZMY, ŻE
PIONTEK”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE,
KRAKÓW 2024



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Libijski łącznik

Piętnaście lat po wydaniu „Firma” (był to pierwszy bestseller Johna Grishama i jego druga książka) jej główny bohater, Mitch McDeere, jest człowiekiem sukcesu i partnerem w wielkiej nowojorskiej firmie prawniczej. W wolnych chwilach broni pro publico bono osobników, którym grozi kara śmierci – i zwykle przegrywa. Poza tym życie jest dobre: piękna żona, dwoje dzieci, garnitury za 20 tys. dol.

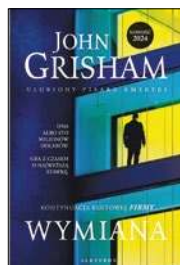
Nowe wyzwanie pojawia się na horyzoncie za sprawą tureckiej firmy budowlanej, która chce pozwać rząd Libii na 400 mln dol. (w tle budowany, jak to w socjalizmie, gigantyczny most donikąd). Jest rok 2000, Muammar Kaddafi jeszcze żyje i rządzi żelazną ręką. Podczas wizji lokalnej córka współnika z Rzymu zostaje porwana. Wkrótce wypływa oferta nie do odrzucenia – 100 mln okupu albo dziewczyna pożegna się z życiem.

Mistrz thrillera prawniczego tym razem proponuje czytelnikowi opowieść bardziej w duchu Kena Folletta czy Fredericka Forsytha. Choć kwestia sięgnięcia po stosowne paragrafy i odpowiednią ich interpretację też musi się pojawić: Mitch wiele dowie się o prawie ubezpieczeniowym, ale

przede wszystkim o tym, jak łatwo wszyscy umywają ręce, gdy nagle trzeba zebrać gigantyczną sumę, by uratować jedno życie. Dla kogóż miałyby to być dobry interes? Można tę książkę czytać bez znajomości „Firmy”, ale dla tych, którzy zechcą przypomnieć sobie powieść z 1991 r., przygotował autor miłą niespodziankę: kilkanaście stron o losach Mitcha między „Firmą” a „Wymianą”.

Akcja gna naprzód jak u Ludluma, dostajemy więc sprawnie napisane czytańdo; idealne na lato, do pociągu, do samolotu, na plażę. Dla jednych taka rekomendacja to sygnał „trzymać się z daleka”, dla innych – „przeczytać koniecznie”. Nie żałuję paru godzin spędzonych znów z Mitchem, bo należę do tych, którzy lubią czytać o ludziach, którym jeszcze na czymś zależy. Myślę też, że nie jest to nasze ostatnie z nim spotkanie. Grisham ominął w „Wymianie” problem z mafią, która dybała na życie bohatera

w „Firmie” – a przecież mafia nie znika bez śladu, no i na pewno nie wybacza. Pytany o to niedopatrzenie w wywiadach Grisham puszcza oko i sugeruje, że może będzie trzeba w związku z tym napisać trzecią powieść o panu McDeere. Sądzę, że właśnie tak się stanie. ©©



★★★★★
JOHN GRISHAM
„WYMIANA”
ALBATROS 2024

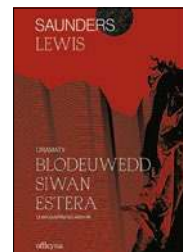
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Opowieść o dwojgu znakomitych polskich artystów napisana przez ich córkę, niemniej utalentowaną Katarzynę Stanny. Obszerny tom pełen wspomnień, anegdot i wspaniałych ilustracji.



KATARZYNA STANNY
„TERESA WILBIK I JANUSZ STANNY W KRÓLESTWIE ILUSTRACJI”
PIW

Bił się w pierwszej wojnie światowej z Niemcami, siedział w więzieniu za walkę z Brytyjczykami w imię walijskiego nacjonalizmu. Jeden z najważniejszych pisarzy walijskich. Trzy dramaty w wyborze i przekładzie Marty Listewnik.



SAUNDERS LEWIS
„DRAMATY”
OFFICINA

Krystyna Heska-Kwaśniewicz i Zdzisława Mokranowska przedstawiają kilkanaście szkiców o pisarstwie Zofii Kossak plus ciekawy tekst biograficzny i dodatek z kilkoma krótkimi tekstami autorki „Krzyżowców”.



KRISTYNA HESKA-KWAŚNIEWICZ I ZDZISŁAWA MOKRANOWSKA
„JA I MOJE KSIĄŻKI – TO JEDNO”
IPN

Zapomniana klasyka literatury XIX-wiecznej, a zarazem jedna z głośniejszych mistyfikacji literackich. Wydana jako cudem odnaleziony rękopis z XVII w. tak naprawdę była dziełem fantazji i talentu autora „Sydonii”.

recenzuje Piotr Gociek



WILHELM MEINHOLD
„BURSZTYNOWA CZAROWNICA”
ZYSK I S-KA

KOMIKS TYGODNIA: „SZKOŁA LATANIA”

Cudeńko z okazji 90. rocznicy urodzin Janusza Christy, twórcy serii „Kajko i Kokosz”. Znały i kochany album „Szkoła latania” narysowany na nowo przez kilkudziesięciu twórców – każdy dostał do stworzenia jedną stronę. Plus kolekcja alternatywnych okładek albumów Christy. Kasprzak, Gonzales, Gawronkiewicz,



AUTORZY RÓŻNI
„SZKOŁA LATANIA”
STORY HOUSE
EGMONT 2024

Truściński – efekt jest imponujący. Pomysł albumu: Tomasz Kołodziejczak.

Piotr Gociek

DO ZOBACZENIA

Wodzinowski w pięciu smakach



RADOSŁAW WOJTAS

Muzeum Krakowa przygotowało wystawę poświęconą Wincentemu Wodzinowskiemu, uczniowi Jana Matejki i wychowankowi Akademii Monachijskiej. Malarzowi, którego dzieła znajdują się w niemal każdej kolekcji muzealnej w Polsce. Społecznikowi, patriotcie, legionście.

Sylwetka Wincentego Wodzinowskiego – „Krakowianina,

Podgórzanina i Swoszowianina w jednej osobie”, jak podkreśla muzeum – ukazana została w kilku odsłonach. To po pierwsze, ceniony przez krytykę malarz, wychowanek krakowskiej i monachijskiej ASP oraz Jana Matejki. Po drugie, darczyńca i zasłużony na polu sztuki twórca, współtwórca „Panoramy Racławickiej”. Po trzecie, artysta zafascynowany podkrakowską wsią, współtwórca nurtu chłopomani, popularnego na przełomie wieków XIX i XX w malarstwie polskim. Po czwarte, podgórski społecznik i polski patriota, oddany ojczyźnie legionista i artysta uwieczniający żołnierskie życie. I po piąte, głowa rodziny. ©©

GDZIE? Kraków, Pałac Krzysztofora
KIEDY? do 3 listopada



FOT. TOMASZ KALARIUSZ/Muzeum Krakowa



FOT. MUZEUM Sopotu

W PODRÓŻY I W KURORCIE

„Moda romantyczna daleka była od naszego wyobrażenia wakacyjnej wygody, ale osoby z towarzystwa spędzające wakacje nad morzem robiły wszystko, żeby ubrać się odpowiednio do okoliczności” – piszą autorzy wystawy w Muzeum Sopotu. Na wystawie zobaczymy stroje damskie i męskie oraz dodatki modowe lat 1820–1850. Czego nie zobaczymy? Choćby strojów kąpielowych. Z tej prostej przyczyny, że ich jeszcze wtedy nie było. ©©

GDZIE? Muzeum Sopotu
KIEDY? do 29 września

NA SŁUCH

Czytaj, słuchaj i myśl



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

Na Amerykance wielkie wrażenie zrobiła antyrasistowska książka Baldwina „Następnym razem pożar”, która ukazała się w 1963 r. Pod jej wpływem w 2016 r. stworzyła przedstawienie muzyczno-teatralne, które miało formę panafrkańskiego nabożeństwa kościelnego. Wielu uczestników tego spektaklu pojawia się na płycie.

Ndegeocello opisuje album jako antropologiczny mixtape. Fragmenty tekstów Baldwina są cytowane w połowie utworów. Na twórczość Meshella równie wielki wpływ mają dokonania pisarki/aktywistki Audre Lorde, której poświęciła utwór „Thus Sayeth the Lorde”. Kompozycje będące w większości pieśniami protestu często zmieniają strukturę

i brzmienia. Jedne powoli się rozwijają, inne niespodziewanie intensyfikują. Między nimi wstawione są rozmowy i deklamacje w języku angielskim i francuskim. Płyta jest bardzo różnorodna stylistycznie (od funku, nu-jazzu i folku do samby czy afrykańskiego soukous), ale jednocześnie spójna muzycznie.

Pomimo bólu przewijającego się w tekstach autorka przywiązuje uwagę do wspólnotowego przekazu i wiary w miłość. Album kończy się mantrą dla moli książkowych. Słowa wypowiedziane przez multiinstrumentalistę Paula Thompsona zmieniają się i powtarzają przez ponad minutę. Ndegeocello ma nadzieję, że album sprowokuje słuchaczy do przeczytania dzieł Baldwina i wzięcia ich sobie do serca. ©©



★★★★★
MESHELL NDEGECELLO
„NO MORE WATER: THE GOSPEL OF JAMES BALDWIN”
BLUE NOTE



★★★★★
AL DI MEOLA
„TWENTYFOUR”
EAR MUSIC

Trzy dni przed 70. urodzinami Di Meola wydał dwupłytowy album. Gra na nim głównie na gitarze akustycznej. Towarzystw mu sekcyja dęta i orkiestra kameralna. Płyta zawiera fuzję flamenco, indyjskich brzmień, afrykańskich rytmów i jazzu.



★★★★★
PAT METHENY
„MOONDIAL”
MODERN RECORDINGS

To drugi z rzędu album Pata, na którym gra sam. Tym razem na barytonowej gitarze akustycznej o unikatowym stroju. Oprócz własnych kompozycji wykonuje covery (m.in. Beatlesów) oraz piosenkę ludową „Londonderry Air”. Elegancki i głęboko liryczny zestaw.

Wpierw słowa, potem kwiaty



Krzysztof Masłoń

Zelektryzował mnie już początek tej po raz pierwszy słyszanej piosenki: „W sobotę centrum miasta wygląda tak samo / jak i w każdy inny dzień tygodnia”. Ten właśnie cytat z „Pierwszego kroku w chmurach” rozpoczął „Fragment pewnego artykułu o Marku Hłasce” Grzegorza Tomczaka, którym to utworem ten autor, kompozytor, człowiek z gitarą – słowem: bard zaistniał w przestrzeni publicznej. Był koniec lat 70., Sierpień był tuż-tuż, a kolejne młode pokolenie (które to z kolei?) zaczytywało się Hłaską, odkrywając go dla siebie.

Wielkopoleś Grzegorz Tomczak po polonistyce, mając do wyboru nauczanie w szkole i pisanie tekstów prezentowanych następnie w prywatnych mieszkaniach, klubach, a w końcu i na estradach, wybrał to drugie. Jego „Fragment pewnego artykułu...” nagrodzony został zresztą na Festiwalu Piosenki Studenckiej w Krakowie, artysta dostał też zaszczycu występu w Opolu, a już to, że w 1981 r. znalazł się w gdańskiej Olivii wśród wykonawców Festiwalu Piosenki Prawdziwej, było czymś naturalnym. A Hłasce, któremu – rzecz można – nie udało się zawdzięczać, skłonił się po latach jeszcze raz, w nagrodzonym w 1999 r. przez publiczność Ogólnopolskiego Przeglądu Piosenki Autorskiej utworze „Idąc, zawsze idź”:

*Pierwsze kroki stawiaj w chmurach,
choćbyś wiedział, że nie wskórasz
w takich chwilach nic.
Absolutnie nic.*

Mocno wybrzmiewa przesłanie tej piosenki:

*Kiedy mówisz, mów,
kiedy milczysz, milcz.
Niechaj wielka będzie cisza,
tak, by każdy ją usłyszał
głośniejsze, niż twój krzyk,
więc kiedy milczysz – milcz.*

I znów odwołuje się tu Grzegorz Tomczak do literatury, do poezji: Witkacego, Bursy, Wojaczka. To nie tylko polonistyczna skaza, lecz także – mówiąc nieco górnolotnie – świadomość tego, skąd przychodzimy i dokąd idziemy. Bo „żeby zacząć pisać, trzeba najpierw osiągnąć pewien stan czytania” – powiedział Marii Duszce, autorce szkicu o nim pomieszczonego w zeszłym roku w roczniku „Piosenka” wydawanym przez Muzeum Polskiej Piosenki w Opolu.

Jego pierwsza płyta „Ja to mam szczęście” ukazała się w 2001 r. Tytuł ten wziął się z chyba najpopularniejszej piosenki tego barda, którą sam wykonywał pod długim tytułem „Tango na głos, orkiestrę i jeszcze jeden głos”, a już jako „Ja to mam szczęście” z sukcesem wyśpiewała ją Maryla Rodowicz i w ślad za nią kilku jeszcze artystów. Któż nie pamięta tych słów:

*Ja to mam szczęście,
że w tym momencie,
żyć mi przyszło w kraju nad Wisłą.
Ja to ma szczęście.
Mój kraj szczęśliwy, piękny, prawdziwy,
ludzie uczynni, w sercach niewinni...
Mój kraj szczęśliwy.*

Był rok 1989. Jak ktoś się uparł, mógł ten tekst potraktować dosłownie. Jak ktoś się uparł...

Już wcześniej Tomczak zaczął pisać nie tylko dla siebie. Nawiązał współpracę

m.in. z Andrzejem Zauchą, Ryszardem Rynkowskim, Zbigniewem Wodeckim, grupą Pod Budą. Ale z najwyższym odzewem spotkała się może „Kartka dla Waldka” zespołu Mr. Zoob, o której to kapeli z lat 80. nie daje zapomnieć publiczność meczów siatkarskich przekonana, że „Mój jest ten kawałek podłogi”. Nie mniejszym jednak powodzeniem cieszyła się swego czasu właśnie „Kartka dla Waldka”:

*Tramwaj przejechał mi przez
śniadanie,
bezczelnie wjechał w mój dom,
przy stole zrobił sobie przystanek,
choć dotąd tu nie było go.
Pan motornicz w żółtym berecie
przystanął, oświadczył mi,
że mnie zabiera w podróż po świecie,
wiadomość włożyłem w drzwi.
Nie gniewaj się Waldek,
ten tramwaj jest naprawdę twój,
a reszta moja...*

Tak naprawdę najważniejsze dla samego artysty i dla wąskiej może, ale wiernej grupy miłośników jego twórczości są jego utwory autorskie, osobiście interpretowane własne teksty ze swoją muzyką. Są wśród nich m.in.: „Ukraina jest zielona” („Ukraina jest zielona / w dole i na nieboskłonach, / od Prypeci aż po Lwów; / Boże, jakbym chciał tam pojechać znów”), „Poznańska miłość” („Bo to jest poznańska piękna miłość, / czasem dla serca, nigdy dla draki, / w myślach – czerwone francuskie wino / choć w domu – tylko ziemniaki”) czy „Telefon do M.”, bliźniak „Listu do M.”. Dżemu: („Ech, zadzwoniłbym do mamy, / ale numer już zmażany, / To nie ja go wymazałem, ale podły czas”).

Napisał całą masę utworów lirycznych, miłosnych, zazwyczaj wyciszonych, delikatnych,



FOT. STEFAN WARSZYSKI/CAF/PAP

subtelnych. Ale bliska mu jest też satyra, czego dowiódł podczas współpracy z Zenonem Laskowikiem w Teyatrze i Kabareciarzi. Współtworzył także w Poznaniu Teatr Piosenny „Pod Pretekstem”, który wystawił jego przedstawienia „Krochmalna 8” i „Czy chcecie o tym porozmawiać”.

Pięć lat temu ten bard opublikował swoje „Wiersze ze sceny, wiersze z ekranu”, w doboru ma też kilka znaczących płyt, takich jak „Piosenki ważne i najważniejsze” (2010 r.), „Opowieści o kobietach” (2017 r.), „Opowieści o mężczyznach” (2019 r.). Dwa ostatnie albumy nagrał z Iwoną Loranc, z którą jeszcze w roku 2008 na złożonej z duetów płycie „Miłość to za mało” wyśpiewał „Szukałem cię wśród jabłek”, piosenkę, która raczej nieoczekiwanie na liście przebojów radiowej Trójki zdystansowała całą masę popowych i rockowych hiciorów. Jak to szło?

*Szukałem cię wśród jabłek czereśni
pomarańczy*

*Na łące nad jeziorem gdzie wodna
nimfa tańczy*

*W księgarniach i kwiatarniach wpierw
słowa potem kwiaty*

*I miałem w tym szukaniem prawdziwe
cztery światy. © ©*



Zdążyć przed Tuskiem



Marek Jurek

Konstruktywne wotum nieufności, w którym Sejm zmienia premiera na polityka PSL, a PSL zmienia partnerów koalicyjnych z PO i Nowej Lewicy na PiS i Konfederację, ma o wiele więcej zalet niż tylko utrzymanie przez PSL władzy wbrew próbom marginalizacji tej partii

Premier Tusk rozważa (albo straszy, że rozważa) wcześniejsze wybory parlamentarne. Chce w ten sposób spacyfikować partnerów koalicyjnych. Wybory miałyby wzmocnić pozycję PO w koalicji, a może wręcz pozwolić wybierać między PSL i Lewicą jako partnerami koalicyjnymi, zmuszając ich do licytacji uległości. Do uległości egzekwowanej potem wobec wybranego

partnera przez możliwość wymiany go w trakcie kadencji. I chciałby to zrobić po wyborach prezydenckich, zakładając oczywiście, że jego kandydat wygra. Tak w każdym razie sugeruje Dominika Długosz. Publicystka „Newsweeka” nie ma zapewne kłopotów z uzyskaniem opinii od polityków PO, inna rzecz, czy mówią jej to, co mówią, dlatego, że tak myślą, czy też po to, by myślano, że tak myślą.

Ale zupełnie niezależnie od tego, czy planują czy straszą – nie wiadomo właściwie po co PSL miałyby czekać na egzekucję tych gróźb czy choćby działać pod ich presją. Może przecież spokojnie się zastanowić: Jak zdążyć przed Tuskiem? Jak odebrać przywódcy PO instrumenty destrukcji PSL, zanim ten spróbuje ich ostatecznie użyć? Piszę „ostatecznie”, bo skoro straszy, to już ich używa.

ODWRÓCENIE PRZYMIERZY

Konstruktywne wotum nieufności, w którym Sejm zmienia premiera na polityka PSL, a PSL zmienia partnerów koalicyjnych z PO i Nowej Lewicy na PiS i Konfederację, ma o wiele więcej zalet niż tylko utrzymanie przez PSL władzy

wbrew próbom marginalizacji tej partii. PSL, stając na czele centroprawicowego rządu, potwierdza swą chrześcijańsko-ludową tożsamość i do wyborów prezydenckich idzie nie jako partia średnia, ale zdolna do kierowania państwem. I z tej samej pozycji może przygotować się do wyborów parlamentarnych. A przede wszystkim może znacząco przyspieszyć proces przekształcania się w partię ogólnonarodową. Zresztą w większości języków europejskich (a tak powinno być i w naszym) „ludowy” jako kategoria polityczna oznacza – zdolny do walki o większość, reprezentujący przeciętnych obywateli, mający (jak górnolotnie mówią Francuzi) powołanie większościowe. U boku Donalda Tuska Polskie Stronnictwo Ludowe nigdy tej pozycji nie zdobył, nawet – czy właściwie tym bardziej – w charakterze „kotwicy” powstrzymującej okręt szaleńców.

Oczywiście wymagałoby to zmiany psychologii tej partii. Do tej pory PSL nigdy nie chciał rządzić z prawicą, o czym wiem najlepiej, bo w różnych momentach historii namawiałem ich do takiej współpracy. Sytuacja jednak zasadniczo

się zmieniała. Wtedy za każdym razem ludowcy musieliby przyjąć rolę słabszego uczestnika koalicji, teraz po raz pierwszy mogą stanąć na czele rządu z udziałem prawicy. Paradoksalnie umożliwia to obecna koalicja PSL z PO i z Lewicą. Pozycję, której PSL nie zdobyłoby w wyborach, ma dzięki udziałowi w rządzie i możliwości jego zmiany. To potwierdza jego rolę jako partii zdolnej decydować o kształcie władzy w państwie. Obecna sytuacja daje PSL nie tylko szansę decydowania o tym, czy koalicja będzie trwać i jaka większość powstanie, ale przede wszystkim – czy trwać będzie przekształcanie Polski w demokrację sterowaną i ustawiczne niszczenie polskiej tożsamości. Czy trwać dalej będzie rewolucja, która – jak każda rewolucja – niedługo zacznie zjadać swoje dzieci. Od tego, by to zmienić, dzieli Polskie Stronnictwo Ludowe tylko jedna mocna deklaracja: nie po to krytykowaliśmy PiS, aby tolerować to, co PO i skrajna lewica robią dzisiaj!

ODPOWIEDŹ PRAWA I SPRAWIEDLIWOŚCI

Co w tym wariacie ryzykuje PiS? Z pewnością trochę poparcia społecznego, które może przejąć wzmocniony PSL. Pozostawianie u władzy PO i skrajnej lewicy niesie jednak dla PiS większe zagrożenia. W demokracji sterowanej Tuska prawica ma nigdy nie wrócić do władzy. A przede wszystkim ma systematycznie zanikać Polska, która prawicę uznawała za politycznego wyrażiciela swojej tożsamości.

Oczywiście każda koalicja niesie wzajemne ryzyka, ale w wypadku porozumienia PiS-PSL nie należy z nimi przesadzać. Konfrontację ich obaw i ambicji mogą rozładować wybory prezydenckie. Jeśli Prawo i Sprawiedliwość zdobędzie najlepszy wynik na prawicy – to potwierdzi swą pozycję polityczną. A PSL, jeśli nawet zdobędzie (nieosiągalny we wcześniejszych wyborach prezydenckich) dwucyfrowy wynik, i to tak wzmocni partię przed wyborami parlamentarnymi i umocni jej samodzielność.

WYZWANIE KONFEDERACJI

Jest oczywiście pytanie o Konfederację. Właściwie uchylać je powinny deklarowane przez liderów tego ugrupowania przekonania narodowe. Sensem nacjona-

lizmu jest kierowanie się interesem ogólnym tam, gdzie inne partie kierują się swoim. Rola „kotwicy interesu narodowego” w zgiełku emocji i partykularnych interesów. Ale dyspensujemy na chwilę Konfederację od tych wysokich rygorów i rozważmy również jej interes. To, o co dziś realnie może walczyć Konfederacja, to wzmocnienie swojej pozycji w koalicji, którą w przyszłości zawrze. Koalicji jako takiej jednak nie ominą, chyba że wybiorą rolę permanentnej opozycji.

Do tej pory Konfederacja stworzyła wyborczą alternatywę dla PiS. Dała wyborcom prawicy możliwość efektywnego głosowania inaczej. To rzecz ważna, ale nie oznacza jeszcze zdolności zastąpienia PiS. Tym bardziej – nie jest to jeszcze alternatywa ideowa. Owszem, obie partie „się różnią”. Nic dziwnego, demokratyczny pluralizm żyje z demonstrowanych różnic. Rzeczywista alternatywa polega jednak nie na tym, że partia inaczej się wypowiada, ale na tym, że robi to, czego nie chce lub nie potrafi robić ta, od której się różni. Taka głębsza zmiana to ciągle wyzwanie, które Konfederacja może podjąć. I może podjąć je właśnie w koalicji rządowej. Uczestnicząc we władzy, podejmując decyzje w ramach wybranych pól działania, pokazując możliwości innej polityki.

JAK TO ZŁOŻYĆ?

Natura nie zna równości ani symetrii. Jej brak nie może być jednak przeszkodą dla zbudowania centroprawicowej koalicji, bo w naturze również symetryczne koalicje nie występują. Na czym może więc polegać elementarna równowaga, potwierdzająca w tym porozumieniu pozycję każdej partii i respektująca ich konieczny wkład we wspólną pracę?

Stanowisko premiera powinno przypaść Polskiemu Stronnictwu Ludowemu. Prawu i Sprawiedliwości – najwięcej resortów (jako partii wyraźnie największej). Konfederacji – preferencyjny wybór ministerstw, powiedzmy pierwszego i czwartego (i kolejnych według uzgodnienia). Przy dobrej woli wszystko się da rozwiązać, a negocjować najlepiej w oparciu nie o upór, ale o ustalone logiczne zasady.

ANI, ANI – MY CHCEMY SAMI!

Ta większość istnieje nie od dziś. Swe rozmiary pokazywała już w poprzednim

Sejmie, w obronie czci Jana Pawła II. Potwierdziła swe istnienie w obecnym, w obronie życia. (Jej rozmiar jest zresztą większy niż wynik, bo wśród posłów PiS była rekordowo duża absencja, większa niż we wszystkich pozostałych partiach razem wziętych). Jeśli premierowi Tuskowi przyszedłoby do głowy proponować likwidację waluty narodowej, to ta większość z pewnością ujawniłaby się znowu. Ale nie ma co na to czekać, czas już dziś nadać jej ramy instytucjonalne.

Oczywiście trzeba przekonać wyborców. Szczególnie dotyczy to PSL, które dokonywałoby zmiany koalicji. Ale do tego wystarczą dwie, trzy mocne deklaracje w czasie kryzysów. I ta najważniejsza: „Nie po to krytykowaliśmy PiS!”. Przywódcy PSL powinni powiedzieć to społeczeństwu, ale przede wszystkim – powinni powiedzieć to sobie.

Problem dotyczy jednak również partii prawicowych, ich wzajemnych relacji. Obie – zarówno Prawo i Sprawiedliwość, jak i Konfederacja – wyznają ideologię „tylko my”. Co gorsza, wydaje się, że po obu stronach to podejście odpowiada pewnej części zwolenników każdej z tych partii. Temu sprzyja upowszechnione w demokracji przekonanie, że polityka to „walka o władzę”. W istocie jest to zaprzeczeniem klasycznego rozumienia polityki, która z natury jest nie „walką”, ale udziałem we władzy suwerennej. Suwerenna władza państwa musi być nienaruszalna, by polityka i związana z nią konkurencja w ogóle mogły istnieć. Próba zaboru władzy suwerennej to rewolucja. A normalna władza zawsze jest częściowa, bo dysponuje zakresem kompetencji i czasowym mandatem, określonymi w prawie. Niby to rzeczy oczywiste, ale gdy społeczeństwo ogarnia chaos – nawet zasady najprostsze swoją oczywistość tracą.

Dziś najważniejsze jest, by po serii rewolucji złości przyszła wreszcie kontrewolucja odpowiedzialności. Przywódcy polityczni mogą wykonać ważny krok w tę stronę. Czy decydujący? Na pewno decydujący o wielu istotnych sprawach. A jeśli mają opory, to opinia publiczna tym bardziej powinna im mówić, że nie ma czasu do stracenia. A dokładnie biorąc – Polska nie ma czasu do stracenia.

Protest w Londynie, 31 lipca 2024 r.

FOT. JORDAN PETTITT/EPA/PAP

Wielka Brytania płonie

Jeden z odcinków genialnego serialu komediowego „Fawlty Towers” (znanego w Polsce jako „Hotel Zacisze”), stworzonego w latach 70. XX w. przez Johna Cleese’a z grupy Monty Pythona, nosi tytuł „Goście z Niemiec”. Do hoteliku, prowadzonego przez Basila Fawlty’ego, przyjeżdżają Niemcy, a Basil stawia sobie za cel, żeby nie powiedzieć przy nich ani słowa o drugiej wojnie światowej. Co mu się oczywiście kompletnie nie udaje.

Basil Fawlty z tego odcinka serialu zarazem przypomina premiera Wielkiej Brytanii Keira Starmera i różni się od niego. Od momentu, gdy brytyjskie miasta zapłonęły po zabójstwie w Southport, premier Starmer postawił sobie ewidentnie za cel, aby ani słowem nie wspomnieć o sprawach, które ten bunt – tak to już chyba można nazwać – wywołały. Jednak, w odróżnieniu od Basila, jemu się to dotąd doskonale udaje. Zamiast „don’t mention the war” mamy więc „don’t mention immigration”.

PYTANIA O MOTYW

Wielka Brytania na razie zapaliła się punktowo, ale bez wątpienia jest



Łukasz Warzecha

Wielka Brytania na razie zapaliła się punktowo, ale bez wątpienia jest to pożar. Zabójstwa w Southport wyzwoliły w wielu Brytyjczykach od lat kumulowaną frustrację z powodu rasowej poprawności politycznej własnego państwa

to pożar. Jego zarzewiem była tragedia w Southport, średniej wielkości (niecałe 100 tys. mieszkańców) mieście na północnym zachodzie Anglii. 29 lipca 17-letni Brytyjczyk w pierwszym pokoleniu, Axel Rudakubana, zamordował za pomocą noża trzy dziewczynki, a osiem innych ciężko ranił podczas lekcji tańca w domu kultury w dzielnicy Meols Cop. Rany odniosło również dwoje dorosłych. Zamordowane dzieci miały sześć, siedem oraz dziewięć lat.

W pierwszym momencie danych sprawy nie podano do publicznej wiadomości, jako że nie był pełnoletni. Zmienił to sąd po pierwszych rozruchach, skierowanych przeciwko muzułmanom,

aby zapobiec eskalacji. Dowiedzieliśmy się wówczas, że zabójca jest synem imigrantów z Rwandy. Co ciekawe, policja do momentu, gdy powstaje ten tekst, nie wypowiedziała się na temat jego motywacji, oficjalnie stwierdzając jedynie, że nie traktuje ataku jako aktu terroryzmu. Dlaczego – tego nie wiemy, skoro modus operandi jako żywo przypomina inne podobne ataki, do których dochodziło w Wielkiej Brytanii w ostatnich latach wielokrotnie. Aby przypomnieć choćby makabryczne zabójstwo 25-letniego żołnierza, Lee Rigby’ego, przez dwóch islamistów w Londynie w maju 2013 r. czy atak na London Bridge w listopadzie 2019 r. W tym ostatnim przypadku

sprawca, Usmar Chan, z pochodzenia Pakistańczyk, zabił nożem dwie osoby. Wcześniej, w 2018 r., został warunkowo zwolniony z więzienia, gdzie odsiadywał karę za przestępstwa związane z terroryzmem. Jego atak na przypadkowych przechodniów został powstrzymany m.in. dzięki pracującemu nieopodal w restauracji Polakowi, który – nie dysponując inną bronią – ruszył na terrorystę ze zdjętym ze ściany lokalu kłębem narwała.

Brak informacji co do motywów Rudakubany zaczyna wzbudzać kolejne podejrzenia i pytania. Wiele osób w brytyjskich mediach społecznościowych zaczęło zastanawiać się, czy nie mamy do czynienia z dość typowym dla Europy Zachodniej przypadkiem islamskiej radykalizacji drugiego pokolenia imigrantów, co byłoby spójne z profilem wielu terrorystów muzułmańskich w Europie.

GROŹBY WŁADZY

Rozruchy wybuchły w wielu miejscach. Przede wszystkim w samym Southport, a także w Londynie w pobliżu Downing Street, siedziby szefa rządu, również m.in. w Leeds, Manchesterze, Leicester, Liverpoolu, Blackpool, a nawet w Belfaście. W wielu miejscach starcia z policją były bardzo gwałtowne, a w kilku doszło do ataków na hotele, gdzie brytyjski rząd kwateruje nielegalnych imigrantów.

Reakcja nowego laburzystowskiego premiera była znamienita. W swoich wystąpieniach groził „bandziorem” (thugs) poważnymi konsekwencjami, mówiąc nie tylko o postawieniu ich przed sądem i wsadzeniu do więzień, lecz także o wprowadzeniu restrykcji w możliwości przemieszczania się. Była także mowa o wzmocnieniu technologii rozpoznawania twarzy, kojarzonej przede wszystkim z chińskim systemem autorytarnym (choć stosowanej w wielu miejscach na Zachodzie).

Premier Starmer groził również mediom społecznościowym, a domyślić się można, że te groźby były skierowane w dużej mierze w stronę niepokornego portalu X, własności Elona Muska. „Mówię to do dużych firm mediów społecznościowych i ich właścicieli: zamieszki w oczywisty sposób miały swój początek właśnie tam: to także jest przestępstwo. To się dzieje na waszym terenie, a prawo

musi być przestrzegane wszędzie!” – grzmiał brytyjski premier 1 sierpnia.

Musk podpadł Starmerowi z powodu swojego wpisu na X, w którym stwierdził, że „wojna domowa [w Wielkiej Brytanii] jest nieunikniona”. Błyskawicznie odezwał się rzecznik rządu, stwierdzając, że „nie ma usprawiedliwienia dla takich komentarzy”, a każdy, kto „napędza przemoc w sieci”, spotka się z konsekwencjami prawnymi. Musk nie dał za wygraną. Gdy w wystąpieniu z 1 sierpnia Starmer oznajmił, że „ataki na meczety i muzułmańskie wspólnoty nie będą tolerowane”, Musk spytał: „A nie powinien się pan przejmować atakami na wszelkie wspólnoty?”.

Wiele osób wskazuje na sprzeczność w działaniach i zapowiedziach laburzystowskiego rządu. Ten bowiem dopiero co, w połowie lipca, zaczął planować wypuszczenie z więzień znacznej liczby skazanych z powodu przeładowania zakładów penitencjarnych. O tym planie alarmowali zarządcy więzień. Jednocześnie premier Starmer zapowiada teraz, że uczestnicy i prowodyrzy zamieszek będą umieszczani za kratkami.

PORAŻKA POLITYKI MIGRACYJNEJ

Protesty i zamieszki spowodowały reakcję w postaci kontrotestów. Pojawiły się również grupy muzułmanów atakujących białych. Tak było m.in. w Bolton. O tym nie tylko milczy premier Starmer, wskazując wyłącznie winnych po jednej stronie, lecz także całkiem inaczej wobec takich sytuacji zachowuje się brytyjska policja. Wobec protestów białych mieszkańców kraju przyjmuje stanowczą postawę, wobec radykalnych działań muzułmanów czy czarnych pozostaje bierna. Gdy reporter Sky News zapytał o to sir Marka Rowleya, zwierzchnika Metropolitan Police (struktury policyjnej, odpowiadającej w Wielkiej Brytanii za zagadnienia dotyczące całego kraju), kiedy ten wychodził ze spotkania na Downing Street, komendant policji, poirytowany, bez słowa wytrącił mu mikrofon z ręki.

Komentując zamieszki w internetowej telewizji Talk.tv, dr Rakib Ehsan, konserwatywny publicysta i zarazem naukowiec, specjalizujący się w kwestiach spójności społecznej, zauważył, że rozruchy mają wyraźnie „plemienny” charakter, co jego zdaniem jest ogromnym zagro-

żeniem dla stabilności Wielkiej Brytanii. Ehsan uważa, że to skutek całkowicie błędnej polityki migracyjnej. Komentator zwrócił również uwagę, że stanowiło, które w sprawie zamieszek i protestów zajął szef rządu, grozi utrwaleniem wśród białej części brytyjskiej populacji przeświadczenia, że nie jest równo traktowana, a szczególną ochroną władzy cieszą się imigranckie mniejszości.

Nie ma wątpliwości, że nazywanie gwałtownych i pełnych przemocy zamieszek „protestami” jest eufemizmem. W wielu przypadkach to zwykłe burdy. Pod słuszne i dopuszczalne protesty na ogół podłączają się ludzie, których jedynym celem jest demolka albo których niespecjalnie obchodzi, jaka jest motywacja – chcą jedynie wyładować swoją głęboką frustrację. W ostatnich dniach w brytyjskich miastach widzieliśmy obrázky znane doskonale z innych państw, gdzie dochodziło do rozruchów z dowolnego powodu: podpalone samochody, wybijane szyby, policjanci obrzucani kamieniami.

Można by zatem uznać, że premier Starmer ma rację, grożąc uczestnikom takich zająć wszelkimi możliwymi konsekwencjami. Problem w tym, że jednocześnie szef brytyjskiego rządu uparcie nie dostrzega przyczyny napięć, a jedynie objawy. Leczenie objawów zaś nigdy nie przynosi trwałych skutków – może najwyżej przynieść doraźną ulgę.

Jego wystąpienie z 1 sierpnia można uznać wręcz za prowokacyjne. Na początku Starmer odniósł się do zabójstw z Southport, jednak w szczególnie sposób: stwierdził, że rodzinom ofiar trzeba dać czas na żałobę, a „czas na pytania przyjdzie później”. Dalej był już klasyczny arsenał, a więc mowa o „bandziornach”, o „nazistowskim pozdrowieniu” podczas zamieszek, o „skrajnie prawicowej nienawiści”. Premier wspominał również o obrzuceniu racami pomnika Winstona Churchilla. Co ciekawe, pomazanie sprayem tego samego pomnika w 2020 r. przez ludzi zainspirowanych ruchem Black Lives Matter i sprzeciwiających się rzekomej dyskryminacji rasowej, Starmerowi nie przeszkadzało. O BLM wyrażał się wówczas z największym zachwytem jako o ruchu, który ma ogromne znaczenie dla sprawy „równości rasowej”.

■ Zabójstwa w Southport wyzwoliły w wielu Brytyjczykach od lat kumulowaną frustrację z powodu rasowej poprawności politycznej własnego państwa. Zamieszki wybuchły m.in. w Rotherham, w Południowym Yorkshire. W tym mieście miał miejsce koszmarny proceder masowych gwałtów na nastolatkach, opartych na tzw. groomingu (powolnym szykowaniu dzieci na ogół będących w trudnej sytuacji do roli zabawek seksualnych), a ciągnący się przez wiele lat. W latach 1997–2013 gwałty miały dotknąć 1,4 tys. dziewczynek. Jednak najnowsze oskarżenia sięgają drugiej połowy ubiegłej dekady. Informacje o gwałtach były przez długi czas ignorowane i zamiatane pod dywan, jako że ofiarami były przede wszystkim białe, brytyjskie dzieci (a w części również Azjatki), sprawcy natomiast należeli do muzułmańskiej mniejszości – w większości byli to Pakistańczycy.

Jeśli szukać winnych obecnej sytuacji, to należałoby sięgnąć w nieco dalszą przeszłość – procesy społeczne zajmują bowiem sporo czasu – co najmniej do okresu rządów Tony'ego Blaira (1997–2007) i jego następcy Gordona Browna (2007–2010). Blair, autor koncepcji „trzeciej drogi” (tak, tak, to nie Szymon Hołownia wymyślił tę frazę i wprowadził ją do polityki), był także pomysłodawcą koncepcji „nowej Brytanii”. W 1997 r., u progu swoich rządów, wydał książkę „New Britain: My Vision of a Young Country” („Nowa Brytania: moja wizja młodego kraju”). Była ona potwierdzeniem kursu laburzystów utrzymywanego od dawna: Wielka Brytania ma być społeczeństwem wielokulturowym. Partia Pracy w ten sposób kontrastowała się z ówczesnym podejściem konserwatystów (później już nieaktualnym).

7 lipca 2005 r. Londynem wstrząsnęła seria terrorystycznych ataków, przeprowadzonych przez radykalnych islamistów. Zamachowców było czterech, trzech z nich – podobnie jak Rudakubana – było urodzonymi w Wielkiej Brytanii dziećmi imigrantów, w tym wypadku z Pakistanu. Byli zatem brytyjskimi obywatelami – jak Rudakubana (w Wielkiej Brytanii obowiązuje prawo ziemi). Czwarty urodził się na Jamajce i był islamskim konwertytą. W wyniku eksplozji bomb w metrze zginęły 52 osoby, ponad 780 zostało rannych. Wśród ofiar byli również wszyscy sprawcy.

Fakt, że brutalne zamachy przeprowadzili brytyjscy obywatele, którzy według laburzystowskiej koncepcji mieli „ubogacać” brytyjskie społeczeństwo swoim imigranckim pochodzeniem, był dla Partii Pracy problemem. Stąd ogłoszone w grudniu 2006 r. przez ówczesnego premiera wystąpienie znane jako „Przyszłość mojego kraju”. Blair nie wycofał się w nim bynajmniej z pochwały multi-kulti, próbował natomiast uspokoić nastroje, podkreślając, że do zachodnich wartości muszą się dostosować radykałowie.

Mówił m.in.: „Po raz pierwszy od pokolenia odczuwalne są dyskomfort, niepokój, czasami nawet pretensja, że nasza otwartość, chęć przyjęcia różnorodności, duma z bycia domem dla wielu kultur są używane przeciwko nam; są wręcz nadużywane, by nas skrzywdzić”. Premier odpowiedział się wtedy za rozwiązaniami takimi jak zakaz noszenia czadoru w miejscach publicznych czy ścisłe wytyczne dla muzułmańskich medres (szkół nauczających islamu), zakładające krzewienie „tolerancji”.

Były to oczywiście unik i niedostrzeżenie zasadniczego problemu, którym nie są radykałowie sami w sobie, ale niemożność zbudowania stabilnego społeczeństwa wielokulturowego. Z tej strategii się nie wycofano – nie zrobili tego również po przejściu władzy torysi, którzy w swoich różnych politykach coraz bardziej przypominali laburzystów. Głosząc za brexitem, wielu Brytyjczyków głosowało również za odejściem od polityki przyjmowania wszystkich – zawiedli się jednak.

Można zatem powiedzieć, że dzisiaj premier Starmer kontynuuje jedynie linię wyznaczoną przez jego środowisko polityczne dawno temu, tyle że robi to w sytuacji daleko bardziej podbramkowej niż nawet ta, z którą wskutek zamachów z 7 lipca 2005 r. spotkał się Tony Blair. Skutki rozbijania spójności społecznej bowiem narastają z każdym rokiem – wraz ze wzrostem odsetka imigrantów zamieszkujących w Wielkiej Brytanii. W 2005 r. w tym kraju zamieszkiwały 4 mln osób spoza UE. W 2021 r. – już 6 mln. A pamiętać trzeba, że problemy wywołują często ci, którzy mają już brytyjskie obywatelstwo z racji urodzenia w Zjednoczonym Królestwie,

jak Rudakubana. Ich statystyka imigracji nie odnotowuje.

PRZYCZYNA NIE ZNIKNIĘ

Wielka Brytania ze swoją polityką imigracyjną stała się świetnym laboratorium, które jak na tacy podaje nam gotowe wnioski. O ile imigranci bliscy kulturowo, a więc głównie ci z Europy czy ogólnie pojętego Zachodu – w tym Polacy – są dobrze zintegrowani, o tyle ci z Afryki czy krajów muzułmańskich, pochodzący z najnowszych fal imigracji, nie integrują się niemal w ogóle. W brytyjskim społeczeństwie jest oczywiście wiele dobrze zintegrowanych osób pochodzących z krajów z dawnego imperium – z Indii czy nawet Pakistanu. Tyle że są to ludzie, których proces integracji przypadł na okres, gdy proporcje mniejszości do większości były odmiennie. Jak wiadomo, ma to ogromne znaczenie. W przypadku każdej mniejszości istnieje próg, po przekroczeniu którego integracja członków takiej mniejszości staje się bardzo trudna albo wręcz niemożliwa. Można spokojnie założyć, że ten próg został już przekroczony w Polsce w przypadku Ukraińców.

Rozruchy po zabójstwach w Southport zapewne w końcu uciną. To jednak w żaden sposób nie zlikwiduje ich przyczyny: narastającego poczucia zagrożenia wśród rdzennych Brytyjczyków, przeświadczenia, że ich własny rząd nie przejmuje się ich losem, wrażenia, iż w niektórych miejscach ich kraj znajduje się pod obcą okupacją – wszędzie tam, gdzie nieintegrujące się mniejszości etniczne tworzą coraz szczelniejsze i większe enklawy. To zjawisko świetne znane również z Francji czy ze Szwecji. Dlatego prawdopodobnie każda nowa iskra – np. sam proces Rudakubany czy zbyt niski wyrok – z pewnością na nowo rozpali emocje i wywoła kolejną falę zamieszek.

Konflikt w Wielkiej Brytanii powinien być kolejnym ostrzeżeniem dla Polski, aby w żadnym wypadku nie szła tą drogą. To następny argument przeciwko tym, którzy stwierdzają, że masowa imigracja jest jedynym sposobem na spadającą demografię. Naprawdę lepiej pogodzić się z mniejszą liczbą ludności i wynikającymi z tego problemami niż popełnić błędy Szwedów, Francuzów, Niemców czy Brytyjczyków.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Arszenik i nowe porządki



Dariusz
Wieronieczny

Dlaczego w polskich mediach można przeczytać tekst, w którym zbrodnia wojenna opisywana jest jako coś dobrego?

Niezwykła stylistyka dominować zaczyna w polskich mediach opisujących zmagania wojenne na Ukrainie. Oto, w jaki sposób jeden z dramatycznych epizodów tego konfliktu opisuje portal o2. Tekst opatrzone został tytułem: „Ukraińcy zastawili pułapkę. Rosjanie zjedli arbuzy, 12 umarło w męczarniach”.

Jak informuje nas dziennikarz o2.pl: „Wojna w Ukrainie trwa już od dwóch i pół roku. W tym czasie poza działaniami na froncie jednymi z ważniejszych czynności podejmowanych przez ukraińskich żołnierzy i obywateli jest działania partyzanckie na terenach okupowanych przez Rosjan”. Zdanie to, jak wiele innych w tekście, jest skonstruowane w sposób koślawy i niepoprawny. Autor przetłumaczył zapewne materiały propagandowe stworzone w języku obcym i na poprawną składnię nie starczyło mu czasu. Miał natomiast zapasy uznania dla „czynności podejmowanych przez ukraińskich żołnierzy i obywateli”, w skutek których Rosjanie „umierają w męczarniach”. „To właśnie w tym liczącym przed wojną

niemal 500 tys. mieszkańców mieście (Mariupolu) rozpoczęły się liczniejsze i silniejsze akcje partyzanckie, które raz na jakiś czas przynoszą spektakularny sukces. Tak też było przed kilkoma dniami, kiedy to ukraińskim partyzantom udało się wyeliminować czasowo z pola walki co najmniej 40 osób. Tak wysoka liczba jest efektem sprawdzonego już w trakcie tej wojny oszustwa, polegającego na dodaniu do wydawanego rosyjskim żołnierzom jedzenia sporej dawki trucizny”.

„SUKCES”

Dodanie arszeniku do arbuzy i otrucie w ten sposób 12 żołnierzy jest, zdaniem dziennikarza, „spektakularnym sukcesem akcji partyzanckiej”. Zatrucie żywności to „sprawdzone w czasie tej wojny oszustwo”. W jego efekcie „eliminuje się czasowo z pola walki” (czytaj: także zabija trucizną) „co najmniej 40 osób”. „W tym celu po kontakcie ze sprzedawcą trafiły do nich arbuzy, które w czasie wojny bez wątpienia były dla Rosjan niemałym rarytatem [...]. Ukraińcy, wiedząc jednak, do kogo trafi zamówienie, do smacznych owoców dodali truciznę, która zebrała swoje żniwo w rosyjskiej armii”. Podkreślenie walorów smakowych ukraińskich arbuzy jest zapewne wyrazem uznania dla niezmiennie wysokiej jakości ukraińskiej produkcji rolnej.

W podobnym tonie nasładowały się informacją o zatrutych arbuzach inne polskie media. „Mordercze arbuzy pokonały rosyjskich żołnierzy w Mariupolu” – kpiła gazeta.pl, „Udana akcja partyzantów

w Mariupolu. Rosjanie otruci arbuзами” – winał sukcesu pilsatnews.pl.

Używanie podczas działań wojennych trucizn traktowane jest w prawie międzynarodowym jako zbrodnia wojenna już od ponad 100 lat. Osoby podstępnie trujące swoich przeciwników budziły odrazę już w dramatach Szekspira, a zapewne i wcześniej ten rodzaj „sprawdzonego w czasie wojny oszustwa” uważano za czyn haniebnny. Jednoznacznie potępiają go konwencje genewskie i haska, jako przestępstwo i zbrodnię wojenną definiując użycie trucizn na wojnie dokumenty Międzynarodowego Trybunału Karnego.

O ROSJANACH TYLKO ŹŁE?

Jak wytłumaczyć brak świadomości powyższych faktów u polskich dziennikarzy komentujących sprawę? Skąd u nich taki zachwyt dla traktowania żołnierzy arszenikiem?

Wytłumaczyć to można na dwa sposoby. Być może udało się polskim władzom, dzięki wytrwałej propagandzie i morderczej konkurencji, wyhodować w polskich mediach typ nieustraszonych, pozbawionych skrupułów moralnych dziennikarzy wojowników. Są to jednostki stojące „ponad dobrem i złem”, bliskie ideałowi nietzscheańskiego „nadczłowieka”, nieuznające nad sobą żadnych kodeksów prawnych ani moralnych. Co dozwolone, a co zakazane na wojnie, decydują oni sami, śmiejąc się co najwyżej z męczarni otrutych wrogów. Jeśli tak sprawy się mają, to dzisiejsi „ludzie pióra” stanowić będą, w razie wojny,

kościec polskich oddziałów specjalnych. Nie znając współczucia dla wrogów, nie będą go zapewne oczekiwać dla siebie, a żołnierz z taką postawą słusznie wzbudzi na polu bitwy popłoch wśród wrogów.

Druga interpretacja jest bardziej pesymistyczna. Wynika z niej, że liczne teksty w polskich mediach piszą kompletne barany, zupełnie nieświadome jakichkolwiek prawnych i kulturowych reguł prowadzenia wojny. Panującą w głównym nurcie wojenną propagandę powtarzają oni zupełnie bezrefleksyjnie za przekazami dnia, stosując prostą zasadę: „o Rosjanach tylko złe, o Ukraińcach tylko dobrze”. Dodatkowo wyznają oni zasadę, że okazywanie Rosjanom nienawiści jest w jak najlepszym guście, a żadne reguły humanitarnego traktowania wobec tak odczłowieczonego przeciwnika obowiązywać nie mogą.

Obawiam się, że to właśnie druga teoria jest dzisiaj bliższa prawdy. Niemałą odpowiedzialność za taki stan rzeczy ponoszą uczeni humaniści głoszący publicznie, że naród rosyjski jest wprawdzie w rzeczywistości abstrakcyjnej („ahistorycznej”) taki jak wszystkie inne, jednak w dziejach minionych stuleci stanowi on uosobienie despotyzmu i zbrodni, we wszystkich – nie wyłączając kultury wysokiej – przejawach funkcjonowania. Skoro twierdzą tak nawet profesorowie historii, to udanemu otruciu „historycznych” już Rosjan arszenikiem można co najwyżej ze zrozumieniem przyklasnąć. Co uczyniły, w znakomitej większości, polskie media. ©©

PAWEŁ CHMIELEWSKI: Napisał pan książkę „Tajemnice siostry Łucji. Fatima. Nieznana prawda”. W 2000 r., na polecenie św. Jana Pawła II, podano do wiadomości publicznej treść tzw. trzeciej tajemnicy fatimskiej. Pan twierdzi jednak, że nie podano jej w całości. Dlaczego?

SAVERIO GAETA: Pewność co do tego daje nam ostatecznie sama s. Łucja [w 1917 r. Łucji dos Santos i jej kuzynom objawiła się Matka Boża – przyp. red.]. Napisała o tym w liście do papieża Pawła VI z 1967 r., który dotąd był nieznany, a który mogłem po raz pierwszy opublikować w mojej książce. W liście tym widząca skomentowała niektóre fragmenty treści trzeciej tajemnicy. Zacytuję: „Istotne punkty tego przesłania. 1. Niezmierna Światłość, którą był Bóg. Przekazałam o tym, że to Światło zostało ukazane, ale już nie o jego rozwinięciu. 2. Słowa Matki Bożej: »W Portugalii na zawsze zachowany zostanie dogmat wiary«. Przekazałam te słowa i zostały one podane do publicznej wiadomości, ale bez wyjaśnienia ich znaczenia. 3. »Na koniec zatriumfuje moje Niepokalane Serce«. Przekazałam te słowa i zostały one upublicznione, ale to, na czym ma polegać ich realizacja, już nie”. Tak więc sama s. Łucja przyznaje, że tekst przesłany do Watykanu w 1944 r. nie obejmował w całości tego, czego się dowiedziała, a bardzo możliwe, że ujawniła to w późniejszym czasie na piśmie lub w osobistych rozmowach z Janem Pawłem II.

To ciekawe słowa. Ale czy na pewno wynika z nich, że w samym objawieniu była jeszcze jakaś dodatkowa treść? Może chodzi tutaj raczej o interpretację objawienia, którą stworzyła już sama s. Łucja w zgodzie ze swoim rozumieniem przekazanych jej obrazów i słów?

Słowa użyte przez siostrę Łucję w liście wysłanym do papieża Pawła VI w 1967 r., a także w innych jej pismach pozwalają mi stwierdzić, że nie była to jedynie jej interpretacja. Wystarczy przytoczyć jako przykład wyznanie s. Łucji odnośnie do triumfu Niepokalanego Serca Maryi, gdzie pisze: „Przekazałam te słowa”, ale nie sprecyzowała tam tego, „na czym ma polegać ich realizacja”. Zatem to oczywiste, że chodziło o coś, co zobaczyła bezpośrednio w widzeniu lub co zostało jej objawione przez Matkę Bożą. Same słowa „ma polegać” wskazują przecież na coś konkretnego i nie mo-



Z włoskim dziennikarzem
Saveriem Gaetą,
autorem książki
„Tajemnice siostry Łucji.
Fatima. Nieznana prawda”
rozmawia Paweł Chmielewski

Trzecia tajemnica fatimska.

Czy znamy ją w całości?

FOT. ADRIEN STOCK

głyby się absolutnie odnosić do zwykłej osobistej interpretacji.

A jednak Stolica Apostolska wielokrotnie wskazywała, że trzecia tajemnica fatimska została ujawniona w całej pełni. Kardynał Józef Ratzinger w 2000 r. pisał wprost w swoim komentarzu teologicznym do trzeciej tajemnicy, że została ona opublikowana „w całości”. Czy sugerowanie, że jest inaczej, jest odpowiedzialne?

Sądzę, że tak. Najbardziej racjonalne uzasadnienie takiego działania Stolicy Apostolskiej stanowi to, że władze

kościelne oddzielają pierwotne słowa orędzia z 1944 r., uznane za pochodzące od Matki Bożej, od treści przedstawionych w późniejszym czasie przez s. Łucję, postrzeganych jako bardziej szczegółowe objaśnienia przekazane przez wizjonerkę, ale którym nie przypisuje się z taką samą pewnością ich rzeczywistego pochodzenia nadprzyrodzonego.

Dlaczego miałyby to być błędne? Czy nie należy dopatrywać się w takim ujęciu sprawy raczej roztropności ze strony Stolicy Apostolskiej?





SAVERIO GAETA
„Tajemnice
SIOSTRY ŁUCJI.
FATIMA. NIEZNANA
PRAWDA”
ESPRIT 2024

Wydaje mi się, że to było niewłaściwe postępowanie, nie tylko wobec wiernych katolików, lecz także wobec całej ludzkości. Nadprzyrodzony charakter objawień fatimskich został bowiem oficjalnie uznany przez Kościół. Dlatego mamy prawo do tego, aby poznać wszystko to, co powiedziała lub wyjaśniła Dziewica Maryja. A potem to już zależy oczywiście od każdego z nas, czy weźmiemy sobie te słowa do serca i czy podejmiemy własną decyzję co do tego, jak dalej postępować. Ale bez poznania pełnej treści orędzi danych nam z Nieba ciągle pozostajemy pozbawieni czegoś, co właśnie może okazać się ważne i mieć dla nas wielkie znaczenie.

A jak można ocenić wiarygodność s. Łucji?

To, że została niedawno ogłoszona czcigodną służebnicą Bożą po tym, jak władze kościelne oficjalnie uznały heroiczność jej cnót, daje nam tę pewność, że s. Łucja nie mogła głosić nieprawdy o tym wszystkim, czego doświadczyła, ani też o jej relacji z nadprzyrodzonością. Tym samym możemy uważać, że zachowuje pełną wiarygodność. Nie chodzi tu o jakąś nieomyślność s. Łucji, tylko o to, czy aby na pewno nie zaświadczyła nieprawdy. Jeśli Kościół ogłosił ją czcigodną służebnicą Bożą, to można powiedzieć, że słowa widniejące na kopercie z trzecią częścią tajemnicy fatimskiej, które brzmią: „Na polecenie Matki Najświętszej...”, nie były jedynie intuicją czy pomysłem s. Łucji, jak to z kolei twierdzi kard. Tarcisio Bertone, lecz stanowiły konkretne polecenie dane z Nieba, ze wszystkimi tego oczywistymi konsekwencjami, takimi jak np. to, że treści te powinny zostać w pełni ujawnione już na początku lat 60.

Treść ujawnionej trzeciej tajemnicy fatimskiej jest zwykle odnoszona do wydarzeń XX w., w tym do zamachu na św. Jana Pawła II. Józef Ratzinger, także jako papież Benedykt XVI, wskazywał jednak, że treść tej tajemnicy może odnosić się również do przyszłości. Co mogłoby to konkretnie oznaczać, biorąc pod uwagę bardzo tragiczny charakter tej wizji?

Najprawdopodobniej to, o czym jest mowa w trzeciej tajemnicy fatimskiej,

można odnosić w znacznej części do przyszłości. Wystarczy tylko wspomnieć proroctwo o zabiciu papieża w kontekście prześladowań Kościoła, a co dotychczas się nie wypełniło, albo o ryzyku kataklizmów i wybuchu wojny atomowej, o czym s. Łucja daje do zrozumienia w niektórych swoich listach. Co więcej, zapowiedź tego, że papież zostanie zraniony, lecz nie zabity, jak to miało miejsce w przypadku Jana Pawła II,

znajduje się w orędziu z 1846 r., przekazanym podczas objawień Matki Bożej w La Salette: „Papież będzie prześladowany ze wszech stron: źli będą wielokrotnie nastawać na jego życie, ale nie będą oni w stanie skrócić jego dni”.

Ważnym przesłaniem z Fatimy – zawartym we wcześniejszych częściach – jest zapowiedź triumfu Niepokalanego Serca Maryi. Wspominał pan o tym, że s. Łucja pisała o tym do papieża Pawła VI. Czy wiadomo, jak konkretnie ten triumf rozumiała s. Łucja albo też – jeżeli pańska interpretacja o istnieniu dodatkowej części trzeciej tajemnicy jest trafna – co mówiła na ten temat sama Matka Boża?

Obecnie tego nie wiemy, ale jestem przekonany, że wyjaśnienie znajduje się w archiwach Watykanu, najprawdopodobniej w archiwum Sekretariatu Stanu Stolicy Apostolskiej. Stąd właśnie mój apel do papieża Franciszka, żeby w końcu została udostępniona cała dokumentacja zawierająca utajnione teksty s. Łucji.

W 2022 r. papież Franciszek bardzo nas zaskoczył, decydując się poświęcić Niepokalanemu Sercu Maryi Rosję i Ukrainę. Poświęcenia Rosji oczekiwała zgodnie z przesłaniem z Fatimy sama Matka Boża. Czy w pańskiej ocenie czyn papieża Franciszka stanowił adekwatną realizację woli Maryi?

Moim zdaniem można powiedzieć, że prośba Matki Bożej została częściowo spełniona, ponieważ poświęcenia dokonano dopiero wtedy, gdy rozpoczął się już rosyjski atak na Ukrainę. Jednocześnie zostało to nawet zapowiedziane słowami Jezusa: papież „uczyni to, ale będzie już za późno”.

Poprzedni papież przemysliwal o poświęceniu Rosji Niepokalanemu Sercu Maryi, ale żaden z nich

nie zrobił tego w sposób tak otwarty jak papież Franciszek; nawet św. Jan Paweł II się na to nie zdecydował. Jak pan sądzi – dlaczego?

Prawdopodobnie dlatego, że względy geopolityczne wzięły górę nad tymi kościelnymi. Moim zdaniem stało się tak ze względu na dość oczywisty błąd w ocenie sytuacji. Wypełniając prośby Matki Bożej w odpowiednim czasie, można było otrzymać to, co obiecała. Niestety, zamiast tego teraz musimy być świadkami sytuacji, która odnosi się właśnie do Rosji.

Objawienia fatimskie cieszą się aprobatą Stolicy Apostolskiej. Na końcu książki wiąże pan przesłanie z Fatimy z domniemanymi objawieniami z Civitavecchia i Medjugorje, które nie zostały jednak nigdy zatwierdzone. Nie uważa pan, że to nazbyt pochopne działanie?

Postawiłem sobie za cel dać czytelnikom możliwość pogłębienia wiedzy na temat orędzi przekazanych podczas innych objawień Matki Bożej, które wiążą się z przesłaniem z Fatimy, a w mojej opinii spełniają wystarczająco wymogi wiarygodności. Oczywiście poruszamy się tu w sferze duchowości, gdzie rozeznanie nie należy do spraw prostych. Jednakże wydaje mi się przydatne rozszerzyć pole całego „dochodzenia”, starając się przy tym nie popadać w niepotrzebne poszukiwanie sensacji.

Papież Franciszek poświęcił Rosję i Ukrainę sercu Maryi, ale Matka Boża wzywała w Fatimie do pokuty, nawrócenia, modlitwy na różańcu i kultywowania nabożeństwa pierwszych sobót. Czy te wezwania pozostają dziś aktualne i katolicy powinni angażować się w te praktyki?

Prośby Maryi Dziewicy należy zawsze brać na poważnie i wypełniać je w integralnej całości. Nigdy nie tracą na ważności, ponieważ ich celem jest wyłącznie nasze zbawienie. To jedyna troska Najświętszej Panny, która wciąż przychodzi na ziemię jako nasza kochająca Matka, pragnąca zaprowadzić wszystkie swoje dzieci do Nieba.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor wywiadu jest publicystą portalu PCh24.pl.



Saverio Gaeta – włoski dziennikarz i pisarz katolicki, były redaktor „L'Osservatore Romano”.

Jan III Sobieski i Józef Piłsudski, fresk, J.H. Rosen, 1937 r. FOT. AMBASADA POLSKA W WASHINGTONIE

Polskie kłopoty z Cudem nad Wisłą



Jerzy Miziołek

Bitwy pod Wiedniem (1683) i Warszawą (1920) są największymi, powszechnie znanymi zwycięstwami polskiego oręża. Pierwsza z nich cieszy się zasłużeniem nieustanną sławą, druga, mimo że była triumfem heroizmu i nauki, do dziś nie doczekała się pomnika w Warszawie

Kościół Wizytek w sercu Warszawy przechowuje w swoich murach epitafia dwóch Strzaleckich – znanego malarza Antoniego i jego wnuka Stacha, młodocianego bohatera wojny bolszewicko-polskiej. W 1897 r. Antoni prowadził w kościele konserwatorskie prace malarskie, w znacznym stopniu bezinteresownie; został

uhonorowany tablicą pamiątkową na pierwszym filarze (od wejścia), w prawej nawie kościoła. Tablica z malowanym portretem Stacha, wmurowana w pierwszy filar (od wejścia), w lewej nawie także zawiera słowa:

*Ś.P. Stach Strzałecki
Syn Zygmunta i Kazimierzy z Karpińskich
Uczeń VI klasy Gimnazjum Państw[owego]
Ochotnik
Starszy Szeregowiec 205 PP
Poległ śmiercią walecznych
Pod Grodnem dn. 23 września 1920 r.
Przeżywszy lat 16.*

Na terenie przyległego do kościoła kampusu Uniwersytetu Warszawskiego temu głęboko poruszającemu epitafium wtórują, w jego patriotycznej nucie, tablica upamiętniająca heroizm Legii Akademickiej i pamiątka szczególna – armata z czasów tejże zwycięskiej wojny. Donośny głos Klio – muzy historii – słyszalny zwłaszcza w tych sierpniowych dniach, w kolejną rocznicę Bitwy Warszawskiej, zachęca do nieustannego wołania o monumentalne upamiętnienie w mieście stołecznym tej jednej z najważniejszych bitew w dziejach świata. Batalia ta

uratowała od sowieckiej pożogi nie tylko odradzającą się Polskę, lecz także całą zachodnią Europę słabą, leczącą głębokie rany po pierwszej wojnie światowej.

HEROIZM, RADIOWYWIAD I WSPARCIE NAUKI

To uratowanie Polski i Europy wymagało wielkiej daniny krwi całego społeczeństwa. Świadczą o tym m.in. tysiące grobów na cmentarzu Orłąt we Lwowie i Wojskowych Powązkach w Warszawie, często bardzo młodych, niekiedy tylko nieco starszych od Stacha Strzaleckiego żołnierzy ochotników. Danina krwi była by jeszcze większa, gdyby nie doskonale funkcjonujący radiowywiad. Dzięki tej specjalistycznej jednostce ulokowanej na Cytadeli Warszawskiej Józef Piłsudski i jego generałowie doskonale wiedzieli, gdzie uderzać, i zwyciężali w kolejnych bitwach. Brytyjski dyplomata i historyk Edgar Vincent d'Abernon w swej książce „The Eighteenth Decisive Battle of the World: Warsaw 1920” (1931, polskie wydania: 1932, 2010 i 2020) zauważył, że Polacy jak gdyby znali rozkazy sowieckich dowódców, i tak rzeczywiście było.

Tak więc wojna z bolszewikami była nie tylko triumfem militarnym, lecz także – co jest szczególnie ważne – triumfem intelektu, triumfem nauki zapowiadającym zmagania w bitwie o Anglię i walki Amerykanów z Japończykami na Pacyfiku. Zatem taktyka zastosowana przez Polaków w wojnie z bolszewikami ma wymiar uniwersalny.

Już w sierpniu 1919 r. por. Jan Kowalewski utworzył specjalny Wydział Szyfrów Obcych i systematycznie łamał większość szyfrów i kodów sowieckich nie tylko operacyjno-wojskowych, lecz także dyplomatycznych i politycznych. W wydziale tym zatrudnieni zostali młodzi oficerowie, z których część była wcześniej oficerami radiowywiadu w armiach austriackiej i niemieckiej. Efektywnie wspierali ich grupa profesorów matematyki i językoznawcy oraz ich asystenci i studenci z uniwersytetów Warszawskiego i Lwowskiego, m.in. profesorowie Stefan Mazurkiewicz, Stanisław Leśniewski, Wacław Sierpiński, Stanisław Słoński oraz dr Stanisław Szachno-Romanowicz. Łamali niezwykle sprawnie (czasem w ciągu zaledwie dwóch, trzech godzin) zmieniane co 10–15 dni szyfry nie tylko czerwonej armii, lecz także „białej” armii rosyjskiej. Tak więc polskie dowództwo miało dokładną orientację w tym, co zagrażało Polsce od Wschodu. Do końca wojny Wydział Szyfrów złamał ponad 100 różnych szyfrów i kodów. Ludzie Kowalewskiego – żołnierze i profesoria – odczytali ok. 3,5–4 tys. rosyjskich szyfrogramów, poczynawszy od Naczelnego Dowództwa Armii Czerwonej i samego Lenina, poprzez korespondencję dowództw frontów, armii, a skończywszy na szczeblu dywizji. Nauka to potęga, zwłaszcza w duecie z bitewnym heroizmem.

GŁOS D'ABERNONA I PROJEKT ŁUKU TRIUMFALNEGO

Cytowany już d'Abernon w swej książce z 1931 r. pisał: „Współczesna historia cywilizacji zna mało wydarzeń, posiadających znaczenie większe od bitwy pod Warszawą w roku 1920. Nie zna zaś ani jednego, które by było mniej doceniane [...]. Zadaniem pisarzy politycznych [...] jest wytłumaczyć europejskiej opinii publicznej, że w roku 1920 Europę zbawiła Polska”. Te słowa i im podobne nosili w sercu liczni Polacy,

ale pomysły na upamiętnienie wielkiego triumfu realizowano raczej wolno, mimo że Stanisław Noakowski wykonał tuż po Bitwie Warszawskiej liczne projekty łuków triumfalnych.

W latach 1929–1931 wzniesiono na Kamionku w Warszawie kościół Matki Boskiej Zwycięskiej; w ambasadzie polskiej w Waszyngtonie powstało duże malowidło Jana Henryka Rosena z Janem III Sobieskim i Piłsudskim jako wybitnymi strategami; pomyślano też w Warszawie o wielkim łuku triumfalnym w ścisłym nawiązaniu do osoby Piłsudskiego. Stało się to dopiero w 1934 r., z okazji 20-lecia odradzania się polskich sił zbrojnych, kiedy to Instytut Propagandy Sztuki rozpiął konkurs na pomnik Legionów. W jednym z nagrodzonych projektów (otrzymał dopiero trzecie miejsce) pojawił się – ważny element – łuk triumfalny. Tak o nim pisano w prasie: „Trzecia nagroda została podzielona między trzech uczestników konkursu. Są to Tadeusz Wojciechowski, Karol Kociński i Marian Wnuk, profesor P.S.T. we Lwowie; projekt opiewa rozwiązanie Alei Ujazdowskich od rogu ul. 6 Sierpnia do Belwederu, gdzie przewiduje łuk triumfalny, reguluje plac przed Belwederem, wyposaża Belweder w dobudowane Muzeum Legionów ze ścianą pamiątkową i przebiega monumentalny zjazd do Łazienek, otwierając widok na pałac Łazienkowski”.

Szybko okazało się, że brakuje funduszy nawet na rozpoczęcie realizacji pomnika. 8 marca jedna z warszawskich gazet tak odniosła się do braku „preliminowanej sumy 100 tysięcy złotych”: „Naszym zdaniem, jeśli nie posiadamy na razie odpowiednich funduszy na cel powyższy – należałoby się wstrzymać z wyborem projektu aż do nastania lepszej pod tym względem koniunktury”. Jeden łuk triumfalny lub dwa proponował też Bohdan Pniewski w swoich wizjach związanych z placem Na Rozdrożu i dzielnicą Józefa Piłsudskiego. Przechowuje je w swoich zbiorach Muzeum Narodowe w Warszawie. Niektóre z nich są niezwykle ciekawe i charakteryzują się ogromnym rozmachem. Wreszcie ogłoszono konkurs, na który swój projekt pomnika Piłsudskiego przysłał Ivan Meštrović, Chorwat, jeden z uczniów słynnego Augusta Rodina.

Niemal nazajutrz po śmierci największego bohatera wojny z bolszewicką Rosją

postanowiono upamiętnić jego postać w przestrzeni miejskiej Warszawy. Już 15 maja 1935 r. utworzono Stołeczny Komitet Budowy Pomnika Marszałka. Na jego pierwszym posiedzeniu Bolesław Wieniawa-Długoszowski powiedział: „Potrzebę tę [uczczenia Piłsudskiego] odczuwa cały kraj”. 1 lutego następnego roku rozpisano konkurs, w którego warunkach podkreślono, iż monument „ma być [...] godnym zwycięskiego Wodza, Twórcy Niepodległej i mocarstwowej Polski”.

Konkurs zakończony w sierpniu 1937 r., do którego zaproszono tylko polskich artystów, nie przyniósł rozstrzygnięcia. Rozpisano zatem kolejny, a wśród artystów dodatkowo zaproszonych znalazł się Meštrović. Po wizji lokalnej placu Na Rozdrożu – w maju 1939 r. – artysta napisał: „Zdałem sobie sprawę na miejscu, że tylko coś wielkiego i monumentalnego powinno tu stanąć”. Niebawem, bo już 20 czerwca, przesłał projekt i fotografie makiet; na tle ogromnego łuku triumfalnego – miał być wysokości na 50 metrów – widnieje konny posąg marszałka; odlany w brązie miał sięgać 25 metrów. Prawdziwie monumentalny projekt Meštrovića z powodu wybuchu wojny nie doczekał się nawet wstępnych prób realizacji.

WYMAZYWANIE I ZAKŁAMYWANIE PAMIĘCI

Tylko przez pierwsze 19 lat rocznice Cudu nad Wisłą były w Polsce celebrowane jako święto państwowe, a historia tego wydarzenia utrwalana przez opracowania historyczne, literaturę i sztukę, a przede wszystkim – przez spontaniczne działania społeczne uczestników walk w obronie granic młodego państwa. W okresie międzywojennym triumf odniesiony w wojnie z bolszewikami był rozumiany jako zwieńczenie i przypieczętowanie wszystkich wcześniejszych zwycięstw polskiego oręża. Bitwa Warszawska była porównywana z wiktoriańską wiedeńską, obroną Jasnej Góry i wielkimi zwycięstwami na Wschodzie (m.in. pod Orszą, Obertynem, Wielkimi Łukami i Smoleńskiem) rozumianymi jako obrona chrześcijaństwa, a zatem i europejskiej kultury.

Od września 1939 do 1989 r., a więc przez pełne 50 lat, pamięć o wojnie polsko-bolszewickiej była wymazywana

z dyskursu społecznego w wymiarze politycznym i historycznym. Znaczenie wydarzeń, których nie można było całkowicie usunąć z narracji historycznej, minimalizowano i przeinaczano. Konsekwencje tego są widoczne do dziś – trzy dekady po uzyskaniu niepodległości. Bardzo powoli odbudowywana jest świadomość doniosłości odniesionego przez Polskę zwycięstwa, nie tylko Cudu nad Wisłą, lecz także obrony Włocławka i Płocka, bitwy pod Komarowem, batalii nad Niemnem i wielu innych heroicznych wydarzeń, włączając w to wcześniejszą obronę Lwowa, a także powstania w Wielkopolsce i na Śląsku. Wracająca wiedza o wydarzeniach w skali makro, a także o jednostkowych dokonaniach pozwala uzmysłwić sobie skalę zafałszowań istniejących do dziś i często bezwiednie powielanych.

Od 1989 r. stosunek do wojny o przetrwanie niepodległej Polski uzyskuje – choć zbyt wolno – należne mu miejsce tak w wymiarze państwowym, jak w świadomości społecznej. Niemniej jednak nie przygotowano obchodów stulecia tej bitwy na miarę jej znaczenia. Najbardziej jednak niepokojące jest pojawianie się czegoś w rodzaju zaszyfrowanych zabiegów mających nie dopuścić do odbudowania pamięci o zwycięstwie nad Rosją bolszewicką i o ogromnej daninie krwi Polaków. Przykładu dostarcza katalog wystawy „Krzycząc: Polska! Niepodległa 1918”, w której podkreślane są m.in. okropności wojny z lat 1919–1920, wskazuje się nie na heroizm, ale na cierpienia ludności cywilnej, złe wyekwipowanie polskiej armii i zaciera się różnice pomiędzy następującymi po sobie wojnami. Wszystko po to, by umniejszyć znaczenie zwycięstwa i sprowadzić je do rangi epizodu pozbawionego wymiaru o globalnym znaczeniu.

Wspomniana wystawa miała miejsce w Muzeum Narodowym w Warszawie w 2018 r. Gdy pod koniec tegoż roku zostałem dyrektorem tej ważnej placówki kultury, natychmiast narodził się pomysł wystawy z okazji 100-lecia Bitwy Warszawskiej. Kuratorem tej ambitnej, dobrze przygotowanej ekspozycji pt. „Triumf 1920. Obraz i pamięć” była prof. Joanna M. Sosnowska. Brak zapowiadanego (niestety, słownego) przez ministra Piotra Glińskiego znacznego dofinansowania muzeum i jego ciągle manifestowana głęboka niechęć do mnie spowodowały



Epitafium Stacha Strzaleckiego w kościele Wizytek w Warszawie
FOT. ARCHIWUM AUTORA

kryzys i moje odejście. Ambitny projekt uczczenia Bitwy Warszawskiej został unicestwiony, Warszawie zaproponowano jej słaby substytut, a na placu Na Rozdrożu przedziwny pomnik na 100-lecie bitwy, który natychmiast nazwano „wkrętem”. Wyśmiany przez wszystkich projekt pozostał na szczęście tylko na papierze. Ukażała się jednak obszerna praca zbiorowa – pod moją i prof. Sosnowskiej redakcją pod tym samym tytułem co unicestwiona przez ministra Glińskiego wystawa – „Triumf 1920. Obraz i pamięć”, do której odsyłałem wszystkich podzielających myśli zawarte w tym tekście.

W OCZEKIWANIU NA POMYŚLNY MOMENT DZIEJOWY

Wydaje się, że zwycięska wojna z bolszewikami 1920 r. wciąż, jakby w spadku po PRL, nie jest postrzegana jako wydarzenie o przełomowym znaczeniu. Czy nadal ma to podtekst polityczny czy tylko świadczy o ignorancji albo jest rodzajem sabotażu na organizmie polskiego patriotyzmu?

W roku stulecia wielkiego triumfu zamiast poświęcać pomniki upamiętniające bitwy pod Radzyminem, Ossowem i Komarowem, mówiło się o planach ich budowy lub wmurowaniu kamienia węgielnego. Podobna sytuacja dotyczyła samej Warszawy, która do dziś nie ma pomnika w stosownej przestrzeni na uroczyste świętowanie triumfu, który był – jak to ujął Adam Grzymała-Siedlecki – „wspólnym dziełem armii, rządu i całego narodu”. Nie pomyślano o nim nawet w miejscu tak bardzo odpowiednim jak Cytadela (w siedzibie jakże zasłużonego radiowywiadu) – gdzie wielkim nakładem środków kreuje się Muzeum Historii

Polski i Muzeum Wojska Polskiego. Katalizatorem takiego pomysłu nie stała się nawet pełna okrucieństwa inwazja Rosji na Ukrainę mająca podobne podglebie, jak atak na Polskę w 1920 r.

Czy najbliższe lata przyniosą bardziej intensywne budowanie legendy wielkiego zwycięstwa i wiekopomny triumf heroizmu oraz nauki nie tylko doczeka się stosownego monumentu w Warszawie, lecz także zajmie w sercach Polaków miejsce tak ważne, jak Powstanie Warszawskie 1944 r.? Czy prawdziwe celebrowanie triumfu roku 1920 doczeka się patrona na miarę Lecha Kaczyńskiego? Czy stanie się nim Mateusz Morawiecki? A może Rafał Trzaskowski?

Nasuwa się jeszcze pytanie o naszą dbałość o miejsce wojny polsko-bolszewickiej w percepcji uniwersalnej. D'Abernnon uznał Bitwę Warszawską za jedną z 18 najważniejszych bitew w dziejach świata, ale to nie jego książka, lecz „Konna armia” i „Dzienniki” Izaaka Babla, uczestnika wojny po stronie sowieckiej, są ciągle wznawiane i czytane na całym świecie. Na szczęście jest to przekaz nieomal obiektywny, nie deprecjonuje polskich zwycięstw, nie pomija nawet roli amerykańskich pilotów, którzy skutecznie walczyli z konarnią Budionnego. Dokonania lotników, m.in. Cedrica Fauntleroya i Meriana Coopera (z czasem generała armii amerykańskiej i reżysera, twórcy filmu „King Kong”), wraz ze znakomitą polskim radiowywiadem – równie kluczowym jak dla Brytyjczyków radar w czasie bitwy o Anglię – to materiał nie tylko na wielką książkę, lecz także na hollywoodzki film. Czyż nam takiego nie obiecywano w minionych latach?

Zamiast dzieła filmowego kreowano jednak pseudowydarzenia bez większego znaczenia, m.in. po morzach świata pływał niezwykle kosztowny w utrzymaniu jacht z napisem „I love Poland”. Co z tego wyniknęło?

Miejmy nadzieję, że pamięć o Stachu Strzaleckim i tysiącach jego poległych kolegów wraz ze spisaniem tu refleksjami i głosami innych, podobnie myślących, staną się zaczynem do zdecydowanych działań na rzecz stosownego czczenia polskiego oręża i jego genialnych specjalistów od szyfrów w wymiarze narodowym i uniwersalnym.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Ta straszna Brygada

Brygada Świętokrzyska NSZ powstała 11 sierpnia 1944 r., zgodnie z wcześniejszymi planami operacyjnymi tej organizacji. Dla wielu publicystów i naukowców jest synonimem wszelkiego zła, jawnej zdrady i permanentnej kolaboracji. Owych dowodów zdrady dotychczas jednak nie znaleziono. Nie ma ich w podstawowych dokumentach niemieckich, jak choćby w fundamentalnym raporcie gen. Reinharda Gehlena. Źródłem tych oskarżeń jest wymarsz brygady z kraju w styczniu 1945 r. w związku z ofensywą sowiecką i wejściem „w stan niewojowania z Niemcami”. Było to zgodne z instrukcjami Naczelnego Wodza, aby ratować substancję żywą przed bolszewikami.

Dotychczas nie znaleziono dowodów, aby oddziały brygady wystąpiły u boku Niemców na froncie. Zresztą i tak nie miałyby to jakiegokolwiek znaczenia militarnego, choć Niemcy bardzo tego chcieli z przyczyn politycznych i propagandowych. Brygada Świętokrzyska liczyła zaledwie 850 żołnierzy i była bardzo słabo uzbrojona, pozbawiona broni pancernej.

W jawnym rozkazie z 7 kwietnia 1945 r. (opublikowanym w organie prasowym „W marszu i boju”) dowódca BŚ, płk Antoni Szacki „Bohun-Dąbrowski” informował żołnierzy, jaki jest cel marszu na Zachód: „nawiązanie kontaktów z polską emigracją na Zachodzie, a w pierwszym

rzędzie z Wodzem Naczelnym, gen. Andersem, celem podporządkowania się jego rozkazom...”. Co więcej, informowano, że BŚ nie zamierza odgrywać roli straży tylnej, osłaniającej odwrót armii niemieckiej.

Brygada w swym marszu doszła do 3. Armii USA, nawiązując z nią wcześniej kontakt przez łączników. Przedtem jednak uwolniła ok. tysiąc więźniarek w obozie w Holszowie, które były przeznaczone do likwidacji. Ponadto – o czym się mniej mówi – uwolniła pobliski obóz pracy – ok. 10 tys. więźniów z obozów niemieckich, przymusowo zatrudnionych w miejscowych zakładach przemysłu zbrojeniowego.

Amerykane starannie sprawdzili BŚ i jej dowództwo, czy to nie jest jednostka kolaboracyjna w służbie niemieckiej. Okazało się, że nie. Z racji braterstwa broni (Polacy przekazali Amerykanom setki jeńców niemieckich, w tym oficerów wyższych) Brygada uzyskała „status Wojsk Alianckich”. Jej żołnierze i oficerowie dostąpili zaszczytu noszenia oznak poszczególnych dywizji amerykańskich na mundurach (jako jedyna formacja tego typu). Co więcej, w planach 21. brytyjsko-kanadyjskiej Grupy Armii zakładano, że będzie ona załącznikiem 4. Polskiej Dywizji Pancernej. Z tych planów już nic nie wyszło, wojna się skończyła, a Brytyjczycy inaczej zamierzali rozwiązać sprawę polskiego wojska. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Początki portu w Gdyni

140 km wybrzeża, które otrzymała Polska na mocy traktatu wersalskiego, okazało się kompletnie niezagospodarowanych. W tej sytuacji najważniejszą sprawą była budowa własnego portu, który uniezależniłby nasz kraj od kaprysów władz Wolnego Miasta Gdańska. Dlatego już wiosną 1920 r. rozpoczęło się poszukiwanie odpowiedniej lokalizacji.

Pod uwagę brano różne rozwiązania: deltę Wisły wraz z przekopaniem kanału oraz okolicę Jeziora Żarnowieckiego. Ostatecznie wygrała koncepcja ulokowania portu na samym wybrzeżu, co nie było prostą decyzją. Półwysep Helski ograniczałby rozwój przyszłego miasta, a wody w okolicach Pucka i Władysławowa były zbyt płytkie. Ostatecznie specjalna komisja wytypowała wsie Oksywie i Gdynia. Atutami były stosunkowo duża głębokość wody, niewielka jej podatność na zamarzanie podczas zimy i duże obszary płaskiego terenu umożliwiające zabudowę.

O nazwie przyszłego miasta zadecydował przypadek. Początkowo portowi zamierzano dać nazwę Oksywie, jednak w pobliżu wioski o nazwie Gdynia był zlokalizowany przystanek kolejowy. I tak już zostało.

We wrześniu 1922 r. Sejm uchwalił ustawę „o budowie portu przy Gdyni na Pomorzu, jako portu użyteczności publicznej”, a z inwestycją

nierozerwalnie związana jest postać Eugeniusza Kwiatkowskiego. Z chwilą objęcia przez niego stanowiska ministra przemysłu i handlu budowa portu wyraźnie przyspieszyła. Kwiatkowski był propagatorem morskiej polityki państwa i głównie dzięki jego staraniom parlament przyznawał odpowiednie fundusze. Jednocześnie inwestycja ograniczała bezrobocie, dając zatrudnienie i nadzieję na przyszłość tysiącom ludzi. Budowa portu stała się sprawą narodową, katalizatorem przemian i patriotyzmu, wielkim ogólnonarodowym marzeniem.

Oczywiście nie obyło się bez problemów. Wykonawstwa podjęło się poznańskie Towarzystwo Robót Inżynieryjnych, jednak skala robót szybko przerosła firmę. Dwa lata później podpisano umowę z polsko-francuskim konsorcjum, a następnie z firmami duńskimi i brytyjskimi. Chociaż inwestycja miała trwać jeszcze przez wiele lat, to jednak za początek działalności Gdyni uważa się 13 sierpnia 1923 r., gdy do portu (składającego się wtedy jeszcze z drewnianego pomostu) zawinął pierwszy obcy statek – francuski parowiec s/s „Kentucky”. Było to jednak nieco przypadkowe zdarzenie, gdyż jednostka została skierowana do Gdyni z powodu strajku gdańskich dokerów. Początek został jednak zrobiony, a Gdynia i tak niebawem stała się najnowocześniejszym portem nie tylko na Bałtyku, lecz także w Europie. ©©



Adam Zubek

Żal po tym „najcudowniejszym wytworze polskiej myśli technicznej” trwa do dzisiaj, zwłaszcza w środowisku inżynierskim i zwłaszcza wśród mostostalowców z Zabrza. Jest jednak spora grupa osób, które odetchnęły z ulgą

Najcudowniejszy twór polskiej myśli technicznej, jak określił go inż. Zygmunt Grzelak – ostatni kierownik Centrum Nadawczego w Konstantynowie – wzniesiony rękoma polskich inżynierów i techników, wysłał równo 50 lat temu w eter słowa: „Mówi Warszawa w programie pierwszym na falach długich...”. I słowa te były słyszalne w najdalszych zakątkach Europy, a także za oceanem i w głębi Azji. Niestety, po zaledwie 17 latach ten „najcudowniejszy twór”, najwyższa w tamtych latach budowla na świecie (646 m), został unicestwiony. Niestety, rękoma polskich techników i inżynierów.

Zamysł wtedy, w latach 70., był oczywisty – Polskie Radio ma być dobrze słyszalne w całym kraju (a z tym było różnie), a także za granicą dla polskich turystów i dla Polonii. No a poza tym nie do przyjęcia była dla władz PRL sytuacja, gdy naród nie ma problemów z dostępem do Wolnej Europy i Głosu Ameryki, a nie dociera do niego najważniejszy program Polskiego Radia.

JAK WYDŁUŻYĆ ŻYCIE FAL DŁUGICH

Gdy prawie 100 lat temu, w roku 1925, debiutowaliśmy w zakresie radiofonii, nasza pierwsza radiowa stacja nadawcza od razu znalazła się w czołówce. Mimo że jej moc wynosiła 0,3 kW (dla porównania: uruchomiony po wojnie Raszyn był ok. tysiąca razy silniejszy), należała w tamtych czasach do najlepiej słyszalnych stacji. Jednak z roku na rok traciła swoje zalety. Mimo zwiększenia jej mocy do 500 kW i podwyższenia anteny do 335 m

Najcudowniejszy twór



Ukończona budowa masztu radiowego nadajnika Polskiego Radia, Konstantynów, 18 maja 1974 r. FOT. JAN MOREK/PAP

nie udało się zapewnić dobrej słyszalności na terenie całego kraju. Bez względu na to, że spośród całego zakresu fal radiowych właśnie fale długie są najkorzystniejsze dla celów radiofonicznych.

W porównaniu z zakresami krótszymi (średnimi i krótkimi) fale długie mają wielki (liczony w tysiącach kilometrów) bezpośredni zasięg i zapewniają dobrą jakość odbioru. Jednak ich wadą jest sposób rozchodzenia się – głównie w postaci tzw. fali przyziemnej. Szczególne kłopoty w odbiorze Warszawy 1 występowały w zurbanizowanych i silnie uprzemysłowionych regionach na południu Polski. W części zachodniej i północno-zachodniej przyczyną zakłóceń (tzw. interferencyjnych) były obce stacje radiowe

pracujące na zbliżonych częstotliwościach (szczególnie „bliski” był znany Luksemburg). W przypadku Karpat często dawały znać o sobie zakłócenia atmosferyczne.

Są dwa lekarstwa na „cywilizacyjną chorobę” fal radiowych: silniejszy nadajnik i lepsza antena. Nasi specjaliści postanowili wykorzystać oba – i to w dawce uderzeniowej.

Zanim na miejsce budowy nowej radiostacji pod Gąbinem przyjechały w formie dwóch eleganckich przesyłek kontenerowych nowe nadajniki, przeprowadzono dokładną analizę warunków dobrego pokrycia kraju programem. Okazało się, że nikt na świecie nie buduje dla radiofonii nadajników o takiej mocy, jaka byłaby potrzebna w Polsce. Zdecydowano się na dwa

nadajniki megawatowe (a więc w sumie cztery razy silniejsze od raszyńskich), które dostarczyła szwajcarska firma Brown Boveri. Również antena powinna cechować się najlepszymi właściwościami.

Tu możliwości było kilka. Specjaliści zastanawiali się na nową wersją masztu takiego jak raszyński, a więc o wysokości równej jednej czwartej długości emitowanej fali. Program Warszawy 1, nadawany jest, jak wiadomo, na fali o długości 1322 m. Można było też (i takie rozwiązanie podpowiadali nam fachowcy zagraniczni) zastosować układ wielomasztowy – tzw. antenę pierścieniową. W takim przypadku należałoby wokół jednego wysokiego masztu centralnego wzniesć pięć, siedem lub dziewięć masztów o mniejszej wysokości, co nie tylko byłoby kosztowniejsze, lecz także wymagałoby ok. 10-krotnie większej powierzchni zajętej pod budowę. Wyniki badań przeprowadzonych przez doc. Daniela Bema z Politechniki Wrocławskiej zadecydowały, że maszt dla Warszawy 1 będzie równy pod względem wysokości połowie emitowanej fali, i tyle właśnie osiągnął w maju 1974 r. – 646 m.

Gdzie go zbudować? Ta sprawa nie nastręczała wątpliwości – w środku Polski. Trzeba było jednak pamiętać, aby w sąsiedztwie anteny nie było większych masywów leśnych, które tłumią falę przyziemną, aby grunt cechował się odpowiednimi właściwościami, no i o tym, że energia wypromieniowywana przez maszt wymaga pewnego niezbędnego, niezasiedlonego obszaru ochronnego. Ta ostatnia kwestia stała się jednak niebawem zarzewiem konfliktu z okolicznymi mieszkańcami. Decyzja jednak zapadła: masz zostanie zbudowany w pobliżu wsi Konstątnów koło Gąbina – miasteczka położonego na zachodnich krańcach ówczesnego województwa warszawskiego. Głównym inżynierem nadzorującym budowę masztu został Andrzej Szepczyński.

ROBOTA W CHMURACH

Starożytny rekordzista wysokości – piramida Cheopsa (146 m) była budowana przez 30 lat. Wieżę Eiffla (300,5 m) wznoszono ok. trzech lat. Przeszło dwukrotnie wyższy maszt gąbiński był montowany „na czysto” 10 miesięcy. Te trzy budowy są oczywiście nieporównywalne, ale to, że najwyższa na świecie kon-

strukcja została wzniesiona tak prędko, bez większych problemów, i że w ogóle zdecydowaliśmy się zrealizować ją sami, wzbudziło niedowierzanie wśród zagranicznych specjalistów. Nawiasem mówiąc, jeszcze wyższe maszty planowano zbudować zarówno w USA, jak i w ZSRS. Amerykański, zaprojektowany na 900 m, zawalił się, kiedy osiągnięto 700 m. Natomiast w ZSRS zaprojektowano maszt mierzący 1000 m, lecz projekt ten nigdy nie doczekał się realizacji.

Nie ulega raczej wątpliwości, że gdyby budowy nie podjął się Mostostal z Zabrza, nie znaleźlibyśmy wykonawcy na całym świecie. Montaż był budową nietypową, ale bynajmniej nie krańcowo trudną – mówili mostostalowcy. Maszt, zaprojektowany przez znanego specjalistę od tego typu konstrukcji, inż. Jana Polaka, budował się niejako sam. Po wzniesionym już odcinku masztu „wędrował” tzw. żuraw pełzający, który montował kolejny segment, by następnie – już z większej wysokości – wciągnąć kolejny element. Pod koniec montażu trzeba było jednak pracować w chmurach: na dole, u stóp masztu – upał i słońce, na górze – mroźny wiatr i oblodzone konstrukcje. Sporo kłopotów sprawiało instalowanie lin odciągowych (po trzy w pięciu poziomach), które utrzymują maszt w pionie niezależnie od warunków atmosferycznych. Wystarczy powiedzieć, że górne odciągi liczyły po przeszło 700 m i ważyły po 15 t. Cała ta gigantyczna konstrukcja (550 t) stała na jednym, ceramicznym izolatorze. Musiał on wytrzymywać nacisk tysiąca ton.

Oficjalne otwarcie nastąpiło 30 lipca 1974 r. (z udziałem premiera Piotra Jaroszewicza), a pierwszymi dźwiękami, które poszły w eter, były uderzenia zegara na wieży Zamku Królewskiego w Warszawie. Dźwięki te i słowa spikerów radiowych odbywały jednak dość długą i skomplikowaną drogę, zanim dotarły do słuchaczy. Ze studia w warszawskim Centrum Radiowo-Telewizyjnym trafiały najpierw na szczyt Pałacu Kultury. Zamontowane tam anteny przekazywały program przez specjalną wieżę w Kampinosie do wieży (ale nie masztu antenowego) w Konstątnowie. Dopiero stamtąd program kierowany był do 646-metrowej anteny, by w ułamku sekundy trafić do naszych radiodiodników.

Od maja 1974 r. konstrukcja w Gąbinie znajdowała się na czele listy najwyż-

szych budowli świata wzniesionych ręką człowieka. Odnotowano ją w brytyjskiej Księdze rekordów Guinnessa. Poprzedni rekord należał do amerykańskiego masztu telewizyjnego w Fargo (628 m). Z naszego masztu przy dobrej widoczności widać było obszar w promieniu 70–80 km, a gdyby nie jego ażurowa konstrukcja, byłby zapewne widoczny z Warszawy. W roku 2009 nasz rekord został pobity przez wieżowiec Burdż Chalifa w Dubaju, który osiągnął wysokość 828 m.

KATASTROFA

Bezpośrednia przyczyna zawalenia się masztu jest precyzyjnie opisana. Do katastrofy doszło w sierpniu 1991 r. podczas wymiany liny odciągowej najwyższego piątego poziomu, gdy na jej miejscu zaczepione były dwie liny zastępcze. Wskutek ludzkiego niedbalstwa jedna z lin wysunęła się z zacisków, druga zaś nie wytrzymała przeciążenia i pękła. Ale prawda o przyczynach katastrofy była głębsza. Poradziliśmy sobie z projektowaniem, montażem i eksploatacją, ale nie było wypracowanego systemu konserwacji tego typu obiektów. A że problemy narastają, wiedzano już od 1982 r. (pierwszy raport). Potwierdzili to również alpinisci z Klubu Tatrzańskiego ZSP z Krakowa, którzy badali stan konstrukcji.

Żal po tym „najcudowniejszym wytworze polskiej myśli technicznej” trwa do dzisiaj, zwłaszcza w środowisku inżynierskim i zwłaszcza wśród mostostalowców z Zabrza. Jest jednak spora grupa osób, która odetchnęła z ulgą. To mieszkańcy gmin, które sąsiadowały z terenem stacji. Mimo zapewnień ekspertów byli przekonani (i zapewne są), że antena miała niekorzystne oddziaływanie. Powołali Stowarzyszenie Ochrony Życia Ludzi przy Najwyższym Maszcie Europy, które oskarżało maszt o przyczynienie się do wzrostu zachorowań na nowotwory, zaburzeń psychicznych, bezpłodności. Zapewne aktywność tego środowiska miała wpływ na to, że wycofano się z pomysłu odbudowy masztu. A takie zamierzenia były. Dziś Program I Polskiego Radia obsługiwany jest przez Stację Nadawczą w Solcu Kujawskim, dysponującą antenami o wysokości 330 i 289 m.

Masud Pezeszkian FOT. EPA/PAP



Witold Repetowicz

Mało znany reformatorski polityk Masud Pezeszkian został niedawno dość niespodziewanie wybrany na prezydenta Iranu. Nie należy jednak spodziewać się szybko radykalnych zmian w tym kraju. Jednak to też nie znaczy, że ten wybór jest bez znaczenia. Zwiastował próbę otwarcia się Iranu na współpracę z Zachodem, ale po zabiciu lidera Hamasu przez Izrael tuż po zaprzysiężeniu Pezeszkiana stanęło to pod znakiem zapytania

Jeszcze kilka miesięcy temu mało kto na świecie, nawet w środowiskach zajmujących się stosunkami międzynarodowymi, słyszał o Pezeszkianie. Również w Iranie nie był on osobą powszechnie znaną. Ten lekarz (nomen omen „pezeszk” po persku znaczy właśnie „lekarz”) z Tebrizu był przez kilka lat ministrem zdrowia w rządzie Mohamada Chatamiego. Było to dwie dekady temu i wydawało się wówczas, że Iran zaczyna się zmieniać. Dwadzieścia lat po rewolucji, która obaliła szacha i stworzyła Republikę Islamską, w dorosły wiek wkroczyło pokolenie porewolucyjne, które chciało więcej wolności. Wydawało się, że da im ją Chatami, wybrany w 1997 r. na prezydenta. Jego plany reform zyskały poparcie studentów, a polityka zagraniczna otwarta na współpracę z Zachodem, uznanie w oczach międzynarodowej opinii publicznej. W 1999 r. doszło do strajków studenckich, które jednak zostały brutalnie stłumione. Chatami ostatecznie ukorzył się przed Najwyższym Przywódcą Alim Chameneim, do którego należy ostateczne słowo w Iranie.

W pierwszej dekadzie XXI w. w Iranie było jednak znacznie więcej wolności, niż jest obecnie. Coś tak, jakby Polska po 1956 r. Pojawiły się reformatorskie media, później systematycznie zamykane, a we władzach znalazły się osoby, które

Irańska odwilż?

później trafiły do więzienia pod zarzutami próby obalenia ustroju (w Iranie nazywa się to obrazą Boga). Czołowi reformatorzy wywodzili się przy tym z panującego systemu, a czasem byli wysoko postawionymi duchownymi szyickimi. Tym, co odróżniało ówczesny Iran od komunistycznej Polski lat 50., było to, że islamskiej republiki nikt z zewnątrz Irańczykom nie narzucił. Tyle że system przestał odpowiadać oczekiwaniom ludzi i część establishmentu to rozumiała. Część jednak uznawała, że czystość ideologiczna jest ważniejsza niż poparcie społeczne. Niestety, ci drudzy wygrali.

MIĘDZY ROSJĄ A USA

Pezesz kian należał do tych pierwszych, choć nigdy nie był osobą pierwszoplanową ani też szczególnie radykalną. Od 2008 r. zasiadał w parlamencie i przez kilka lat był tam nawet wiceprzewodniczącym. Jednocześnie Pezeszkian krytykował brutalną reakcję władz na kolejne protesty, w tym zieloną rewolucję, która wybuchła w 2009 r. Ogłoszono wówczas reelekcję Mahmuda Ahmadineżada, który był zniechodzony przez zwolenników reform, a jednocześnie prowadził konfrontacyjną politykę wobec Zachodu. To właśnie za jego czasów zaczęło się zbliżenie irańsko-rosyjskie, a Iran został obłożony sankcjami w związku ze swoim programem nuklearnym i oskarżeniami, że dąży do zdobycia broni nuklearnej. Przeciwnicy Ahmadineżada skupili się wówczas wokół jego kontrkandydata – Mir Hosejna Musawiego. Paradoks polega na tym, że Musawi nie był żadnym dysydem, ale jednym z najbliższych współpracowników twórcy Republiki Islamskiej, tj. Chomeiniego. Ironią losu jest też to, że Musawi od 2009 r. przebywał w areszcie domowym, a Ahmadineżad popadł w niełaskę i nie został dopuszczony do wyborów w tym roku. Pezeszkian natomiast nie uznano za zagrożenie dla systemu.

W 2013 r. Iran wkroczył w drugą erę względnego odprężenia. Prezydentem został wówczas Hasan Rowhani, który wraz ze swoim ministrem spraw zagranicznych Dżawadem Zarifem doprowadził do zawarcia z Zachodem porozumienia w sprawie irańskiego programu nuklearnego (tzw. JCPOA). W trakcie negocjacji dochodziło do bezpośrednich

kontaktów między Zarifem a Johnem Kerryem, ówczesnym sekretarzem stanu USA, co ultrakonserwatystów doprowadzało do białej gorączki. Iran wprawdzie wciąż uważał USA za „Wielkiego Szatana”, ale miało to wymiar rytualnych zaklęć, a w rzeczywistości relacje były najlepsze od 1979 r. Zniesienie sankcji powodowało, że do potrzebującego inwestycji Iranu ustawiła się długa kolejka europejskich firm, w tym polskich. Wobec pogarszających się relacji Zachodu z Rosją Iran nie ukrywał też gotowości zastąpienia Rosji, jeżeli chodzi o dostawy ropy i gazu. A w Iraku USA i Iran nie przeszkadzali sobie nawzajem w wojnie ze wspólnym zagrożeniem, tj. Państwem Islamskim.

To wszystko się skończyło, gdy Donald Trump wycofał się z JCPOA i postanowił wprowadzić politykę maksymalnej presji. Od władzy zostali wówczas odsunięci nie tyle reformatorzy, bo ci zostali rozbici już

Można się spodziewać, że Iran dalej będzie prowadził agresywną politykę w regionie, wspierając swoich sojuszników

dawno, ile pragmatycy. Różnica polegała na tym, że pragmatycy Rowhaniego nie planowali żadnej liberalizacji wewnętrznej, a jedynie uważali, że interes Iranu wymaga normalizacji relacji z Zachodem. Ich twardogłowi przeciwnicy nie kierowali się jednak kategorią interesu narodowego, lecz islamsko-rewolucyjnym idealizmem, a symbolizujący otwartość na świat Zarif stał się dla nich wrogiem numer jeden.

WENTYLE BEZPIECZEŃSTWA

Brak reform nie oznaczał jednak tego, że Iran się nie zmieniał. Młodzi Irańczycy już w pierwszej dekadzie XXI w. zaczęli tworzyć równoległą rzeczywistość, w której nie brakowało alkoholu, funkcjonowały nielegalne dyskoteki, rozwijała się scena muzyczna pop, rock, hip-hop itp., a w Teheranie odbywały się ogromne koncerty muzyczne idoli młodzieży. W bogatym, inteligenckim północnym Teheranie kobiety nosiły wprawdzie chu-

sty, ale w taki sposób, że było widać ich włosy, i nikt nie reagował. Nie wszystkim we władzach to odpowiadało, ale duża część elit politycznych uważała, że taki wentyl bezpieczeństwa jest konieczny, by nie doszło do społecznego wybuchu. Wielu ajatollahów widziało natomiast masową ateizację Iranu, która była spowodowana obwinianiem religii za błędy władzy, w tym za korupcję. Uznawali oni, że musi dojść do rozdzielenia państwa i religii, gdyż republika islamska w takiej formie ciągnie religię na dno. W narracji politycznej Iranu coraz częściej odwoływano się też do przedislamskiej spuścizny tego kraju.

Ale zmiany szły też w innym kierunku. Surowy idealizm czasów Chomeiniego został w dużym stopniu zastąpiony tendencjami autorytarno-fundamentalistycznymi połączonymi z korupcją i nepotyzmem. Widać to było nie tylko na przykładzie rosnących fortun niektórych wielkich rodów politycznych, takich jak Rafsandżani czy Laridżani, lecz także metamorfozy Sepah, czyli osławionego Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej. Chomeini stworzył go w 1979 r., gdyż nie ufał wojsku. Miała zatem powstać równoległa armia, której głównym zadaniem było strzec zasad ustrojowych Republiki Islamskiej. Gdy rok później wybuchła wojna z Irakiem, formacja ta odegrała kluczową rolę w walkach. Wtedy też wstąpił do niej młody lekarz Masud Pezeszkian.

Jednak po śmierci Chomeiniego Sepah zaczął tworzyć własne imperium finansowe, m.in. oparte na kontroli przemysłu nielegalnych towarów, takich jak anteny satelitarne (które jednocześnie od czasu do czasu konfiskował). Sepah zaczął również prowadzić własną politykę zagraniczną i rwać się do rządzenia. Zachód wciąż widział w nim szyickich fundamentalistów, a USA uznały za organizację terrorystyczną. Ale tak naprawdę Sepah stał się bardziej pragmatyczny niż świeccy twardogłowi, tacy jak główny kontrkandydat Pezeszkiana – Sajed Dżalili. Agresywna polityka regionalna Iranu, realizowana głównie właśnie przez Sepah, jest napędzana bardziej myśleniem w kategoriach rywalizacji o potęgę, czyli realizmem politycznym niż fanatyzmem islamsko-rewolucyjnego idealizmu. A zatem jest na swój sposób

racjonalna, a Sepah podbija stawkę, by wymusić korzystne dla siebie porozumienie w sprawie nowego podziału wpływów w regionie.

Polityka maksymalnej presji Trumpa miała jednak rzucić Iran na kolana lub doprowadzić do upadku systemu. Nic takiego się nie stało, a zabicie gen. Kassema Sulejmaniego w 2020 r. wyeliminowało skutecznego, a także bardzo pragmatycznego przeciwnika, z którym można było się dogadać. Pragmatycy stali się natomiast bezużyteczni, więc zostali rzućeni lwom na pożarcie, tj. twardego idealizmu dokonali całkowitej czystki. Irańczykom znów dokreślono obyczajową śrubę, politykę zagraniczną przeorientowano całkowicie na Rosję i Chiny (na bardzo złych dla Iranu warunkach), a sytuacja ekonomiczna radykalnie się pogorszyła. Po dojściu Bidena do władzy dwukrotnie była szansa na reaktywowanie JCPOA, ale ultrakonserwatyści z Dżalilim na czele to zablokowali. Wybrany w 2021 r. na prezydenta Ebrahim Raisi szykowany był natomiast na kolejnego Najwyższego Przywódcę. Tyle że wcześniej zginął.

Trudno powiedzieć, czy wygrana Pezeszkiana to wypadek przy pracy systemu czy wentyl bezpieczeństwa i pragmatyczna korekta kursu. Ot, taki irański odpowiednik Gierka, gdzie alternatywą był albo „stalinowiec”, czyli Dżalili, albo ktoś w rodzaju irańskiego Moczara, czyli wywodzący się z Sepah Mohammad Bakir Qalibaf. Oczywiście te porównania są dość ułomne, ale do pewnego stopnia pokazują trzy opcje, jakie miała przed sobą islamska republika po śmierci Raisiego. Nie można jednak wykluczyć, że Pezeszkianowi pozwolono kandydować, gdyż uznano, że jako osoba z trzeciego szeregu nie ma żadnych szans. Ponadto Najwyższy Przywódca i jego otoczenie (czyli strażnicy systemu) wiedzieli, że jeśli w wyścigu pozostaną tylko kandydaci związani z ultrakonserwatystami i Sepah, to frekwencja będzie żałośnie niska. Republika islamska by się od tego nie zaważyła, ale nie wszystkim w elitach systemu taka delegitymizacja odpowiada.

Pezeszkian nie jest postacią charyzmatyczną, a jego wybór nie oznacza, że stał się liderem reformatorów czy pragmatyków. W kampanii wyborczej uzyskał jednak zdecydowane poparcie ze strony

obozu Chatamiego i Rowhaniego, czyli odsuniętej od władzy wewnętrzny systemowej opozycji, nieprzekraczającej jednak czerwonej linii. Tych, którzy są uznawani za realne zagrożenie dla systemu czeka bowiem gorszy los – więzienie lub chociażby areszt domowy. Trochę takich dysydentów, przeważnie wywodzących się z systemu, też poparło Pezeszkiana, ale raczej z obawy przed Dżalilim niż z wiary w to, że Pezeszkian wprowadzi jakieś głębokie reformy.

Nowy prezydent nie będzie miał jednak problemu z zapleczem politycznym, gdyż będzie miał do dyspozycji doświadczonych polityków z obozu Chatamiego i Rowhaniego. Zarif już w kampanii stał się niemalże nieodłącznym towarzyszem Pezeszkiana, ale nie jest wcale pewne, czy wróci na stanowisko szefa dyplomacji irańskiej. Problem w tym, że może to, jak również wiele innych kandydatur na stanowiska ministerialne, zablokować parlament zdominowany przez twardego ultrakonserwatystów. Tyle że są oni tam bardzo podzieleni i skaczą sobie do gardeł. Przewodniczącym parlamentu jest Mohammad Bakir Qalibaf, który wywodzi się z Sepah (i ma poparcie tej formacji), a w wyborach zajął trzecie miejsce. Niby poparł później Dżaliliego, ale wiadomo, że darzą się oni szczerą niechęcią. Może zatem sprzymierzyć się z Pezeszkianem, zwłaszcza że ten wydaje się zbyt ostrożny na to, by uderzać w interesy międzynarodowe i krajowe Sepah.

ZMIANY CZY BEZ ZMIAN?

Można się zatem spodziewać, że Iran dalej będzie prowadził agresywną politykę w regionie, wspierając swoich sojuszników, tj. libański Hezbollah prowadzący wymianę ognia z Izraelem, milicje szyickie w Iraku, Hamas w Strefie Gazy czy też blokujących Morze Czerwone Hutich. Jednocześnie będzie gotowy na układ z USA i Zachodem w sprawie reaktywacji JCPOA i podziału wpływów w regionie. Za tę cenę będzie skłonny wycofać się ze współpracy z Rosjanami, na których już zresztą padł strach w związku z wygraną Pezeszkiana. Sepah też nie ma powodów do zadowolenia z powodu tej kooperacji, bo wie, że to dzięki konszachtom Rosji z Izraelem ten ostatni bezkarnie zabija kolejnych wysokich dowódców Sepah w Syrii. To

Rosjanie bowiem kontrolują tam obronę powietrzną, a dla Irańczyków miarka się przebrała, gdy Izrael dokonał ataku na ich konsulat w Damaszku, a obrona przeciwlotnicza pozostała nieaktywna. Tyle że zabicie lidera Hamasu Ismaila Haniji w Teheranie, tuż po zakończeniu ceremonii zaprzysiężenia Pezeszkiana, może wszystko zmienić, jeśli Iran da się sprowokować do takiej odpowiedzi, która rozkręci konflikt regionalny. Bezpośrednie starcie militarne Iranu i USA, będące od dawna marzeniem Netanjahu, może pogrzebać jakąkolwiek odwilż zarówno w wymiarze wewnętrznym Iranu, jak i jego relacji z Zachodem.

Jeśli jednak do eskalacji nie dojdzie, to warto pamiętać, że Pezeszkian nie jest w konflikcie z Sepah i może zawrzeć z nim sojusz przeciwko islamsko-rewolucyjnemu idealizmowi ultrakonserwatystów, którzy nie chcą reaktywacji JCPOA i przyciągania zachodnich inwestycji, bo uznają to za zagrożenie ideologiczne. Nowy prezydent, mając takiego sojusznika jak Sepah, może przeskoczyć ten opór fundamentalistów. Problemem jednak jest to, jak na to zareaguje druga strona, a w szczególności USA. Wiele będzie zależało od tego, czy Trump wygra wybory, bo to on przecież rozwałił porozumienie, które Obama zawarł z Iranem, a następnie kazał zabić Sulejmaniego, czego Iran, a zwłaszcza Sepah, nigdy mu nie wybaczyli. Ponadto obecna sytuacja nie przynosi korzyści ani jednej, ani drugiej stronie, a militarną konfrontację wykluczają zarówno Trump, jak i przywództwo Iranu, w tym Najwyższy Przywódca, nowy prezydent i Sepah. Nikomu to nie jest potrzebne, poza Rosjanami (o czym Irańczycy doskonale wiedzą), więc pragmatyzm podpowiada konieczność dogadania się. A przecież Trump przedkłada interesy nad ideologię czy prawa człowieka.

Wewnętrznie w Iranie wiele się nie zmieni. Dopóki Ali Chamenei żyje, dopóty żadnych systemowych reform nie będzie, ale władze mogą znów zacząć przysmykać oko na obyczajową rzeczywistość równoległą. W końcu Pezeszkian krytykował też reakcję ultrakonserwatystów na protesty związane ze śmiercią Mahsy Amini, młodej Iranki zakatowanej przez policję obyczajową za nieprawidłowe noszenie chusty.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

KSIĘŻNICZKA OKRADZONA W PARYŻU

W Paryżu, w którym trwają igrzyska, okradzionych zostało już kilka znanych osób. Ostatnią ofiarą złodziei w tym mieście padła katarska księżniczka. Al Mayassa bint Hamad Al Thani została okradziona podczas podróży. Z pociągu, którym jechała, zniknęło 11 torebek luksusowej marki Hermes, wraz z cenną zawartością.

OSTATNIE POKOLENIE ZAPŁACI?

Ekologicznych aktywistów z Ostatniego Pokolenia ostatnio skazano w Wielkiej Brytanii na bezwzględne więzienie. Niemcy też nie pozwolą im pozostać bezkarnymi. Największe lotnisko w Niemczech zamierza wystąpić o milionowe odszkodowanie w związku z zablokowaniem przez aktywistów ruchu samolotów. Skutkiem działań Ostatniego Pokolenia była kilkogodzinna

przerwa w obsłudze lotów, a ponad 160 z nich zostało odwołanych.

BANDYTA UKRYWAŁ SIĘ JAKO POLICJANT

Antonio „El Diablo” Riano był poszukiwany przez 20 lat w związku ze strzelaniną. Został zatrzymany w Meksyku, gdzie pracował tam jako... policjant. W jego domu odnaleziono sprzęt służący do fałszowania dokumentów, który prawdopodobnie wykorzystał, by zdobyć posadę w służbie mundurowej.

ZŁAMANĄ NOGĘ W KARTON

W Mesynie na Sycylii ratownicy użyli kartonu do opatrzenia złamanej nogi pacjenta. Pracownicy medyczni twierdzą, że nie mieli ze sobą specjalnej szyny. Poszkodowany mężczyzna otrzymał już oficjalne przeprosiny od gubernatora wyspy. Renato Schifani zażądał inspekcji pogotowia i ustalenia winnych absurdalnej sytuacji. ©

Łukasz Zboralski

CZYSTA SEKWANA Z BAKTERIAMI

Triathlonistka z Belgii nie mogła wystartować w wyścigu po medal. Bo po tym, jak pływała w Sekwanie, zatrzała się bakterią E. coli. Claire Michel zamiast na zawodach igrzyska spędza więc w szpitalu. Inni zawodnicy komentowali, że w rzece „widzieli i czuli rzeczy, o których woleliby nie myśleć”. Mer Paryża Anne Hidalgo zapewnia jednak, że woda w Sekwanie nigdy nie była czystsza, a na jej oczyszczenie przed zawodami wydano 1,4 mld euro. Francuzi uznali, że takie pieniądze można było przeznaczyć na istotniejszą sprawę. Triathloniści chyba z nimi się zgadzają.

FOT. MEHMET MURAT OZEL / ANADOLU / GETTY IMAGES

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Konserwatyści żyją lepiej



JACEK PRZYBYLSKI

Zarówno Polska, jak i wiele krajów Zachodu bije kolejne rekordy w depopulacji. Szybkie starzenie się społeczeństw powoduje wzrost zapotrzebowania na usługi systemu ochrony zdrowia, to zaś generuje nie tylko ciągły wzrost kosztów opieki zdrowotnej, lecz także coraz większy problem z dostaniem się do specjalistów. Rośnie bowiem konkurencja o ograniczone zasoby publiczne.

Najlepiej więc jak najszybciej zacząć samemu dbać o własne zdrowie. Zacząć zaś można od... przekonań politycznych. Liczne

badania już od kilku dekad pokazują bowiem, że konserwatyści są zdrowsi od osób o przekonaniach lewicowych. Z sondaży wynika, że konserwatyści są nie tylko zdrowsi, lecz także szczęśliwsi niż liberałowie. I chociaż od kilku lat gospodarstwem Białego Domu jest lewicowy polityk, to różnica w poziomie szczęścia między konserwatystami a liberałami (tzw. Happiness Gap) wciąż pozostaje wyraźna. Na szczęście aktywiści „cancel culture” danych tych jeszcze nie skasowali. O tym zjawisku można było więc w tym roku przeczytać nawet na łamach dziennika „New York Times”.

Prozdrowotnie działają nie tyle poparcie dla konkretnych partii, ile wyznawane wartości. Badania pokazują, że konserwatyści chętniej niż liberałowie uznają osobistą odpowiedzialność za swój los. Łatwiej więc przekonać ich do rzucenia palenia, ćwiczeń etc., co przekłada się na zdrowie fizyczne. Konserwatyści są też zdrowsi psychicznie i mają zdrowsze dzieci. Z kolei zdrowi dorośli – co zauważył w lipcu portal Psychology Today – są o 30 proc. bardziej skłonni do wyrażania poglądów konserwatywnych. Oby tylko mieli na kogo głosować...

Odbudowa sali teatralnej
w Mariupolu, 6 kwietnia 2024 r.

FOT. VLADIMIR ALEKSANDROV/ANADOLU/GETTY IMAGES

Życie pod okupacją



Maciej Pieczyński

Rosjanie chwalą się, że pod ich władzą miasta kwitną, a ludziom żyje się dostatniej. Realia nie wyglądają ani tak dobrze, jak w kremlowskiej propagandzie, ani tak fatalnie, jak to kreślą media ukraińskie

W Mariupolu 1 sierpnia został oddany do użytku nowy dworzec kolejowy. W skład kompleksu wchodzi poczekalnia, strefa wypoczynku dla pasażerów, pokój matki i dziecka, pokój zabaw, przychodnia i sala konferencyjna. Rosjanie chwalą się, że obiekt mieści 900 osób, czyli prawie dwa razy więcej niż za czasów ukraińskich. „Poprzedni budynek dworca został zbudowany w 1972 r. Podczas aktywnych działań wojennych w 2022 r.

uległ zniszczeniu w 80 proc. Do chwili obecnej ruch pasażerski był obsługiwany w jedynym ocalałym korpusie dworca podmiejskiego” – informuje kremlowski portal EaDaily.

Podczas walk o Mariupol 90 proc. bloków mieszkalnych i 60 proc. domów jednorodzinnych zostało uszkodzonych lub całkowicie zrównanych z ziemią. Miasto jest symbolem zniszczeń wojennych dokonanych przez Rosję na Ukrainie. Dlatego okupanci uczynili zeń

„wioskę potiomkinowską”. Moskwa chce pokazać, że pod jej rządami Mariupol będzie rozwijać się jeszcze lepiej niż za czasów Ukrainy. Kremlowska propaganda z dumą publikuje zdjęcia czy nagrania odbudowanych domów. Rosjanie obiecują, że w ciągu trzech lat zabudowa miasta wróci do stanu sprzed wojny. Według oficjalnych danych tylko w 2022 r. oddano do użytku 1,5 tys. odnowionych mieszkań. Kolejne 3 tys. zgodnie z planem miały być oddane lokatorom w ciągu całego 2023 r.

Jednak – jak piszą ukraińscy dziennikarze, powołując się na pozostałych w Mariupolu mieszkańców – kolejka do mieszkań zatrzymała się w marcu 2023 r. i od tej pory nie ruszyła z miejsca. Niektóre nowo wybudowane bloki stoją puste. Ukraiński tygodnik „Zerkalo Tyżnia” („Zwierciadło Tygodnia”) opisuje konkretny przypadek: siedmiopiętrowy

blok na rogu ulic Mytropolickiej i Kupri-na. Dziennikarze publikują kilka zdjęć. Na jednym widać budynek z zewnątrz – wygląda jak nowy. Na pozostałych – całkowicie zrujnowane wnętrza mieszkań, kompletnie nieprzygotowane do zamieszkania.

ZACIERANIE ZBRODNI I ODBUDOWA

W lutym tego roku „Financial Times” opublikował rezultaty dziennikarskiego śledztwa na temat sytuacji w Mariupolu. Z reportażu wynika, że Rosjanie próbują zatrzeć ślady własnych zbrodni, a zarazem pokazać, że odbudowują miasto. Mieszkaniec Mariupola, budowlaniec Maksym (zmienione imię), opowiedział brytyjskim dziennikarzom o tym, jak w październiku 2022 r. rosyjska firma R-Stroj (powstała w maju 2022 r., od razu po zdobyciu Mariupola przez Rosjan, i otrzymała od władz okupacyjnych kontrakt na odbudowę zniszczonego miasta) rozpoczęła remont jego domu. Pogoda była wtedy wietrzna, lały ulewne deszcze, a mimo to ekipa remontowa wyniosła część okien – i mieszkanie zalewała woda. Na nowe okna trzeba było czekać miesiąc. A i tak okazało się, że robotnicy kupili okna w niewłaściwym rozmiarze, niepasujące do framug. Ogrzewania w domu nie było aż do końca lutego. Większość mebli nie wytrzymała wilgoci. Podłogi napęczniały i się powyginały. Przez cały rok mieszkańcy walczyli o to, by R-Stroj naprawiła szkody, które sama wywrządziła, „remontując” dom.

Rosyjskie Ministerstwo Budownictwa oraz Instytut Planowania Przestrzennego już dwa tygodnie przed kapitulacją obrońców Azowstali opracowały plan rozwoju Mariupola na lata 2022–2035. Zakłada on odbudowę historycznego centrum, odtworzenie linii tramwajowych i autobusowych czy budowę ścieżek rowerowych. Dokument opierał się na przestarzałych planach ukraińskich, opracowanych przed 2016 r., i nie uwzględniał późniejszych zmian. Według ustaleń „Financial Times” rosyjskie władze na potrzeby propagandy przeciwną wstęgi, hucznie otwierając „nowe” szkoły czy przedszkola, w rzeczywistości często zbudowane jeszcze przez Ukraińców. Nawet nowe tramwaje i autobusy z napisami „Mariupol i Sankt Petersburg

– miasta partnerskie” zostały kupione na Ukrainie przez ukraińskie władze miasta, tuż przed inwazją. Były zastępca dyrektora transportu miejskiego po numerze rejestracyjnym rozpoznał na zdjęciu tramwaj, który jeździł po ulicach jeszcze przed wojną.

Dwa lata po zdobyciu Mariupola komunikacja miejska pozostawia wiele do życzenia. Brakuje kierowców, w autobusach i tramwajach nie ma ogrzewania, więc zimą jest tam zimniej niż na zewnątrz. Miastem zarządzają niedoświadczeni urzędnicy rosyjscy najniższego szczebla. Powiązane z nimi firmy otrzymują kontrakty na odbudowę. Mykoła Tryfonow, który w ukraińskim magistracie zajmował się budownictwem, twierdzi w rozmowie z mediami, że Rosjanie odbudowują Mariupol byle jak, aby uzyskać szybki propagandowy efekt. Przykładowo: wylewają beton i zamiast poczekać trzy tygodnie, aż wyschnie, kontynuują prace już po tygodniu. W efekcie, zdaniem Tryfonowa, za dwa, trzy lata zaczną się prawdziwe problemy.

Kontrakty na odbudowę miasta podpisano z 22 rosyjskimi firmami budowlanymi. Wspomniana firma R-Stroj remontuje 55 obiektów. Ich mieszkańcy skarżą się na brak planu robót, wykwalifikowanego personelu, wreszcie – brak samego remontu. Jeden z mieszkańców czekał 483 dni, aż R-Stroj zacznie prace przy odbudowie jego 12-piętrowego bloku. Dziesięcioro lokatorów wieżowca zginęło podczas rosyjskiego ostrzału. Sąsiadom udało się część z nich wydostać ze zniszczonych mieszkań i pochować. Jednak większość pozostała pod gruzami do końca maja. Ciała zaczęły się rozkładać. W październiku robotnicy przeprowadzili przegląd zniszczeń, w listopadzie zmierzli okna, ale przed zimą prace nie ruszyły. Ludzie musieli przetrwać najzimniejsze miesiące bez ogrzewania, z zamrożniętymi rurami i ze ścianami podziurawionymi przez pociski artyleryjskie. Planowo „rekonstrukcja” bloku powinna się zakończyć w drugim kwartale 2023 r. W rzeczywistości zaczęła się w czerwcu 2023 r. i trwa do dziś. Właściciel firmy R-Stroj wysłał do dziennikarzy kopie 22 odręcznych listów od mieszkańców 15 wielorodzinnych bloków z „podziękowaniami za przeprowadzone prace”.

Inni mieszkańcy Mariupola byli zmuszeni udowodnić, że są właścicielami mieszkań, w których mieszkali przed inwazją. W jeszcze gorszej sytuacji mieli się znaleźć właściciele nieruchomości położonych w atrakcyjnych częściach miasta, np. z widokiem na morze. Ich domy, jeśli przetrwały ostrzał, były wyburzane przez nowe władze, które na ich miejscu budowały luksusowe apartamenty, prawowitym właścicielom zaś „proponowały” wyprowadzkę na obrzeża miasta.

O masowym wykupie mieszkań w zrujnowanym Mariupolu pisał opozycyjny rosyjski portal Bumaga. Okupanci zakładają, że front już nigdy nie dojdzie do miasta, które dzięki temu stanie się nowym rosyjskim kurortem, perłą nadmorskiej turystyki. Już na początku maja 2022 r., kiedy jeszcze trwały walki o miasto, w Internecie pojawiły się pierwsze ogłoszenia Rosjan chętnych kupić tam mieszkanie – choćby zniszczone, do remontu. „Chcemy żyć nad morzem w miejscu z dobrą ekologią. Poza tym w Mariupolu nieruchomości są wciąż dość tanie, a mój mąż, jako elektryk, może znaleźć dobrze płatną pracę. Trochę strach, że mogą znów zacząć się działania wojenne, ale przecież wojna nie będzie trwać wiecznie” – tłumaczy Irina z Krasnojarska, która kupiła mieszkanie w okupowanym mieście.

PRZESIEDLEŃCY I MIGRANCY

Pod koniec 2023 r. ukraiński portal NV przepytął anonimowo kilku mieszkańców Henicześka nad Morzem Azowskim o sytuację pod okupacją. Na rogatkach miasta pełniącą rolę okupacyjnej stolicy obwodu chersońskiego stoją rosyjskie posterunki, ale na ulicach jest spokojnie, okupanci nie zaczepiają przechodniów. Bywa jednak tak, że chodzą po domach i legitymują mieszkańców, wypytują, kto z nich ma rodzinę lub bliskich na terenach znajdujących się pod kontrolą Kijowa, przeszukują telefony. Zazwyczaj nie znajdują antyrosyjskich treści, bo mieszkańcy są nauczeni kasować historię przeglądania i wiadomości, które mogą im zaszkodzić.

Z Rosji przyjeżdżają lekarze i nauczyciele. Szkoły działają, dzieci uczą się z rosyjskich podręczników. Miasto żyje swoim życiem, ludzie pracują, robią zakupy, chodzą do kawiarni. Połowa

■ mieszkańców wyjechała tuż po inwazji, ale przyjechało dużo Rosjan – zarówno żołnierzy, jak i cywilów. Są też przesiedleńcy z rejonów znajdujących się pod ostrzałem Ukraińców.

Wielu rozmówców portalu NV przyznaje, że prorosyjskie nastroje wśród mieszkańców Henicześka są powszechne. Okupanci dają ku temu powody. Dobrze opłacani są pracownicy budżetówki, emeryci otrzymują normalne świadczenia – i to zarówno od Rosjan, jak i od Ukraińców. Półki w sklepach uginają się od towarów, które jednak są z reguły bardzo drogie. Wiele okupowanych miejscowości to dawne nadmorskie kurorty, które przed wojną pełne były turystów. Dziś plaże świecą pustkami. Dotyczy to jednak w dużej mierze również kurortów znajdujących się pod kontrolą Ukrainy.

Okupacja niesie ze sobą rewolucję w demografii. Melitopol przed wojną liczył ponad 150 tys. mieszkańców. Mniej więcej połowa uciekła. Na ich miejsce przybyło ok. 100 tys. obywateli Rosji. Trafiają tam nie tylko ci, którzy chcą zamieszkać w domu z widokiem na Morze Azowskie. Wiosną tego roku masowo przyjeżdżali tam rosyjscy powodzianie, którzy stracili swój dobytek po tym, jak w obwodzie orenburskim pękła tama na rzece Ural. Osiedlali się w opuszczonych domach i mieszkaniach, w których wcześniej mieszkali albo emeryci, albo żołnierze rosyjscy. Pierwsi zmarli, drudzy zginęli na froncie. Rosyjscy przesiedleńcy dostają po 150 tys. rubli i są zwalniani z opłat komunalnych na rok.

W kwietniu pojawiła się informacja, że wyremontowane mieszkania w Mariupolu otrzymują migranci zarobkowi z Azji Środkowej w ramach wynagrodzenia za pracę. Co ciekawe, w tej sprawie alarm podniósł Siergiej Mironow, przewodniczący Sprawiedliwej Rosji – Za Prawdę. Czyli partii, która w kremlofskim teatrze odgrywa rolę systemowej nacjonalistycznej opozycji. Do Mironowa dotarły jakoby liczne skargi mieszkańców na przemoc ze strony migrantów. W jego ocenie jest to prezent dla „ukronazistowskiej” propagandy, bo choć region ten był zawsze wieloetniczny, to jednak przybyśże z Azji Środkowej żyją zgodnie z własnymi zasadami i nie chcą się integrować z miejscowymi. Same władze okupacyjne oficjalnie przyzna-

Z bibliotek znikają ukraińskie książki, a ze szkół znika ukraiński język

ją, że w mieście pracuje prawie 30 tys. migrantów. W rzeczywistości jest ich z pewnością znacznie więcej, bo przyjeżdżają z całymi rodzinami.

Mironow doczekał się odpowiedzi od rosyjskiego mera Mariupola, który przyznał, że w Internecie mnóstwo jest informacji o łamaniu prawa przez migrantów, zapewnił jednak, że to „ukraińskie fejki i prowokacje”, bo wszystkie przypadki zostały sprawdzone i żaden się nie potwierdził. Żadna formalna skarga na zachowanie przybyśży z Azji nie trafiła na biurka urzędników.

DZIEWCZYNY Z ROSYJSKIMI ŻOŁNIERZAMI

Pod koniec maja niezależny rosyjski portal Meduza opublikował reportaż z okupowanych terenów obwodu chersońskiego. Tekst oparty jest na relacji A. – pracownika jednej z rosyjskich firm państwowych, który wyjechał w delegację do obwodu chersońskiego. Przekazał on Meduzie zapisy rozmów z mieszkańcami i zdjęcia swoich rozmówców. Według tych opowieści najgorszy był początek okupacji. Wtedy rosyjscy żołnierze dużo pili, bili się, organizowali wyścigi kamazami, okradali mieszkańców i zabierali domy tych, którzy uciekli przed wojną. Potem się uspokoiło. Mieszkańcy siedzą cicho, a okupanci ich nie ruszają. Niektóre miejscowe kobiety nawet zaczęły się spotykać z rosyjskimi żołnierzami. „Dziewczyny rzucają swoich mężów i szlają się z Rosjanami. Mąż nudziar, a tu przyjechał bogaty przystojniak z żarem w oczach. Głodny, spragniony seksu, stęskniony za kobiecymi pieścizotami” – opowiada jedna z mieszkanki.

Na Chersońszczyźnie panuje bezrobocie. Wiele firm musiało się zamknąć. Na ulicach miast można znaleźć mnóstwo ogłoszeń zachęcających do wyjazdu do Rosji za chlebem. Przed wojną w regionie kwitło rolnictwo, szczególnie uprawa warzyw. Teraz nie ma komu uprawiać ziemi, gospodarze powyjeżdżali. Upada też rybołówstwo, bo rosyjscy żołnierze konfiskują

rybakom kutry. Okupanci próbują te straty miejscowej ludności rekompensować poprzez świadczenia socjalne – kilkukrotne podwyżki emerytur czy zwolnienia z opłaty usług komunalnych.

Jednak jednocześnie drastycznie wzrosły ceny. Po pierwsze, z powodu zamiany hrywny na rubla. Po drugie, z powodu trudności logistycznych. Przed wojną większość towarów na Chersońszczyźnie trafiała z pozostałych regionów Ukrainy. Obecnie trafia z Krymu. Na wsiach brakuje odzieży czy leków. Okupanci muszą więc dostarczać pomoc humanitarną, którą jednak po drodze częściowo rozkradają. Rosjanie dbają też o „reedukację” mieszkańców.

Z bibliotek znikają ukraińskie książki, ze szkół – ukraiński język, który używany jest tylko na lekcjach języka właśnie i literatury. Aktywnym werbunkiem zajmuje się Junarmia. Młodsi Ukraińcy w szeregach putinowskiej młodzieżówki uczestniczą w spotkaniach z „bohaterami specoperacji”, uczestniczą w „biegach patriotycznych”, wyjeżdżają nawet na poligon, gdzie uczą się strzelać. Dorośli nakłaniani są do przyjmowania rosyjskiego obywatelstwa. Posiadacze ukraińskich paszportów mogą otrzymywać świadczenia socjalne, ale już nie mają szans na rejestrację własnej firmy czy dobrze płatną pracę w budżetówce. Większość mieszkańców albo popiera Rosję, albo jest pogodzona z sytuacją. Niektórzy przyjmują rosyjski paszport w obawie przed deportacją na Ukrainę. Bardziej są przywiązani do swojej miejscowości niż do państwa, więc wolą zaakceptować okupanta niż opuścić rodzinny dom. Rzecz jasna, swoją rolę odgrywa również strach przed „piwnicą”, jak w żargonie miejscowych określa się tajne więzienia, w których Rosjanie przetrzymują niepokornych Ukraińców. Oprócz patriotów trafiają tam również narkomani czy bezdomni. Jednych tylko przesłuchują, innych brutalnie torturują. Być może też mordują, choć bohaterem reportażu Meduzy nic o takich przypadkach nie wiadomo. Tak czy inaczej, otwarte masowe protesty na Chersońszczyźnie, o których było głośno w pierwszych tygodniach wojny, szybko zostały spacyfikowane. Dziś mieszkańcy okupowanych terytoriów już na ulice nie wychodzą.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

CODZIENNIE
21:45

w Telewizji Republika



PIOTR WŁOCZYK: Politrucy kojarzą się raczej z armiami bloku komunistycznego. Czy ten „feno-men” dotarł też do USA?

PPŁK MATTHEW LOHMEIER: Niestety, dziś mamy takich ludzi w amerykańskich akademiach wojskowych. Przykładowo w mojej Alma Mater, czyli w akademii US Air Force, pracują politrucy, nazywani „specjalistami do spraw różnorodności i inkluzyjności”, którzy noszą na mundurach specjalne oznaczenia, by można było ich z daleka zidentyfikować. Ci ludzie pojawili się na akademiach wojskowych po to, by nadzorować rewolucjonizowanie naszych sił zbrojnych. Kadeci o poglądach tradycyjnych, konserwatywnych i patriotycznych, którzy w naturalny sposób wciąż stanowią większość, muszą się teraz mieć na baczności. Politrucy wyszukują „rasistów” i konserwatywnych „fundamentalistów”, a taka etykieta może znaczyć przeciwieństwo wszystkiego i zarazem zupełnie nic. Dziś w naszym wojsku można się otwarcie dzielić każdymi poglądami pod warunkiem, że są one skrajnie lewicowe. Co ciekawe, ci politrucy nie podlegają standardowemu pionowi dowodzenia w akademii – ich przełożeni pracują w Pentagonie.

Jest pan wiceszefem Starrs, organizacji, której istnienie jeszcze nie tak dawno temu uznalibyśmy chyba za kompletny absurd.

Tak, zwalczanie marksistowskich wpływów w siłach zbrojnych USA kiedyś brzmiałoby co najmniej dziwnie, ale dziś to niestety konieczność. Nasze wojsko zmieniane jest bowiem przez rewolucjonistów w instytucję, która będzie karykaturą sił zbrojnych.

Czym konkretnie zajmuje się Starrs?

Nasza organizacja nagłaśnia to, jak marksizm w formie krytycznej teorii rasy czy „różnorodności, inkluzyjności i sprawiedliwości społecznej” (DEI) zainfekował amerykańskie wojsko. Ten wirus jest już obecny w każdym rodzaju naszych sił zbrojnych, a także w akademiach przygotowujących przyszłych dowódców.

Wydawałoby się, że głównym celem akademii wojskowych jest przygotowywanie oficerów do jak najskuteczniejszego zabijania wrogów ich państwa.

Tak było kiedyś, jeszcze za moich czasów to był jedyny cel akademii. Teraz jednak pojawiły się nowe wytyczne.



Z ppłk. Matthew Lohmeierem, byłym dowódcą 11. Szwadronu Ostrzegania Kosmicznego w Buckley Air Force Base w Kolorado rozmawia Piotr Włoczyk

Zainfekowane wojska USA



FOT. DARREN SCOTT/US AIR FORCE

Starrs ma swoje źródła w wojsku i dostajemy mnóstwo niepokojących sygnałów. Bardzo głośno zrobiło się w amerykańskich mediach o skandalu w akademii US Air Force, który nagłośniliśmy dwa lata temu. Jeden z kadetów przekazał nam slajdy szkoleniowe używane przez wykładowców akademii, które wielu jego kolegów uznało za zwyczajnie obraźliwe. Na jednym z nich widać zalecenie, by nie używać słów „mama” i „tata”, by przypadkiem kogoś nie urazić. Zamiast tego lepiej ponoć używać słów „opiekun” lub „rodzic”.

Nie brakuje też innych skrajności, które wtłacza się do głów naszym kadetom. Przykładowo młodzi ludzie mogą teraz usłyszeć w wojsku, że nasze państwo nie powstało w 1776 r., lecz ponad wiek wcześniej, gdy pierwsi czarni niewolnicy zostali przywiezieni na ziemie późniejszych USA. Natomiast amerykańska rewolucja miała rzekomo służyć jedynie zagwarantowaniu „białej supremacji”. Niestety, wygląda na to, że ok. jednej czwartej kadetów ślepo w to wierzy. To z kolei oznacza, że ci przyszli dowódcy będą podobne rzeczy wciskali do głów swoich podwładnych, co oczywiście będzie powodowało ogromne problemy z morale.

W jakim sensie?

Oficer musi cieszyć się respektem. Jeżeli żołnierze, dla których ważny jest tradycyjny amerykański światopogląd, będą widzieli, że ich wartości są atakowane, to nie będą szanowali swoich dowódców i nie pójdą za nimi w ogień.

Ale to wszystko niesie ze sobą masę problemów również na poziomie strategicznym. USA mają przecież swoich rywali – Chiny Xi Jinpinga czy Rosja Władimira Putina. Te kraje są wyszczególnione w naszej strategii obronnej jako zagrożenie. Nasi wrogowie widzą, co się dzieje w naszym wojsku. Niedługo po nagłośnieniu przez nas historii z odrzucaniem słów „mama” i „tata” Putin w swoim przemówieniu podkreślił, że Amerykanie mają już nawet problem z normalnym nazywaniem członków rodziny. Niestety, Globalne Południe, przyglądając się temu wszystkiemu, przyznaje tu raczej rację Putinowi, bo jednak większość świata nie oszalała jeszcze na tyle, by odrzucać „mamę” i „tatę”. Sami dajemy Putinowi argumenty, żeby przedstawiał nas w oczach reszty świata jako degene-

Po pokonaniu ZSRS Amerykanie uwierzyli chyba, że czerwony system to już historia. Tymczasem w Ameryce zostały zasiane czerwone nasiona, które zaczęły kiełkować, widać to na naszych uniwersytetach, gdzie kadry starają się przeorać Amerykę

ratów, od których trzeba się trzymać jak najdalej. Sami strzelamy sobie w stopę...

Rewolucjonizowanie sił zbrojnych USA przyspieszyło, odkąd Joe Biden wprowadził się do Białego Domu. Jak pan ocenia pod tym kątem perspektywę prezydentury Kamali Harris?

To byłaby katastrofa. Już prezydentura Bidena narobiła wystarczająco dużo strat. Kamala Harris jest jeszcze bardziej radykalna, pamiętajmy, że przed objęciem funkcji wiceprezydenta była uważana za najbardziej lewicowego członka Senatu USA. Proszę się więc nie dziwić, że tylu emerytowanych wojskowych, a także czynnych żołnierzy trzyma kciuki, żeby to Donald Trump wygrał wybory. Republikanie obiecują, że powstrzymają rewolucję infekującą nasze wojsko i przywrócą normalność, czyli czasy, gdy liczyły się tylko oddanie ojczyźnie, umiejętności i motywacja, a nie spoglądanie na innych pod kątem rasy, preferencji seksualnych czy innych kompletnie drugorzędnych kwestii.

Wystąpienie przeciw indoktrynacji żołnierzy przypłacił pan wyrzuceniem z wojska. W 2021 r. dowodził pan jednostką Sił Kosmicznych Stanów Zjednoczonych (US Space Force – jeden z sześciu rodzajów Sił Zbrojnych USA) w Kolorado, która zajmuje się wczesnym ostrzeganiem przed atakami rakietowymi. Gdy wydał pan w tamtym roku książkę przestrzegającą przed krzewieniem marksizmu w amerykańskich siłach zbrojnych, nagle został pan usunięty z wojska.

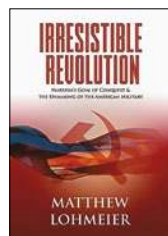
Niczego bym nie zmienił i niczego nie żałuję. Moja służba w siłach zbrojnych USA była dla mnie powodem do dumy. Zajmowałem wysokie stanowisko w US Space Force, a wcześniej pilotałem myśliwce w US Air Force. Gdy jednak napisałem książkę, w której przestrzegam przed krzewieniem w naszych siłach zbrojnych marksizmu, a potem opowiadałem o tym w mediach,

straciłem nie tylko pracę, lecz także prawo do emerytury. Od tego czasu alarmowanie moich rodaków przed marksistowską indoktrynacją w wojsku stało się moją pełnoetatową pracą.

To ciekawe, że krytyka marksizmu została przez pańskich przełożonych uznana za zaangażowanie polityczne, a to jest przecież niedopuszczalne w siłach zbrojnych...

Tak, to rzeczywiście zastanawiające, bo wydawałoby się, że nazywanie rzeczy po imieniu – marksistowska ideologia, która sączona jest do głów naszych żołnierzy, jest antyamerykańska – nie powinno budzić większych kontrowersji w kraju, który wygrał zimną wojnę z marksistowskim Związkiem Sowieckim. A jednak wygląda na to, że dziś nie wolno krytykować marksizmu, a jeżeli to robisz, to jesteś republikaninem. Nie zgadzam się na takie automatyczne szufladkowanie. Jeżeli krytykujesz marksizm, to jesteś po prostu amerykańskim patriotą.

Problemem jest to, że po pokonaniu ZSRS Amerykanie uwierzyli chyba, że czerwony system to już historia i nie trzeba się tym przejmować. Tymczasem w Ameryce zostały zasiane czerwone nasiona, które z biegiem lat zaczęły kiełkować, szczególnie dobrze widać to na naszych uniwersytetach, gdzie kadry starają się kompletnie przeorać Amerykę. Jednak te zmiany dosyć długo omijały wojsko. Wiele lat po wojnie siły zbrojne USA faktycznie dbały o to, by przestrzegać apolityczności i skupiać się na swoim głównym zadaniu – pokonywaniu wrogów Ameryki. Dowódcy nie wplatali kwestii politycznych w relacje ze swoimi podwładnymi.



MATTHEW LOHMEIER
„IRRESISTIBLE
REVOLUTION”
2021

W którym momencie doszło do zmiany?

To wszystko niejako wybuchło w 2020 r., wraz z protestami rozpętanymi na naszych

■ ulicach po śmierci George'a Floyda. Fala radykalizmu dotarła do wojska. Ludzie w mundurach o aktywistycznej mentalności, którzy wcześniej kryli się ze swoimi poglądami, właśnie wtedy poczuli się i zaczęli wprowadzać do wojska elementy indoktrynacji.

W moim przypadku był to dowódca bazy, który okazał się lewicowym aktywistą całkiem otwarcie wspierającym Black Lives Matter. A przecież ta organizacja jest jawnie marksistowska. Ten pułkownik opowiadał o rzekomym „systemowym rasizmie” w USA i szczył podwładnym treści antyamerykańskie i antykapitalistyczne. Natomiast z „filmów edukacyjnych”, z którymi mieli się zapoznawać żołnierze, można było się

67,5 proc. Co to oznacza? Odstawiamy na bok kryteria czysto merytoryczne pod kątem wyboru pilotów i zaczynamy włączać do tego procesu inne względy. Gdyby US Air Force postępowało tak w przeszłości, nie stałoby się wzorem dla innych krajów. Zabijamy merytokrację, a tym samym skuteczność składamy na ołtarzu „różnorodności, inkluzywności i sprawiedliwości społecznej”.

Wojsko działa dobrze, gdy jest zjednoczone. Podziały mają działanie niszczące. Cały Pentagon powtarza dziś hasło: „Różnorodność to nasza siła”? Czy tak jest w rzeczywistości? To zależy, co przez to rozumiemy. Czy oznacza to, że pięciu białych chłopaków nie jest zróżnicowanych między sobą? Przecież to szaleń-

nie wykonawcze, które zakazywało stereotypizacji na podstawie rasy lub płci. W szczególności zabroniono używania narzędzi stosowanych przez zwolenników krytycznej teorii rasy. Po tej decyzji w całych siłach zbrojnych USA doszło do odprężenia – żołnierze byli bardzo wdzięczni prezydentowi, że postanowił powstrzymać te rewolucyjne zmiany.

Tymczasem pierwszego dnia swoich rządów Joe Biden wszystko to odrzucił i przycisnął pedał gazu. Wprowadzona została polityka obowiązkowych szkoleń w duchu „różnorodności”.

Stan wojsk USA powinien interesować wszystkich w NATO, w końcu jesteście fundamentem naszego wspólnego bezpieczeństwa. Jak bardzo powinniśmy się obawiać tych podskórnych procesów?

Widać, że wojsko to kluczowy cel dla czerwonych ideologów. Jeżeli ten fundament zostanie skruszony, to wtedy cała zachodnia cywilizacja będzie śmiertelnie zagrożona. Niestety, wielu w Ameryce stara się przekonać współobywateli, że nasz kraj wcale nie ma żadnej specjalnej roli do odegrania w świecie zachodnim.

Jak bardzo zmieniła się sytuacja w siłach zbrojnych USA od momentu, gdy wydawał pan swoją książkę?

Moja odpowiedź będzie trochę paradoksalna: jest gorzej, ale jest też lepiej. Jest gorzej, bo procesy indoktrynacji nasilają się, co zresztą jest odbiciem sytuacji w całym społeczeństwie. Jesteśmy teraz na rozdrożu i pytanie, czy wybieremy drogę, którą podążaliśmy do tej pory, czy mocno skrócimy ku przepaści. Ale jest też lepiej w tym sensie, że coraz więcej osób zdaje sobie sprawę z tego, że ideolodzy zatruwają nasze wojsko. W związku z tym narasta opór wśród ludzi, którzy chcą, by nasze wojsko wciąż było skuteczną machiną wojenną broniącą zachodniej cywilizacji.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Do niedawna nie miało żadnego znaczenia, czy ktoś jest czarny czy biały, jaką ma orientację seksualną ani w jakim domu się wychowywał. Dziś coraz ważniejsze stają się kategorie, które nie mają nic wspólnego z wojskiem

dowiedzieć, że głównym problemem naszego społeczeństwa jest biały kolor skóry, że z białymi ludźmi jest coś nie tak.

I teraz najciekawsze: ludzie, którzy zwracali uwagę, że to jest zwykła indoktrynacja żołnierzy, sami byli oskarżani o aktywizm polityczny! Czyli indoktrynowanie zostało uznane za coś normalnego i każdy, kto się temu sprzeciwiał był wskazywany jako aktywista polityczny. To było postawienie spraw na głowie. Mój przełożony wykorzystał swój autorytet, by roznieść po bazie lewicową propagandę.

Druga strona na pewno może przekonywać, że takie „równościowe” zmiany nie grożą wojsku niczym złym. Że to po prostu kwestia inaczej rozumianych praw człowieka.

Oczywiście można twierdzić, że dopóki to wszystko nie odbija się na stanie sił zbrojnych, dopóty nie ma problemu. Jednak przecież rewolucjonizowanie wojska w kwestiach rasowych i płciowych wpływa na obniżenie skuteczności naszej maszyny wojennej. Podam przykład. W US Air Force pojawiły się wytyczne, by obniżyć odsetek białych mężczyzn wśród pilotów z 80 proc. do

stowo. Czasem pięciu braci pochodzących od tych samych rodziców może mieć szalenie zróżnicowane poglądy i zdolności! Ideolodzy upierają się jednak, że jeżeli nie włączymy do danej grupy na siłę komponentu rasowego czy płciowego, to nie mamy do czynienia z różnorodnością.

Nie bez przyczyny żołnierze są strzyżeni tak samo i dostają mundury, w których wyglądają bardzo podobnie. To ma podkreślać, że są jedną drużyną. Do niedawna nie miało żadnego znaczenia, czy ktoś jest czarny czy biały, jaką ma orientację seksualną ani w jakim domu się wychowywał. Byliśmy po prostu jedną drużyną. Liczyły się umiejętności i zapał do służby. Dziś coraz ważniejsze stają się kategorie, które nie mają nic wspólnego z wojskiem.

Musimy jednak pamiętać, że rewolucja wkraczała do sił zbrojnych USA jeszcze za prezydentury Donalda Trumpa...

Ale Trump zareagował na to odpowiednio. We wrześniu 2020 r., gdy ówczesny republikański prezydent dowiedział się, że w agendach federalnych dochodzi do szkoleń, które mają marksistowskie podstawy, wydał postanowie-

płk Matthew Lohmeier – były dowódca 11. Szwadronu Ostrzegania Kosmicznego w Buckley Air Force Base w Kolorado, wiceszef organizacji *Starrs*, a także autor książki „*Irresistible Revolution. Marxism's Goal of Conquest & the Unmaking of the American Military*” („Zniwelająca rewolucja. Marksistowski plan podboju i rozbrojenia Amerykańskich Sił Zbrojnych”).



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Vive la France? Naprawdę?

Francuzi najlepiej wiedzą, że dla Unii Europejskiej dobre jest tylko to, co jest dobre dla Francji. A co Francji nie służy, nie może też służyć Unii Europejskiej, n'est-ce pas?

Gdy zatem przed 20 laty – po rozszerzeniu UE o państwa Europy Środkowej – uznali, że Francji, czyli Unii Europejskiej, nie służy „Polski hydrauliczny”, włożyli naprawdę całe mnóstwo wysiłku w uprzykrzanie życia wszystkim, bo nie tylko polskim, pracownikom napływającym z naszej części Europy na jej zachód.

Kolejna dekada upłynęła Francuzom (choć oczywiście nie tylko im) na zwalczaniu m.in. polskich przedsiębiorstw transportowych, które w krótkim czasie oparowały sporą część rynku UE. Wojna wydana naszym firmom spedycyjnym, polegająca na narzucaniu im coraz to nowych i nowych ograniczeń i obciążeń, w tym dla tzw. pracowników delegowanych, prowadzona była z całą bezwzględnością i oczywiście doprowadziła do wyrugowania wielu z nich z rynku.

No a teraz Francuzi, jak informuje „Puls Biznesu”, otwierają kolejny front batalii gospodarczej z Polską, która niepostrzeżenie wyrosła na globalną potęgę w produkcji baterii i jest już drugim największym na świecie – po Chinach – ich dostawcą, szcząc się posiadaniem na swym terytorium największej w Europie fabryki ogniw lito-

wo-jonowych do samochodów elektrycznych – LG Energy Solution w Biskupicach.

Uderzenie Francuzów w polski sektor baterijny ma polegać na lobbowaniu przez nich na rzecz wskazania w tzw. rozporządzeniu baterijnym Komisji Europejskiej, żeby w przypadku fabryk baterii ów absurdalny, unijny „śląd węglowy”, „mierzony” w ramach niedorzecznego unijnego Zielonego Ładu, „mierzyć” nie dla konkretnej fabryki produkującej baterie, lecz dla całego państwa, w którym ta fabryka jest ulokowana. A to rozwiązanie, jak nietrudno się domyślić, jest dla Polski, która w dalszym ciągu w sporej mierze, bo w nieco ponad 60 proc., produkuje energię elektryczną z węgla, zdecydowanie bardziej niekorzystne – będąc z kolei niezwykle korzystne dla Francji, która 70 proc. prądu czerpie z energetyki jądrowej.

I zapewne właśnie dokładanie o to chodzi Francji, pod której presją miano złożyć rzeszoną poprawkę do rozporządzenia baterijnego KE: o wyeliminowanie po raz kolejny Polski – jak to wcześniej starała się uczynić z „polskimi hydraulicznymi” i polskimi firmami transportowymi. I na przeciągnięciu baterijnego biznesu z Polski do siebie. A potem, po ewentualnym rozszerzeniu tej regulacji na inne gałęzie przemysłu – niewykluczone – na próbie zrobienia tego samego także z innego rodzaju firmami.

I co: Vive la France? Naprawdę? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Na biednego nie trafiło

Kiedy dzisiaj rośnie napięcie w sprawie przyjęcia przez Państwową Komisję Wyborczą sprawozdania finansowego PiS, a odrzucenie może skutkować odebraniem części subwencji – mało kto pamięta, że PiS zostaje właśnie pobity własną bronią. To jeden z tych przypadków, gdy podporządkowywanie sobie państwa przez poprzednich rządzących w każdej dziedzinie mści się srodze po zmianie władzy.

To Zjednoczona Prawica zdecydowała o tym, że wybór członków PKW jest stricte polityczny

To Zjednoczona Prawica zdecydowała jeszcze w pierwszej kadencji swoich rządów, że zasadniczo zmieni się sposób powoływania członków PKW. Stało się to po wyborach w 2019 r. Przedtem po trzech członków tego gremium powoływały prezesi Trybunału Konstytucyjnego, Naczelnego Sądu Administracyjnego i Sądu Najwyższego. Od pięciu lat natomiast siedmiu członków powołuje po prostu Sejm, jednego prezesa TK i jednego prezesa NSA. Od 2019 r. jest to zatem

gremium już stricte polityczne. I taka też będzie decyzja w sprawie sprawozdania finansowego. Można by zatem powiedzieć, cytując Molière'a: „Tu l'as voulu, Georges Dandin” – „Sam tego chciałeś, Grzegorz Dyndało”.

Jeśli PiS straci subwencję – która w tej kadencji ma wynieść dla tej partii blisko 26 mln zł – to oczywiście da przewagę Platformie Obywatelskiej i jej koalicjantom. Jakoś nie współczuję. System subwencyjny w Polsce jest chory, nawet nie z samej swojej istoty, lecz przede wszystkim dlatego, że pozwala partiom kumulować środki. W ten sposób petryfikuje układ i bardzo utrudnia wchodzenie do niego nowym. W przypadku PiS, z którego już słychać łzawe opowieści, że trzeba się będzie składać po 10 zł, mówimy o ugrupowaniu, które od początku swojego istnienia pobrało z budżetu setki milionów. I mogło je sobie odkładać.

Jeśli subwencja ma być pieniędzmi umożliwiającymi działalność ugrupowania, to jasne jest, że pieniądze niewydane na działalność w danej kadencji, a jeszcze lepiej – w danym roku powinny wracać do budżetu. Jako że nie ma takiego wymogu, biadającym nad swoim potencjalnym nieszczęściem politykom PiS odpowiem dobrze znaną frazą: na biednego nie trafiło. ©©

Zapanelowani



Tomasz Cukiernik

Farmy wiatrowe i fotowoltaiczne coraz bardziej szkodzą przyrodzie i zakłócają życie ludzi

Unijna polityka promuje odnawialne źródła energii, a Polacy z całego kraju zaczynają się skarżyć na budowane farmy fotowoltaiczne i wiatrowe, które mają istotny wpływ na położone obok nieruchomości, a także na walory przyrodnicze okolicy i zdrowie ludzi. Wiatraki i panele fotowoltaiczne często stawiane są w bezpośrednim sąsiedztwie gospodarstw domowych,

na gruntach rolnych, w tym nawet na terenach atrakcyjnych turystycznie i chronionych przyrodniczo. Problem dotyczy niemal całego kraju: Pomorza, Warmii, województwa świętokrzyskiego, Sudetów Środkowych.

POŁA PANELI

Na wniosek firmy Projekt-Solartech-nik Development 9 maja 2024 r. gmina



FOT. ANDRZEJ STOK

typu instalacji w Polsce. Dodatkowo teren oddziaływania oznaczono na 100 m od planowanej inwestycji. Wchodzi on w obszary działek innych właścicieli. W planach jest też budowa elektrowni Pierzchnica 2 w miejscowości Drugnia oraz Pierzchnica 3 w Kalinie Góreckiej o mocy 30 MW (15 ha).

Mieszkańcy okolic budowy Pierzchnicy 2 wyrażają zgodę na projekt. Zdaniem przeciwników tej inwestycji taka postawa wynika z nieświadomości i braku odpowiedniej wiedzy oraz chęci zysku (pieniądze z dzierżawy gruntów). Całkowicie inaczej jest w przypadku Pierzchnicy 1 i Pierzchnicy 3, która jest dalszym ciągiem Pierzchnicy 1. Mieszkańcy nie chcą elektrowni fotowoltaicznych obok swoich domostw i próbują walczyć z tymi inwestycjami. Odbyli pierwsze spotkania w tej sprawie. W ciągu zaledwie kilku dni zebrano ponad 150 podpisów mieszkańców Pierzchnicy, Skrzelczyc i Kaliny Góreckiej. Pod koniec maja pisemny protest wpłynął do Urzędu Miasta w Pierzchnicy.

To mała społeczność, małe miasteczko, ludzie żyją sobie spokojnie i walory krajobrazowe są dla nich ważne. Niektórzy wzięli wielkie kredyty, pobudowali domostwa. Całe nowe osiedle dotyka pól, gdzie ma być postawiona fotowoltaika. Są też w gminie gospodarstwa agroturystyczne. Przeciwny inwestycji burmistrz Stanisław Strąk planował wybudować wieżę widokową, bo przyjeżdża tu dużo turystów.

Farma fotowoltaiczna ma powstać na terenach rolnych i łąkach. Aktualnie na tych polach siane jest żyto, pszenżyto, pszenica i rzepak. Są żeremie, mokradła, gdzie żurawie zakładają gniazda. Uroczy zakątek.

– Te tereny są jedną z ostatnich enklaw czystych nieskażonych terenów pięknych łąk i lasów. Na wzgórzach pomiędzy Pierzchnicą a Skrzelzycami słychać klangor żurawi, które gniazdują na ziemi w kępach tarniny. Jak pierwszy raz zobaczyłam ten godowy taniec, uwierzyłam, że jest to niezwykle miejsce, w którym warto zamieszkać. To żuraw popielaty, rzadki ptak, który w Polsce jest objęty ścisłą ochroną gatunkową. Działania przemysłowe, takie jak fotowoltaika, niszczą jego legowiska – opowiada mieszkanka Skrzelczyc. – Żyją tu

też inne gatunki będące pod ochroną, jak czaple czy kukułka płamista. Oprócz ptaków występują bardzo rzadkie rośliny – dodaje.

Mieszkańcy obawiają się, że panele odstraszą ptaki, znikną cenne siedliska przyrodnicze, a w ich miejsce pojawi się niechciana roślinność inwazyjna. Zniszczone zostaną też miejsca związane z historią regionu.

Poza czynnikami, które wiążą się z komfortem życia w zgodzie z naturą, walorami krajobrazowymi tego terenu, jest jeszcze czynnik, który nie został dobrze rozpoznany. – Jak może zadziałać takie przedsięwzięcie, gdzie skala tego produktu energetycznego na gminę jest dość duża, zmieniająca zupełnie krajobraz i uwarunkowania środowiskowe? – zastanawia się jeden z członków lokalnej

Mieszkańcy Pierzchnicy w woj. świętokrzyskim boją się, że farma fotowoltaiczna odstraszy ptaki, znikną cenne siedliska przyrodnicze, a pojawi się roślinność inwazyjna

społeczności. Ma na myśli oddziaływanie termiczne. – Panele są emiterym – każdy może pracować w warunkach ponad 80 st. C. Czy nie ma żadnego oddziaływania, jeśli jest taka duża emisja ciepła? Czy nie zmieni się mikroklimat? Czy takie badania są? Nie wyobrażam sobie, by tak duża emisja ciepła na powierzchni ponad 90 ha nie miała oddziaływania. Musi być. Wody powierzchniowe będą szybciej odparowywać – uważa.

W swoim proteście mieszkańcy wskazują także na wiele innych negatywnych aspektów funkcjonowania tak olbrzymiej elektrowni fotowoltaicznej. Piszą m.in. o zagrożeniu pożarowym, nierozpoznanych w skutkach oddziaływaniach wyładowań atmosferycznych, opadów deszczu i operacji słonecznych na tak dużym zmienionym „energetycznie” terenie, o możliwości oddziaływania pola magnetycznego i „smogu elektromagnetycznego” od pracujących inwerterów

Pierzchnica (województwo świętokrzyskie) zawiadomiła o wszczęciu postępowania w sprawie wydania decyzji o środowiskowych uwarunkowaniach dla przedsięwzięcia pod nazwą „Budowa instalacji fotowoltaicznej Pierzchnica 1 o mocy do 182 MW oraz niezbędnej infrastruktury technicznej i towarzyszącej”. Elektrownia ma zająć powierzchnię 96 ha i ma być jedną z największych tego

■ systemu energetycznego (przetwornice napięcia), o niebezpieczeństwie wyłączenia pracujących na tym terenie prosumentckich instalacji fotowoltaicznych, co ograniczy zyski ich właścicieli, o obciążeniu środowiska naturalnego w przyszłości konieczną utylizacją elementów instalacji, a także o zagrożeniu skutkami ataku terrorystycznego lub działaniami wojennymi na terenie planowanej energetycznej infrastruktury krytycznej.

W 2013 r. Sejmik Województwa Świętokrzyskiego ustanowił w uchwale m.in. na tych terenach Chmielnicko-Szydłowiecki Obszar Chronionego Krajobrazu, gdzie zakazuje się zabijania dziko występujących zwierząt, niszczenia ich nor i legowisk, a także dokonywania zmian stosunków wodnych. Teraz odpowiednie pismo z prośbą o opinię w sprawie tej inwestycji trafiło do kieleckiej Regionalnej Dyrekcji Ochrony Środowiska. Mieszkańcy Pierzchnicy i okolic mają nadzieję, że RDOŚ wypowie się na temat konieczności ochrony tych terenów.

Inwestor nie odpowiedział na moje zapytanie dziennikarskie w kwestii protestów mieszkańców i wpływu inwestycji na środowisko.

NIEPRAWIDŁOWOŚCI PRZY WIATRAKACH

Polacy mają też coraz większy problem z farmami wiatrowymi. Z uwagi na warunki pogodowe najczęściej powstaje ich na północy kraju. Nad Bałtykiem trudno już znaleźć miejsce do wypoczynku, w którym wiatraków nie widać – czy to okolice Pucka i Władysławowa, Kołobrzegu, czy Darłowa.

W Suchej Koszalińskiej elektrownia wiatrowa miała powstać już ponad dekadę temu. W okolicach 2010 r. została wydana pozytywna decyzja środowiskowa, a rok później miejscowy plan zagospodarowania przestrzennego został zmieniony na koszt inwestora. – Odnośnie do planu zagospodarowania przestrzennego w tamtych czasach powiadomiliśmy NIK, która zbadała tę sprawę i stwierdziła, że to jest niedopuszczalne, że to tworzy sytuację korupcjogenną – wspomina Przemysław Tymiński, wiceprezes Stowarzyszenia Nasz Dom Sucha. NIK negatywnie oceniła sposób finansowania kosztów prac planistycznych związanych ze zmianami decyzji środowiskowych,

uchwalaniem zmian w studium oraz miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego.

W 2013 r. zostało wydane pozwolenie na budowę, a w 2015 r. rozpoczęto budowę. Na gruntach ornych miało zostać postawionych dziewięć duńskich turbin wiatrowych Vestas V90 o mocy maksymalnej 2 MW każda. Jednak nie zreali-

zowano wtedy tego projektu, a w tym czasie zmienił się inwestor. W 2019 r. wystąpiono o projekt zamienny na turbiny wiatrowe V100. Problem w tym, że zmiana parametrów turbin, a co za tym idzie – zmiana parametrów maksymalnego hałasu, nie zgadzała się z zapisami decyzji środowiskowej, a ta nałożyła warunek o maksymalnym hałasie do 101 dB i dla jednej turbiny 103 dB. Tymczasem turbiny V100 w karcie technicznej mają głośność 105 dB. W dokumentach do obliczeń przyjęto zaniżony parametr maksymalnego hałasu na poziomie 100,5 dB niezgodny z kartą katalogową producenta, a mimo to pozwolenie zamienne zostało wydane.

Jak tłumaczy Tymiński, inną nieprawidłowością było to, że przy inwestycji powyżej trzech lat od wydania decyzji środowiskowej winien być wykonany monitoring przedrealizacyjny dotyczący ptaków i nietoperzy. Po trzech latach inwestor bez wykonania takiego monitoringu nie miał prawa rozpocząć budowy, a jednak rozpoczął ją w 2015 r.

Ponadto starosta nie miał prawa wydać pozwolenia zamiennego w 2019 r. dla tej inwestycji bez tego monitoringu przedrealizacyjnego i sprawdzenia warunków decyzji środowiskowej, a wydał. – Wystąpiliśmy do RDOŚ, WIOŚ i do gminy. RDOŚ potwierdził na początku, że mają monitoring przedrealizacyjny. Poprosiliśmy o przesłanie. Nadeszła odpowiedź, że jednak nie posiadają. Gmina odpowiedziała, że nie posiada monitoringu przedrealizacyjnego – opowiada

Przemysław Tymiński, podejrzewając, że później został on do gminnych dokumentów podłożony. W związku z tym Stowarzyszenie Nasz Dom Sucha chce skierować sprawę do prokuratury. Zdaniem działaczy inwestor doprowadził do sytuacji, w której realizuje przedsięwzięcie na dokumentacji środowiskowej z lat 2011 i 2013, która nijak się ma ani do

Polacy mają coraz większy problem z farmami wiatrowymi. Z uwagi na warunki pogodowe najczęściej powstaje ich na północy kraju. Nad Bałtykiem trudno już znaleźć miejsce do wypoczynku, w którym wiatraków nie widać

parametrów technicznych inwestycji, ani do wymogów decyzji burmistrza Sianowa o środowiskowych uwarunkowaniach realizacji przedsięwzięcia z 2011 r.

Równocześnie stowarzyszenie zleciło monitoring ornitologiczny. W opinii ornitologicznej z 2024 r. ujawniono na terenie inwestycji 62 gatunki ptaków, w tym gatunki cenne: orlika krzykliwego, bielika, kanię rudą, bociana białego. Stwierdzono lęgi co najmniej 53 gatunków ptaków, które są w Polsce objęte ochroną ścisłą. Oznacza to, że jest to teren cenny przyrodniczo i farma nie powinna w tym miejscu powstać.

– Sam RDOŚ wykazał gniazdowania orlików krzykliwych, a Krajowy Plan Ochrony Orlika Krzykliwego mówi wyraźnie, że w granicach 4–5 km nie powinien powstawać wiatraki. Tu mamy 3 km. Wysyłamy do RDOŚ zgłoszenie o bezpośrednim zagrożeniu wystąpienia szkody w środowisku. Zgłaszamy do RDOŚ, GDOŚ, WIOŚ, do gminy. Nikt nie chce się tym zająć – mówi Tymiński. – Instytucje, które mają w nazwach ochronę środowiska, o to środowisko w ogóle nie dbają. Jest to teren cenny przyrodniczo. Nikt nie chce tego zbadać. My jako stowarzyszenie musimy to zrobić. Bielik, orlik krzykliwy czy bocian tego nie zrobią – dodaje.

IMPORT ZŁOMU

Darłowo jest gminą, w której jest najwięcej w Polsce wiatraków. Tych dużych o mocy powyżej 0,5 MW stoi aż 118.

To obiekty o wysokości powyżej 160 m (nowe wiatraki mają nawet ponad 200 m wysokości).

– Najbliższy wiatrak od mojego domu stoi w odległości poniżej 400 m. Zostały one wzniesione niezgodnie nawet z ówczesnym prawem, bo przepisy zakładały strefę oddziaływania na 400 m. Cała ta inwestycja owiana była łamaniem prawa budowlanego i została zrealizowana mimo wielkiego oporu społecznego – mówi Maciej Bienert z miejscowości Cisowo w gminie Darłowo. – Kiedy te wiatraki budowano, mieszkańcom gminy obiecywano, że będą mieli tańszy prąd. No bo skoro jest to takie ekologiczne, czyste i darmowa energia... Oczywiście nic takiego się nie stało. Pomimo tak licznej obecności wiatraków w gminie ceny energii, a także podatków lokalnych cały czas rosną – dodaje.

Wsie Cisowo i Kopań zostały otoczone wiatrakami. Postawiono je blisko zabudowań, aby był łatwy dojazd do instalacji w celu ich obsługi technicznej. W efekcie miejscowości te zaczęły wymierać. Ich rozwój został zatrzymany. Mimo że są położone nad samym morzem, nikt rozsądny nie zainwestuje tam grosza z powodu wpływu wiatraków na otoczenie. Takie konstrukcje oddziałują na działki sąsiednie hałasem i zacienianiem, czyli tzw. miganiem. De facto doszło do wywłaszczenia bez tytułu prawnego, bo sąsiednie nieruchomości tanieją i nie mogą się rozwijać. Ludzie wyjeżdżają. Takie są koszty społeczne, nie mówiąc o szkodach środowiskowych.

– Te wszystkie wiatraki przynoszą gminie Darłowo 8 mln zł w podatkach rocznie, co stanowi niewielką część całego budżetu. To drobna suma, bo szkody, które one wyrządzają, są znacznie większe – mówi Bienert. – Kosztem alternatywnym jest rozwój miejscowości. Nie wiadomo, ile by powstało restauracji, nowych budynków, pensjonatów czy fabryk, gdyby nie sąsiedztwo wiatraków, które to uniemożliwia. Zdeprawowano także przepiękny krajobraz chroniony, który sam w sobie jest wartością.

Wiele z tych wiatraków sprowadzono z Zachodu już jako używane. Przywiezione z Niemiec czy Danii tego złomu, który skażił środowisko naturalne i niszczy krajobraz, współfinansował Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospo-

darki Wodnej. Teraz kończy się żywotność tych instalacji i wkrótce trzeba je będzie utylizować. Przewidywany koszt jest olbrzymi. Nie pokryje go prawdopodobnie wszystko, co gmina przez ponad 20 lat dostała w podatkach. Czy to ostatecznie podatnicy zapłacą za utylizację?

– OZE są potrzebne i sensowne. Nowe technologie rozwijają świat. Problem gminy Darłowo polega na tym, że nie ma tu żadnej nowej technologii. Sprowadzono używane wiatraki. Ideologia nie może dominować nad zasadami współżycia społecznego i zdrowym rozsądkiem – podkreśla Bienert. – OZE, owszem, ale z poszanowaniem siedlisk ludzkich i ptasich. Kuriozum OZE polega na tym, że inwestycja, która ma w swoim założeniu zmniejszenie emisji gazów cieplarnianych niszczących planetę i środowisko, jednocześnie zagraża środowisku, w którym bytują ludzie i zwierzęta – ocenia.

ZDROWIE LUDZI

Przy tego typu projektach analizuje się wpływ na środowisko, ale nie bada się wpływu na zdrowie człowieka. Tymczasem z powodu uporczywego hałasu i migotania cieni żyjący w pobliżu wiatraków ludzie skarżą się na częste bóle głowy i inne problemy zdrowotne.

Po wejściu w życie unijnego rozporządzenia w sprawie odbudowy zasobów przyrodniczych wiatraki i wielkoprzemysłowe farmy fotowoltaiczne będzie można budować dosłownie wszędzie, i to bez żadnych ograniczeń ich lokalizacji

W Suchej są już zbudowane fundamenty pod pylony i wiatraki mają stanać 400–500 m od domów. – Chodzi nie tylko o dźwięki i aspekt wizualny, lecz także o infradźwięki. Na takiej częstotliwości działają nasze organy, więc na pewno zdrowie to nie jest. Przepisów w tym zakresie u nas nie ma – twierdzi Tymiński.

– Wiatraki oznaczają dewastację terenu w obrębie wielu kilometrów, zabijają ptaki, a ludziom nie dają normalnie żyć – uważa Tomasz Berliński, mieszkaniec pięknych przyrodniczo terenów gminy Górowo Iławeckie (województwo warmińsko-mazurskie), gdzie również ma powstać elektrownia wiatrowa.

Tymczasem po wejściu w życie unijnego rozporządzenia w sprawie odbudowy zasobów przyrodniczych (przegłosowane w lutym 2024 r. przez Parlament Europejski) wiatraki i wielkoprzemysłowe farmy fotowoltaiczne będzie można budować dosłownie wszędzie, i to bez żadnych ograniczeń ich lokalizacji. Według rozporządzenia „budowa i eksploatacja instalacji produkujących energię ze źródeł odnawialnych, ich podłączenie do sieci oraz sama sieć i magazyny są uznawane za leżące w nadrzędnym interesie publicznym”. Jak czytamy w serwisie Stop Wiatrakom, „unijny prawodawca przesądza w praktyce o dowolnej lokalizacji w przestrzeni tych urządzeń przez inwestora z pominięciem interesów lokalnych i prawa własności. Uznanie urządzeń OZE za cel publiczny w praktyce umożliwia wywłaszczanie”.

Unia Europejska, promując i dotując (także w ramach KPO) odnawialne źródła energii, stworzyła problem, którego nie było. Lokalne społeczności nie chcą mieszkać w elektrowni: w lesie wiatraków czy pomiędzy panelami ciągniętymi się po horyzont.

Wszyscy mieszkańcy Marciszowa w Sudetach Środkowych są przeciwko budowie wielkiej farmy fotowoltaicznej,

która miałaby zapanelować okoliczne wzgórza. Boją się spadku wartości nieruchomości, a także dochodów z agroturystyki. Kto przyjedzie na urlop do elektrowni?

Nie na tym też polega dbanie o środowisko i przyrodę, w czym Bruksela chciałaby dawać przykład światu. Jak widzimy, co innego europropaganda, a co innego nasza smutna rzeczywistość. Tym bardziej że elektrownia fotowoltaiczna potrzebuje co najmniej 200, a wiatrowa ok. 40 razy większej powierzchni niż nowoczesna elektrownia węglowa do produkcji takiej samej ilości energii.

Podróże wczoraj i dziś



Jacek Pałkiewicz

Dzisiejszy nieustanny pośpiech oraz zmiany na korzyść użyteczności i wygody „spłaszczają” rzeczywistość, zawężają gamę przeżyć podczas podróżowania. W dodatku na całym świecie wszystko staje się boleśniej jednakowe

Napisał do mnie pewien student z Opola: „Jak ja panu zazdroszczę! Pana podróżnicza kariera przypadła na dobre czasy”. Rozmyślałem nieraz nad tym. Czym się różni podróż dzisiejsza w porównaniu z latami 90. ubiegłego wieku? Przede wszystkim innowacją technologiczną. Komputer wstrząsnął naszym życiem, a dynamiczna ekspansja Internetu zmodyfikowała radykalnie sposób wojażowania, zrewolucjonizowała jego organizację i zmieniła filozofię. Udostęp-

niła użytkownikom świat na niespotykaną dotąd skalę. Dzisiejszy trend niewiele ma już wspólnego z wczorajszym, a ten, który nadejdzie jutro, będzie też różnił się od obecnego.

PRZYGOTOWANIE EKSPEDYCJI

Nie ma potrzeby odwiedzania biura podróży. Tak naprawdę bez wychodzenia z domu, siedząc przed komputerem, możliwe jest obejrzenie ogromu ofert wyjazdowych. Potem można już przystąpić do planowania i organizacji. Cwierć

wieku temu przygotowanie ekspedycji na Borneo zajęło mi rok, dziś wystarczyłby tydzień. Rodzinne wakacje można zaprogramować w kilka godzin i na dodatek, żeglując na Mazurach w czasie weekendu, bo smartfony i tablety dają taką możliwość. Wystarczy tylko kliknąć, aby po porównaniu wymarzonych ofert urlopowych znaleźć najlepszą promocję, kupić on-line bilet na samolot, potem wybrać hotel, ustalić program kulturalny na czas pobytu, zamówić auto u Hertz'a i stolik w miejscowej restauracji. Trochę więcej czasu zajmie – ale to się opłaca – szperanie po blogach, sieciach społecznościowych czy forach, gdzie można skorzystać z doświadczeń niezliczonej rzeszy innych osób, które podsuwają pomysły na wakacje życia i dzielą się opiniami, np. na temat hotelu, w którym mieszkali.

To prawdziwa rewolucja, która pozwala na skrupulatne i sumienne rozważenie wszystkich „za” i „przeciw”. A wątpliwości jest mnóstwo: kiedy i jak

dojechać, co zabrać ze sobą, jak się ubrać, gdzie nocować. Internetowa przestrzeń to istna biblia, niezastąpiona do konsultacji. Jej alians z peregrynacją stał się już nierozdzielny. Portal eDreams podaje, że trzy czwarte Europejczyków organizują swoje wakacje poprzez sieć, a jedna trzecia w ten sposób nabywa bilety lotnicze. Oszczędności są duże, co nie jest bez znaczenia w dobie ogólnoswiatowego kryzysu gospodarczego.

Tak jak w ekspresowym tempie można zorganizować wyjazd, tak samo – ze względu na brak czasu i oszczędności – śpiesznie się podróżuje. I przede wszystkim krócej, czyli zupełnie inaczej niż zaledwie kilkadziesiąt lat temu. Tony i Mureen Wheeler, twórcy wydawnictwa Lonely Planet, tak pisali o swojej azjatyckiej przygodzie w 1972 r.: „Na krańcu drogi skręciliśmy w bok, kierując się w kierunku Indii. W każdym bądź razie gdzieś w tamtą stronę”. Dzisiaj, w dobie wyścigu z czasem, nieustanny pośpiech oraz zmiany na korzyść użyteczności i wygody „spłaszczają” rzeczywistość, zawężają gamę przeżyć. A pomyśleć, że zupełnie niedawno już samo przygotowanie się do wyjazdu było wydarzeniem. Potem, po powrocie, jeszcze długo żyło się wakacjami, bo trzeba było zadowolić ciekawość rodziny i przyjaciół, pokazać slajdy. Teraz za sprawą smartfonów i Facebooka zapewniających możliwość komunikowania się w czasie rzeczywistym dominuje tendencja do spędzenia wakacji i opowiadaniu o nich „tu i teraz”. W konfrontacji dwóch epok, rozdzielonych zaledwie jednym pokoleniem, ścierają się i mieszają dobre i złe strony, gdzie jedna coś traci, a druga zyskuje.

Współczesny globtroter może liczyć na liczne udogodnienia, wciąż ulepszany ekwipunek i przeróżne nowinki technologiczne. Dzisiejsze namioty rozkładają się łatwiej i szybciej, a rozstawione przez stewardesy walizki osadzone na kółkach sprawiają, że można je ciągnąć bez wysiłku. GPS stał się nieodłącznym przyjacielem kierowców i poszukiwaczy przygód. Kiedyś trzeba było dbać o należyte schronienie gotówki, korzystać z kantorów wymiany walut. Dzisiaj się jej nie nosi przy sobie, a zwykle podejmuje w bankomatach albo płaci się kartą kredytową. Zapomnieliśmy już o szeroko stosowanych od 1891 r. traveller's cheques,

a dzięki uniwersalnemu pieniądzu euro nie mamy potrzeby szukania punktów wymiany. Coraz rzadziej zabieramy też w drogę ciężkie papierowe przewodniki, zastępując je e-bookami. Zwrot w historii fotografii przyniósł cyfrowy aparat nowej generacji. Pamiętam, jak wracając z daleka, niepokoiłem się o jakość zdjęć dopóty, dopóki ich nie wywołałem. Teraz taki problem nie istnieje, każde ujęcie można powtórzyć, a jeśli już trzeba, to można je „poprawić” w Photoshopie.

BRAK EMOCJI

Pojawiła się Europa bez granic, ale młodzi ludzie nie odczuli nadmiernego zachwytu, bo już mieli paszporty w kieszeni. Ja i moi rówieśnicy nie byliśmy tak uprzywilejowani. Ale nie rezygnowałem z prawa do wolności; zachłanność świata popchnęła mnie do nielegalnego pokonania szlabanu i drutów kolczastych żelaznej kurtyny. Dziś, jadąc przez Stary Kontynent, odczuwam szczyptę niedosytu, po prostu brakuje mi odrobiny napięcia i emocji towarzyszących wjazdowi do innego państwa.

Ostatnio odnalazłem w domu certyfikat przelotu nad biegunem północnym i cały plik zdobionych atestatów różnych towarzystw lotniczych potwierdzających przekroczenie równika. Dzisiaj podobnego uhonorowania nikt nie praktykuje. Bo i po co, skoro loty międzykontynentalne dawno przestały być wydarzeniem?

Nie należę do entuzjastów globalizacji, ale przyznaję, że to dzięki niej teraz w języku angielskim można komunikować się prawie wszędzie. Chyba że jest się w Chinach. Ale tam pomagał mi automatyczny tłumacz w telefonie. Technologia jest moim sprzymierzeńcem i na peryferiach świata korzystam z jej dobrodziejstw, np. z ratowniczego radionamiernika EPIRB czy satelitarnego lokalizatora Spot Tracker, które w razie konieczności ułatwią odnalezienie mnie na pustyni.

Życie na całym świecie gwałtownie się unifikuje, wszystko staje się bezlitośnie jednokowe. Globalizacja systematycznie znosząca bariery w podróżach sprawia, że powszechny przemysł turystyczny przekształcił egzotyczne tradycje w komercyjny folklor, nie pozostawiając na świecie miejsc nieskażonych.

Kontrowersyjne i wielowymiarowe zjawisko globalizacji odciska pokaźne

piętno na turystyce i wojażowaniu w ogóle. Oprócz pozytywnego wpływu niesie ona także nieprzyjemne skutki. Niszczy różnorodność kulturową, degraduje narodowe normy, zabija lokalne tożsamości. Krótko biorąc: prowadzi do unifikacji wzorów konsumpcyjnych i stylów życia. Dzisiaj wszyscy minimalizują czas i przestrzeń, wynosząc z wędrówki więcej stresu niż przyjemności. Nieodwracalne szkody niosą komercjalizacja oraz konsumeryzm, które rozpowszechniły niepokojącą modę na „zaliczanie” pereł turystyki. Miliony przyjezdnych zdeptują to, co unikalne i niebagatelne: świątynie Angkoru, jordańską Petrę czy Machu Picchu. Jeszcze inne miliony turystów „pakietowych” skazują się na zamknięcie w odseparowanym od lokalnej społeczności sterylnym kokonie, enklawie eleganckich resortów, usług turystycznych, spektakli, rajskich plaż i kuchni dostosowanej do zachodnich gustów.

Połączony z Internetem komputer lub telefon pozwolą w ciągu krótkiej chwili odbyć wirtualną wyprawę na koralowy atol Tuamotu czy na bezpłatne safari w Tanzanii. Z pomocą street wiew z Google Maps można wyskoczyć na spacer po Beverly Hills, obejrzeć siedem nowych cudów świata, wyruszyć w jakieś atrakcyjne miejsce, do którego fizycznie trudno byłoby dotrzeć. Sam nawet ostatnio „wsiadłem” do wagonu kolei transsyberyjskiej, aby przejechać się po tej samej trasie, którą swego czasu materialnie poznałem.

Mimo globalizacji, kryzysu kultury czy pluralizmu wartości peregrynacja nie zbladła i nie straciła sensu. Prawdziwego podróżnika zawsze będą kusiły nieprzetarte marszruty. Nie bacząc na niepewność i mordęgę, nie zrezygnuje on z bogactwa doznań i zawsze będzie szukać mieszkańców odległych krain, konfrontacji z inną rzeczywistością i zanurzonego w czasie przeszłym autentyku. Henry Miller, autor książki „Zwrotnik Raka”, twierdził, że większy sens ma odkrycie jakiejś świątyni, o której nikt nie słyszał, niż zwiedzanie wśród kłębiących się tłumów kaplicy Sykstyńskiej.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest reporterem i eksploratorem, twórcą survivalu w Europie, odkrywcą źródła Amazonki. Przepłynął samotnie Atlantyk szalupą ratunkową, uczył kosmonautów i elitarne jednostki specjalne strategii przetrwania w nieprzyjaznych środowiskach. Napisał kilkadziesiąt książek.

HYUNDAI IONIQ 5



Futurystycznie wyglądający Ioniq 5 zdobył już więcej medali niż reprezentanci Polski na igrzyskach olimpijskich w Paryżu (w tym nagrody World Car of the Year). Auto robi wrażenie nie tylko dlatego, że wygląda, jakby południowokoreańscy inżynierowie jego projekt wykradli z tajnej bazy wojskowej z pojazdami zagubionymi przez UFO. Ioniq 5 jest większy, niż na to wygląda. Mierzy 4635 mm długości, 1890 mm szerokości i 1605 mm wysokości. Rozstaw osi wynosi aż 3 metry. Gdyby nie niewielki prześwit (zaledwie 16 cm), to można by nawet próbować Ioniq 5 nazwać pełnoprawnym SUV-em.

Środek ciężkości jest nisko położony, co sprawia, że prowadzenie ważącego ponad 2 tony auta jest całkiem przyjemne. Aerodynamiczny design (aktywne wloty powietrza czy ukryte klamki, które automatycznie wysuwają się i chowają)

w połączeniu z napędem na cztery koła o łącznej mocy 325 KM (i 605 Nm momentu obrotowego) pozwala rozpędzić się tym elektrykiem od zera do 100 km/h w 5,1 s. Prędkość maksymalna to 185 km/h.

Elektryzujące wzornictwo widać również w kabinie. Na desce rozdzielczej zamontowane są dwa wyświetlacze: cyfrowy zestaw wskaźników o przekątnej 12,25 cala oraz dotykowy ekran służący do obsługi systemu informacyjno-rozrywkowego (również o przekątnej 12,25 cala). Na szczęście są też oddzielne przyciski i pokręta do obsługi klimatyzacji czy regulacji głośności. Szkoda jednak, że obsługa Android Auto czy Apple CarPlay możliwa jest wyłącznie po kablu.

Biegi zmienia się wygodnie manetką umieszczoną na kolumnie kierownicy (niczym w Mercedesie). Przy kierownicy crossovera Hyundai a znaj-

dują się też manetki, którymi można regulować poziom rekuperacji. Auto jest też wyposażone w różne systemy kontroli martwego pola czy unikania kolizji oraz w technologię jazdy autonomicznej poziomu 2 (komputer może kontrolować prędkość, odległość od pojazdu poprzedzającego, a także pomóc podczas zmiany pasa).

Testowany egzemplarz miał pod podłogą baterię o pojemności 77 kWh. Producent chwali się, że dzięki akumulatorom 800 V na ultraszybkiej stacji ładowania (350 kW DC) pojemność z 10 do 80 proc. można zwiększyć w ciągu zaledwie 18 minut. Tak wyposażonej ładowarki na swojej trasie nigdzie jednak nie spotkałem. Na popularniejszych w Polsce stacjach 50 kW czas ładowania od 10 do 80 proc. wyniesie godzinę. W realnym życiu zasięg przy jeździe w mieście, na drogach krajowych i ekspresowych wynosi ok. 400 km.

Podczas ładowania można uciąć sobie drzemkę, bo fotele z przodu są w pełni rozkładane. Elektrycznie przesuwają można również fotele z tyłu. Przestrzeni w kabinie jest dużo, zarówno z przodu, jak i z tyłu. Bagażnik ma pojemność 531 l, a kufer pod przednią maską 24 l (w wersji z napędem na obie osie).

Ioniq 5 z 2024 r. to wydatek 219,9 tys. zł. Za auto w testowanej wersji wyposażenia (Uniq) z wyświetlaczem HUD, systemem kamer 360 stopni i 20-calowymi felgami trzeba zapłacić już co najmniej 292,9 tys. zł (z napędem na jedną oś) lub 314,9 tys. zł (4 WD). ©

WIDEOREJESTRATOR MIO MIVUE 935W

Rozdzielczość 4K, znakomita jakość nagrań, czytelniejsze tablice rejestracyjne dzięki systemowi HDR, przydatne ostrzeżenia przed fotoradarami i odcinkowym pomiarem prędkości – to największe zalety wideorejestratora popularnej w Polsce firmy Mio.

Ważąca 100 g kompaktowa kamera samochodowa ma ekran o przekątnej 2,7 cala i rozdzielczości 3840 x 2160 (przy prędkości zapisu 30 kl./s). Można by zapytać, czy w tego typu kamery potrzebna jest rozdzielczość 4K. Odpowiedź brzmi: tak, i nie chodzi wyłącznie o lepszą jakość wakacyjnych nagrań z krętych dróg nad oceanem. Rozdzielczość czterokrotnie wyższa od Full HD sprawia, że w razie potrzeby po powiększeniu danej klatki dużo lepiej widoczne są detale, które mogą okazać się kluczowe dla policji czy prawników zakładu ubezpieczeń.

Zastosowana w tym modelu wysokiej jakości matryca Sony Starvis CMOS sprawia, że jakość nagrań w dobrych warunkach oświetleniowych jest rzeczywiście znakomita, a tablice rejestracyjne mijanych samochodów są w większości łatwe do odczytania. Również na parkingach podziemnych jakość nagrań



jest bardzo dobra, a tablice rejestracyjne można bez trudu odszyfrować. Jakość filmów wideo po zapadnięciu zmroku też jest niezła (kontrast jest wysoki), choć odczytanie rejestracji nadjeżdżających aut z naprzeciwka jest już trudne. Nadal jednak dzięki kamerze w razie kolizji czy wypadku udowodnić można np., że wóz ciągnikowy nie miał tylnych świateł albo że rowerzysta postanowił z chodnika zjechać nagle wprost pod koła.

Aby zwiększyć szanse na odczytanie tablic, producent zastosował system HDR (dostępny przy rozdzielczości 2.5K i prędkości 30 kl./s). Kąt widzenia testowanej kamery wynosi 140 stopni. Do testowanej kamery przedniej można też dokupić moduł do rejestracji zdarzeń z tyłu pojazdu.

Dużą zaletą urządzenia jest darmowy dostęp do aktualizowanej bazy danych o fotoradarami i drogach objętych odcinkową kontrolą prędkości (kamera wyświetla nie tylko maksymalną dozwoloną prędkość na danym odcinku, lecz także średnią prędkość naszego pojazdu od początku pomiaru). Plusem jest też opcja przesłania nagrań z karty pamięci w wideorejestratorze na smartfona za pomocą szybkiego połączenia wi-fi. W ten sam sposób dokonuje się też aktualizacji bazy danych o fotoradarami i odcinkowych pomiarach prędkości.

Cena: 599 zł. ©

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Bursztyn, przegrana Kantymira



JACEK KOMUDA

Miaścisko Bursztyn nad rzeką Lipą, na południowy wschód od Lwowa, jeszcze w XIX w. uznawane było za jedno z piękniejszych. Nazwa jest taka sama, jak powszechne określenie jantaru, żywicy drzew wydobywanej na wybrzeżach Bałtyku i cennej już w starożytności. Bursztyn na początku swej historii znany był jako Nowe Sioło, które pojawia się w dokumentach w połowie XV w., i wchodził w skład starostwa halickiego, utworzonego jeszcze w 1378 r. Prawdopodobnie pod koniec XVI w. zmieniono nazwę na dzisiejszą, która oficjalnie pojawia się w dokumentach od 1628 r.; dwa lata później miasto należało do rodu Jabłonowskich.

9 października 1629 r. na polach na północ od Bursztyna rozegrała się bitwa pomiędzy wojskami koronnymi pod wodzą Stefana Chmieleckiego i wspierającymi ich kozakami rejestrowymi Hryćki Czarnego a tatarską orzą dowodzoną przez

Kantymira Murzę, zacieklego wroga Polaków. Tatarzy niespodziewający się przeciwnika rozłożyli kosz na północ od miasteczka, w pobliżu dzisiejszej wsi Koniuszki. Orda licząca ok. 7 tys. wojowników była już w drodze powrotnej na Krym, prowadziła ze sobą liczny jasyr. W nocy nadszedł Stefan Chmielecki, znany zagończyk i żołnierz pozostawiony przez hetmana Stanisława Koniecpolskiego na straży Ukrainy. Przeszedł rzekę Lipę w Bursztynie i o północy podszedł pod obóz tatarski. Ordyńscy schwytali ponoć jednego z kozaków rejestrowych, okazał się on jednak tak



FOT. DOMENA PUBLICZNA

twardy, że nawet na torturach nie zdradził, iż w pobliżu przebywają wojska koronne.

Chmielecki zaatakował o świcie. W koszu wybuchła panika, orda zaczęła uchodzić. Polacy i Kozacy uwolnili do 10 tys. jasyru, zadając ogromne straty przeciwnikowi. Do niewoli dostało się ponad tysiąc ordyńców, w tym być może przyszły chan Islam Gerej, późniejszy sojusznik kozaków Bohdana Chmielnickiego. Pościg prowadzony przez trzy mile, czyli na odległość ok. 24 km, sprawił, że okoliczne pola usiane zostały trupami Tatarów.

Był już drugi, po bitwie pod Martynowem, pogrom Kantymira Murzy, beja oczakowskiego, zwanego w Polsce „Krwawym Mieczem”, gdyż wielokrotnie prowadził najazdy na ziemie Rzeczypospolitej. To właśnie on dowodził decydującym atakiem na tabor Stanisława Żółkiewskiego pod Mohylewem w 1620 r., podczas odwrotu z Cecory. Jego nienawiść do Lachów była przysłowiowa. Kiedy pod Cecorą, w trakcie negocjacji z Turkami, strona polska zażądała, aby był on jednym z zakładników, Kantymir wpadł we wściekłość, po czym wpadł na radę tureckich dowódców – jak podaje kronikarz – „jak gdyby rozjuszony słoń. I gdy się dowiedział o propozycjach posła polskiego, zwróciwszy nabiegłe krwią oczy do wezyra, wrzasnął: Czyś już został giurem z łakomstwa na giaurów złoto? Przez 30 lat szabla moja pławi się we krwi ich

ojców, ich synów, mamże oddać się im w ręce, aby żywcem mnie na rożen wsadzili i piekli? To są niewierni, dla nich nie masz innego słowa pokoju, prócz ostrza szabli”. Po czym wściekły wypadł z namiotu.

Kantymir pobity został w 1624 r. pod Martynowem przez hetmana Stanisława Koniecpolskiego. Bursztyn był jego kolejną kłeską, tym razem zadaną przez Stefana Chmieleckiego, legendarnego obrońcę wschodnich kresów. Został on pozostawiony z garścią wojska do obrony wschodnich ziem Korony, która prowadziła wówczas wojnę na dwa fronty. Główne siły znajdowały się w Prusach Królewskich i walczyły ze Szwedami próbującymi zająć Gdańsk i ujście Wisły. Chmielecki dał sobie radę wybornie – kilkakrotnie rozgromił Tatarów, za zasługi został w końcu wojewodą kijowskim. Niestety, kilka miesięcy po zwycięstwie pod Bursztynem, w lutym 1630 r., zmarł.

Kantymir, mimo że wielokrotnie pobity przez wojska Rzeczypospolitej, zdołał zbiec. W 1635 r. zbuntował się przeciwko chanowi Inajetowi. 9 marca 1637 r. został pobity pod Białogrodem przez wojska władcy, wspierane w dodatku posiłkami kozackimi pod wodzą Pawluka. „Krwawy Miecz” zbiegł do Turcji, gdzie został uduszony.

Nie lepszy los czekał atamana Hryćkę Czarnego. Znienawidzony przez wypiszczyków – część kozaków, dla których nie było miejsca w rejestrze – został w marcu 1630 r. pozbawiony buławy, a następnie przywytany i zamordowany przez przywódce buntowników – Tarasa Fedorowicza. Ponoć wykonanie wyroku powierzone jakiemuś Tatarowi, zapewne jeńcowi, który najpierw odrąbał nieszczęsnemu ręce, a dopiero potem – mołojeczką głowę. ©



ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

SIOSTRY GOTUJĄ

Smaki Podlasia

Sierpniowe plony, którymi obdarowuje nas natura, są wyjątkowe. Sierpień to czas zbiorów i robienia przetworów na zimę. Pogoda jest już nieco łagodniejsza, słońce świeci niżej niż w pierwszej połowie lata. Od Anki noce są chłodniejsze. Powoli zaczyna się czas dożynek, festiwali i licznych imprez na zakończenie lata. 3 sierpnia w Supraślu (tym samym Supraślu, gdzie usadowił się znakomity i nieoczywisty teatr Wierszalin) odbył się III Mistrzostwa Świata w Pieczeniu Babki i Kiszki Ziemniaczanej. To impreza, która przyciąga miłośników podlaskiej kuchni z dalszych nawet okolic. W tym roku byli też goście z Litwy i Białorusi. Kategorie są dwie: indywidualna i duży producent.

Babka ziemniaczana pochodzi z Białorusi, a w Polsce najbardziej powszechna jest na Podlasiu i Suwalszczyźnie. To prawdziwa duma Podlasia. Wersji babki jest kilkadziesiąt, tak samo jak i nazw – kartoflarz, tarcich, blacharz, a na północnym Mazowszu występuje pod nazwą bugaj.

Z czym możemy jeść babkę ziemniaczaną? Przede wszystkim z sosem mięsnym i grzybowym (nie pieczarkowym, bo na Podlasiu jemy grzyby!), z sałatką z pomidorów albo z ogórkiem kiszonym czy

kiszoną kapustą. Zawsze jednak należy pamiętać o kleksie kwaśnej śmietany.

A skąd pochodzi nazwa babki ziemniaczanej? „Baba” oznacza starszą kobietę, a kształt formy, w której jest pieczona, przypomina kształt kobiecej spódnicy. Babkę pieczono zazwyczaj od święta, bo było to danie wyjątkowe.

Babka ziemniaczana

- 800 g ziemniaków, typ mączny
 - 100 g ziemniaków surowych
 - 200 g skwarków (opcjonalnie)
 - 1 duże jajko • 1 cebula • 1 marchewka • 2–3 ząbki czosnku
 - 2 łyżki majeranku • 2 łyżeczki pieprzu • 5 łyżek kaszy manny
 - 2 łyżeczki soli, jeśli nie soliliśmy ziemniaków, do smaku • olej lub smalec do wysmarowania foremki
- Surowe ziemniaki ścieramy w maszynce – używamy tarki o najmniejszych oczkach – razem z cebulą, czosnkiem i marchewką. Do takiej masy dodajemy ugotowane i przetarte ziemniaki, jajko i przyprawy. Wszystko dokładnie mieszamy, wyrabiamy i przekładamy do formy wysmarowanej olejem lub smalcem. Babkę pieczemy w temperaturze 200 st. C przez ok. 50 min. Podajemy z kwaśną śmietaną lub sosem i surówką. © ©



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Zepsuty język

Przez cały pierwszy tydzień sierpnia radiowa Dwójka nadawała „Głosy walczącej Warszawy”, wspomnienia kobiet, uczestniczek Powstania Warszawskiego. Tych nielicznych, jeszcze żyjących. Słuchałam z wielkim zainteresowaniem nie tylko ze względu na treść, odpowiednią do wagi wydarzenia, lecz także po to, żeby posłuchać pięknej polskiej mowy. Tak bardzo ostatnio zbeczczona w mediach, nawet tych uchodzących za elitarne, jak właśnie Dwójka. Wszystkie te stare, dzielne panie wychowane jeszcze w dwudziestolecu opowiadały o swoich przeżyciach w powstaniu językiem prostym, rzeczowym, obrazowym, poprawnie akcentując, nadając zdaniom właściwą intonację, z dobrą dykcją, akcentami tam, gdzie trzeba. Politechnika z naciśkiem na -tech, nie na -ni, poszliśmy z akcentem na -po, nie na -liś...

Nie było śmieci językowych, które spotykamy dziś na każdym kroku w medialnej mowie. „Wyjątkowy, niesamowity, niezwykły, magiczny, tak naprawdę” – słowa tak nadużywane, że przestały cokolwiek znaczyć. I ten straszny dopełniacz, jak barszcz Sosnowskiego atakujący polszczyznę: zjeść kotleta, zaprosić na grilla, napisać maila, zawiązać buta. Nie do zwalczania. Utarte związki frazeologiczne, zapychające mowy, którymi ratują się reklama i gadające głowy

zapełniające eter bełkotem. Portale pełne błędów.

W Anglii, we Francji poznaje się pozycję społeczną po mowie. Nie mam na myśli dialektów regionalnych, to inna sprawa. Mam na myśli język główny, niejako oficjalny, język ludzi wykształconych. Król Karol nie mówi cockneyem...

Znajomi Francuzi skarżą się, że u nich z tym także jest marnie. Język się popsuł przez rozrywkę. Przecież wiadomo, że wiele tekstów rapu składa się z samych przekleństw. Wymowny jest sam fakt, że słowa jeszcze niedawno niedopuszczalne w języku publicznym dzisiaj w kinie latają dozwolone od lat 10, w Netflixie nie są nawet wykreślane, na tyle spowszedniały. To oznacza, że się przyzwyczailiśmy. Przyzwoiły język jest już tylko w filmach dla dzieci. Rozważam przerzucenie się na kreskówki o zajączkach... Do tego język Internetu: bez interpunkcji, bez wielkich liter, skrótowy, pełen emotikonów. Po co pisać całe zdanie, skoro można wstawić kotka?

Poznałam niedawno małżeństwo, o którym wcześniej nic nie wiedziałam. Kim są, co robią itp. Ale jak zaczęli mówić, wszystko się wyjaśniło. Przemówiła kultura, i to raczej nie świeżo nabyta. Potem dopiero okazało się, że są oboje wykładowcami uczelni i pochodzą z miasta o starej tradycji akademickiej. Cóż, język to nie tylko wykształcenie, dom, lecz także sprawa kultury. © ©



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Sezon posepnego ogórka

Różne opinie krążą o ogórkowatości tegorocznego sezonu. Tradycjoniści narzekają jak co roku, że na świecie dzieją się rzeczy ważne, my zaś zajmujemy się jakimiś głupotami. A że to tym, jak Kaczyński spostonował kilkuletnią adeptkę dziennikarstwa, a to tym, że premier za asystentkę wzięł sobie kosmetyczkę i stąd ma się wziąć dziwne jego pobbłażanie podatkowe dla branży beauty. Ta postawa ma pokazywać, że to my, Polacy, nie trzymamy się spraw ważnych, inne nacje zaś to pewnie pod palmami martwią się 17. nowelizacją systemu emerytalnego, patrzą daleko w przyszłość i żadne bzdury im w głowie. Śmiem wątpić – myślę, że ludzkość w całości lubi sobie od czasu do czasu trochę wyluzować, nawet w tzw. ciękawych czasach.

Inni uważają odwrotnie. To znaczy, że nie ma żadnego sezonu ogórkowego. Tryby historii, która to miała się skończyć, miała na całego i nie ma wytęsknionej kanikuły. Wedle tych osób dożyliśmy czasów dziwnych, gdy to nawet lud wakacyjny przejmują się przyszłością, zwłaszcza zaś wypatruje syndromów, że to „ostatnie takie wakacje”, po których wielu nie będzie już stać na łabę. Jest coś w tym, bo tego lata kumulacja zdarzeń posepnych jest przemożna.

Myślenie o sezonie ogórkowym, tej letniej flaucie wydarzeń, ma... zachodni

kontekst. To u nas jest lato i nam się wydaje, że cały świat udał się na urlop, że animozje położyły się na leżaku, geopolityka stała się mapką biura podróży, despoci zaś całego świata zrobili sobie wolne. Nic podobnego – przecież na takiej południowej półkuli to teraz zima jest i żaden tam ogórkowy sezon. A... że tam się zawsze mniej dzieje? Nic podobnego – to tylko my jesteśmy mocno zachodnio-centryczni. No właśnie – czy w takim Iranie jest teraz sezon ogórkowy? Izraelu? Syrii, Chinach czy Indiach? No – jeśli tak ma to wyglądać, to ja dziękuję za taką łabę w newsach.

Doświadczenia z biznesu mówią, że jest inaczej. To właśnie w okresie wakacyjnym, kiedy klienci leżą sobie plackiem i wydaje im się, że tak robi cały świat, w biurach trwa wytężona praca, co im przygotować, jak już wrócą z wojaży. Ciekawe, czy jest tak samo z polityką? Czy tam gdzieś po państwowych biurach coś szykują na zamknięcie sezonu i powrót do kolejnej wersji nowej normalności? Wydaje mi się, że tak, i to w każdym kraju. Z tym, że u nas nie będą to akty ważne dla świata. My wrócimy w stare koleiny. Przykrywanie ważnych dla naszego podwórka rzeczy kolejnymi łatami naszywanymi na kolejne wrzutki rzeczy nieistotnych.

Cieszymy się więc ogórkowo, ile się da, bo może być tak, że więcej już się nie da. ©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Pogaństwo

W komentarzach po ceremonii otwarcia olimpiady w Paryżu najbardziej przekonującą mnie interpretacją było uznanie wydarzenia za akt religijny. W opisie inscenizacji media zwracały uwagę przede wszystkim na pastisz „Ostatniej wieczerzy”, ale przecież wcześniejsze sceny pokazu zawierały elementy, które należy traktować jako religijny pogański manifest. Twórcy spektaklu z pełną konsekwencją umieścili w scenariuszu katalog przykładów seksualnych relacji, które chrześcijaństwo uznaje za nierząd.

Tym bowiem, co obok naku przebaczenia było absolutnie obce kulturom pogańskim, co odróżniało pierwsze gminy chrześcijańskie w rozpasanym, pogańskim pejzażu grecko-rzymskiego świata, było nauczanie o seksualności i małżeństwie. Obecność osób trans w pokazie nie zmienia nic w tej idei – bo tzw. korekta płci, w wersji znanej dziś, dla ówczesnych była tylko problemem technicznym. W nauczaniu Kościoła, szczególnie u Jana Pawła II, mamy apologię różnej, lecz komplementarnej natury kobiety i mężczyzny, w której Bóg Stwórca, deponując zdolność poczęcia nowego człowieka, dzieli się z nami cudem stwarzania świata. Odrzucenie tego bożego zamyśłu i usiłowanie „stwarzania” natury według własnego widzimisie jest wypowiedzeniem Bogu posłuszeństwa. To nie jest herezja, to lucyferiańskie „nie będę służył”. Piszę o tym,

ponieważ stanowisko Dykasterii Nauki Wiary wobec osób transpłciowych, zawarte w odpowiedzi na list brazylijskiego biskupa José Negri z Santo Amaro (listopad 2023 r.), dopuszczające osoby trans (czyli takie, które są biologicznymi atrapami mężczyzn i kobiet) do sakramentu chrztu, a także do roli rodziców chrzestnych zgodnie z ich „nowym stanem”, jest aktem aplikującym do nauki Kościoła pogańskie podejście do seksualności.

Jakiś czas temu UKSW odmówił przygotowania konferencji naukowej dotyczącej zjawiska tranzycji płci z planowanym udziałem amerykańskich, chrześcijańskich profesorów. Naukowcy z USA chcieli podzielić się wiedzą o zagrożeniach praktykowanej u nich „afirmacji płci” i tragicznych konsekwencjach, które przynosi ta polityka. Pomysł konferencji wydawał się cenną inicjatywą, ponieważ środowisko psychologów, medyków, seksuologów w Polsce nie miało dobrej odpowiedzi na obowiązującą u nas idącą z Zachodu politycznie poprawną wykładnię. Choć była deklaracja sfinansowania wydarzenia, choć kwalifikacje amerykańskich gości były niepodważalne, UKSW nie był zainteresowany. Dlaczego książd rektor i podległe mu instytuty jak ognia bały się naruszać interesy środowiska LGBTQ? Czy na uczelni tak potężne są wpływy „lawendowej mafii”? A może władze uczelni już wtedy wiedziały, co się w Watykanie „święci”? ©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Cierpienia Manueli

Szok i niedowierzanie. Stop. Według sondażu dla Wp.pl ponad połowa Polaków uważa, że rząd Donalda Tuska nie wywiązuje się z obietnic złożonych w czasie kampanii wyborczej. Stop. Dobra tam, to mniej ważne, ważniejsze, że prawie 40 proc. Polaków uważa, że Tusk się wywiązuje z obietnic. Stop. Proszę państwa, skąd, jak, gdzie oni te 40 proc. znaleźli i jakie w tych głowach 40 proc. (nie o wódkę chodzi) zachodzą fantastyczne procesy poznawczo-analityczne? Stop. Wywiązuje? Szok i niedowierzanie, zachwycającym znajdując nasze społeczeństwo.

Jest sobie na świecie taki aktywista LGBT Bartosz Staszewski i on jest wzorcowy, można powiedzieć. Stop. Wzorcowym jest mianowicie chłopaszek nieszczęściem. Stop. Najpierw jeździł po Polsce z tabliczkami, że niby są gdzieś jakieś strefy z zakazaniem LGBT; potem wyciągał rzecznikowi MSZ Łukasowi Jasinie, że ten jest gejem, chociaż sam jest gejem, a Jasina się z orientacją nie obnosił. Bo i po co? Jeszcze potem publicznie bronił rosyjskiego szpiega Pabla Gonzáleza, twierdząc, że wspinał się on dziennikarzem Gonzálezem, a tego „żurnalistę” szpiega Putina teraz z rozwartymi ramionami w Moskwie witał. Na świeżo znów skompromitował się nasz Bartosz, publicznie wiarę dając, że niejaki Zbigniew Stonoga miał kompromaty na redaktora Stanowskiego, i wielce go to cieszyło. Stop. No chodzące nieszczęście. Stop.

Tłumaczyć chłopaszka może fakt, iż lat temu cztery fundacja Obamy wybrała go do specjalnego programu dla 35 europejskich liderów działających dla „dobrej współpracy”. Stop. No to go nam wyszkolili...

„Financial Times” doniósł, że amerykańscy właściciele rozważają sprzedaż TVN, bo słabe mają wyniki finansowe. Stop. W sumie od czasu przejęcia TVP przez ekipę nadzwyczaj dziarsko-żywnych likwidatorów mamy w Polsce dwa TVN-y, chociaż ten państwowy strasznie nudny, ale ciężko wygrać, bo konkurencja z kilkumiliardową kropelką budżetową. Stop. E, Amerykańce, jakby cena była rozsądna, dajcie znać, by się tam trochę posprzątało... Stop.

Bieda zajrzała w oczy pisarce Manueli Gretkowskiej (60 lat), niecierpiącej PiS feministce. Stop. Z gargantuicznym (jak to pisarka) rozżaleniem poinformowała, że państwo polskie to nie chce jej płacić emerytury, chociaż ona książki tworzyła dla tej kultury wysokiej. Stop. Gretkowska kawał życia spędziła poza Polską, składek raczej nie płaciła, za to informowała o posiadaniu kilku nieruchomości za granicą, m.in. willi na Krecie, którą sobie kupiła, bo widok jest ładny na morze. Stop. Typowa nędza polskiego emeryta lub też cierpienia mieszkańca willi i apartamentowców. ©©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIERMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Prosta data ślubu

Dość intrygującym człowiekiem okazuje się wybrany niedawno kandydat Partii Demokratycznej na wiceprezenta Stanów Zjednoczonych – Tim Walz. Ciekawskie media zainteresowały się właśnie jego karierą nauczycielską. Okazuje się, że amerykański polityk spędził w czasach młodości okrągły rok jako nauczyciel angielskiego i historii w komunistycznych Chinach – a ściślej mówiąc, w południowochińskiej prowincji Guangdong. Pan Walz był Chinami zachwycony – tak bardzo, że kilka lat później wybrał je za cel swojej podróży poślubnej. Przyszłemu amerykańskiemu politykowi podobało się w Chinach tak bardzo, że swoją decyzję o podjęciu tam pracy nazwał po latach „jedną z najlepszych rzeczy, jakie w życiu zrobiłem”.

Po powrocie do ojczystego kraju młody nauczyciel nie mógł nachwalić się gościnności i wielorakich zalet Chińczyków. O swoich gospodarzach twierdził, że są to ludzie „bardzo mili, hojni i utalentowani”.

Postawa taka nie powinna budzić szczególnych zastrzeżeń, Chiny to niewątpliwie kraj o bogatej kulturze, zdolny na wiele sposobów zafascynować amerykańskiego prowincjusza. Ciekawe światło na zachwyty młodego amerykańskiego nauczyciela rzuca jedynie to, że był on w Chinach dokładnie w roku

1989, kiedy stały się one areną masowych protestów, uwiecznionych masakrą demonstrujących studentów na pekińskim placu Niebiańskiego Spokoju. Niedługo po powrocie do Stanów Zjednoczonych Tim Walz założył z przyszłą żoną firmę organizującą dla amerykańskich studentów wyjazdy edukacyjne do Chin. Kiedy zaś młoda para zdecydowała się wziąć ślub, termin rodzinnego święta wybrała sobie doprawdy niezwykle. Państwo Walz stanęli na ślubnym kobiercu 4 czerwca roku 1994, dokładnie pięć lat po pekińskiej masakrze. Co ciekawe, nie była to bynajmniej zbieżność przypadkowa. Jak skomentowała później Pani Walz: „Mąż chciał mieć datę ślubu, którą zawsze łatwo będzie zapamiętać”. W USA, podobnie jak w Polsce, ślub jest wydarzeniem wyjątkowo radosnym.

Masakra na placu Tiananmen pozostaje w chińskiej historii rozdziałem tragicznym. Oficjalne źródła chińskie podają liczbę 300 ofiar śmiertelnych, oceny zachodnich dyplomatów bliższe są liczbie 3 tys. zabitych. Gdyby mieszkający w Polsce w pamiętnym roku 2010 Amerykanin wybrał sobie po latach dzień 10 kwietnia na datę uroczystości ślubnej, byłby to, z oczywistych przyczyn, wybór ekscentryczny. Zgodzić się jednak trzeba, że z zapamiętaniem daty ślubu nie mieliby państwo młodzi szczególnych problemów. ©©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Teorie rulez

Teorie rządzą światem. Szczególnie mocno trzymają się w świecie naukowym, gdzie w oparciu o teorie niepotwierdzone żadnymi „twardymi” danymi empirycznymi całe pokolenia naukowców osiągały swoje stopnie i tytuły naukowe, dostępując najbardziej prestiżowych wyróżnień, z Nagrodą Nobla na czele. Dość wspomnieć teorię Darwina o rzekomym ewolucyjnym początku gatunku ludzkiego czy teorię o zmianach klimatu spowodowanych przez człowieka. I co z tego, że wielu biologów wskazuje, że gdyby przyjąć teorię ewolucjonizmu, takie zwierzę jak żyrafa czy taki skomplikowany organ ciała ludzkiego jak oko nigdy nie miałyby prawa powstać, bo dla ich zaistnienia i przetrwania potrzebne byłoby „wyewoluowa-

zmuszani do płacenia podatku od powietrza („emisje CO₂”), grozi im wyrzucenie z ich własnych domów niespełniających „kryteriów energetycznych”, a podróż samochodem osobowym czy lot na wczasy okazały się niedługo luksusem dostępnym tylko dla nielicznych. Oczywiście wszystko w imię demokracji i inkluzywności. Nowa-stara arystokracja utuczona na Zielonym Ładzie w głębokim poważaniu będzie miała frajerów i nieudaczników, którzy rychło w czasie nie zrozumieli „logiki transformacji środowiskowej”.

Niektórzy znawcy najnowszej historii Niemiec twierdzą, że od ponad 100 lat tym krajem rządzi stałe i w zasadzie hermetycznie zamknięte grono ok. 100 rodzin. Chodzi o realną

z Zachodem” nowej, demokratycznej Republiki Federalnej Niemiec, mającej oczy szeroko zamknięte na zbrodnie dokonane przez państwo niemieckie w latach 1939–1945.

No, ale inna teoria – coraz mocniej przenikająca także do nas – mówi, że 1 września 1939 r. drugą wojnę światową rozpętali bliżej niezidentyfikowani naziści. Na pewno nie państwo niemieckie. Jeśli już – to jakaś nieokreślona III Rzesza, chociaż oficjalna nazwa państwa, którego przywódcą był od 1933 r. Adolf Hitler, brzmiała Deutsches Reich (Rzesza Niemiecka), konstytucja Rzeszy Niemieckiej z 1919 r. nigdy nie została formalnie anulowana po objęciu przezeń władzy, a we wrześniu 1939 r. granice Polski nie przekroczyły i polskich miast nie bombardowały partyjne bojówki NSDAP, ale siły zbrojne państwa niemieckiego (Wehrmacht i Luftwaffe).

Mamy jeszcze do czynienia z teorią o „wyzwoleniu” Niemiec w 1945 r., jak gdyby narodowy socjalizm nie był wyborem milionów Niemców, którzy od września 1930 r. w kolejnych wyborach z coraz większym zaufaniem powierzali swój los NSDAP. Jak gdyby do ostatka nie walczyli oni za Führera (od 1944 r. zginęło więcej żołnierzy Wehrmachtu niż w czasie całej wojny), jak gdyby nie dokonywali masowo samobójstw w rozpaczach za utraconym mirażem „Tysiącletniej Germańskiej Rzeszy”. Te samobójstwa to fenomen społeczny, spotykany w 1945 r. nie tylko wśród wąskiej elity przywódców państwa niemieckiego.

Jeśli ulegniemy tym teoriom, to pies zdechł – powiedzmy odważnie za prof. Bralczykiem. ©

Niestety, powab tych teorii jest bardzo kosztowny dla dziesiątków milionów tzw. zwykłych Europejczyków, którzy w imię „walki z ociepleniem klimatu” są zmuszani do płacenia podatku od powietrza

nie” jednocześnie wielu organów i procesów fizjologicznych? I co z tego, że historycy, wspierając się na danych archeologicznych oraz biologicznych (dendrologicznych), już dawno udokumentowali, że co najmniej od schyłku Imperium Rzymskiego można stwierdzić znaczne wahania klimatu?

Gdybyż tylko te oraz inne teorie były przedmiotem ekscytacji całych stad niezależnych wyświeconych przemierzających bezkresne pola świata akademickiego! Niestety, powab tych teorii jest bardzo kosztowny dla dziesiątków milionów tzw. zwykłych Europejczyków, którzy w imię „walki z ociepleniem klimatu” są

władzę, czyli mocno ugruntowane wpływy w świecie gospodarki, mediów czy szeroko rozumianego życia kulturalnego i naukowego. Wystarczy spojrzeć na gigantów rodzącego się na początku XX w. niemieckiego przemysłu chemicznego i elektrotechnicznego. Stali się „rekinami” jeszcze w cesarskiej Rzeszy Niemieckiej. Mimo hiperinflacji dobrze im się wiodło w czasie demokratycznej Rzeszy Niemieckiej (1919–1933). Wspierali hitlerowską Rzeszę Niemiecką w jej „kulturowej pracy na Wschodzie” (materiałowe i technologiczne serwisowanie obozów zagłady), a po 1949 r. byli w awangardzie „wiązanego

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Świat jest dziś tchórzem podszyty. Powstańców warszawskich podziwiamy za odwagę, ale nasz świat jest tchórzem podszyty. Ludzie nie mówią otwarcie, co myślą, w co wierzą. Całą masę rzeczy powiedzą ci tylko prywatnie i szeptem. Znam to zjawisko z komuny i złości mnie, że wróciło. Zniewolony umysł – pewnych rzeczy się nie mówi, choć się je myśli. Wróciła milcząca większość, czyli trzyma nas za gębę jakaś krzykliwa mniejszość, której się wszyscy boją podskoczyć.

Igrzyska. Nareszcie ktoś tam w Paryżu zareagował tak jak ludzie w domach oglądający transmisję. Gdy do pojedynku bokserkiego z kobietą wystawiono mężczyznę, trener nie wytrzymał i wskoczył na ring. Zastąpił swoją zawodniczkę własnym ciałem. Stał naprzeciw faceta udającego kobietę i krzyknął: ZE MNĄ WALCZ, TCHÓRZU. JAK FACET Z FACETEM. Chcesz pobić kobietę i zdobyć medal? Ze mną walcz, nie z nią!

Potem na konferencji prasowej wyjaśnił, że to niegodziwie, by faceci okładali pięściami kobiety. Niegodziwie, niebezpieczne, nieuczciwie. Żaden trener, żaden sędzia, żaden minister sportu nie powinien dopuszczać do takich sytuacji. Z jednej strony dziewczyna, a z drugiej mężczyzna, który podaje się za kobietę. Na pierwszy rzut oka widać, że to facet, ale jeżeli ktoś nie dowierza, może to przeczytać w oficjalnych dokumentach, z których wynika, że „został dopuszczony do zawodów jako osoba transpłciowa”.

I to jest zawsze robione tylko w jedną stronę – wyłącznie



FOT. W. CEJROWSKI / LUDJANOSZAW.SOSIKI

faceci zgłaszają się do zawodów jako kobiety, a nie słyszało o przypadku odwrotnym, by kobieta ubiegała się o zapisanie do męskiej drużyny boks, zapasów, judo, do męskiej drużyny pływackiej, sztafety biegaczy. Rzecz jest oczywista dla wszystkich. Podział na drużyny męskie i żeńskie powstał w sposób zgodny z naturą. W głowie możesz sobie mieć dowolne myśli na temat własnej płci, ale w majtkach i w każdej komórce twego ciała masz od chwili poczęcia płeć, której nic nie zmienia.

Tego zdarzenia z dzielnym trenerem niestety nie było. Żaden trener ani działacz nie zareagował. Koleżanki tych dziewczyn bitych przez facetów też nie reagowały. Trenowały do poziomu olimpijskiego wiele lat, są odważne i twarde, mimo to dały się sterroryzować komitetom olimpijskim i ogólnej atmosferze. Trenerzy dziewczyn bitych przez facetów (boks, zapasy...) siedzieli w narożnikach i patrzyli, jak ich podopieczne uczestniczą w nieuczciwych pojedynkach. Wyszli na patalchów, dla których własna kariera jest ważniejsza od zasad fair play. Żaden nie powiedział STOP. Zaciśkali zęby i uczestniczyli w nieuczciwych zawodach do smutnego końca.

Jakiś świr lub cynik oświadczył, że poczuł się kobietą, a my pokornie ulegamy tej grze lub chorobie umysłowej? Naturalna reakcja to popukać się w czoło i ewentualnie zaproponować

pomoc psychiatry. Gdy wariat uważa, że jest Napoleonem lub kobietą, reszta społeczeństwa nie musi, a nawet nie powinna szanować jego opinii w tej sprawie. Reszta społeczeństwa ma się trzymać tego, co jest prawdą. Ktoś inny mógłby przecieź oświadczyć, że czuje się nastoletnią dziewczynką. Czy wtedy wpuścimy starego capa do natrysków dla nastolatek?

Na igrzyskach w Paryżu było kilka pobić karalnych. Telewizja nie powinna transmitować przemocy wobec kobiet.

Prezydent Andrzej Duda uczestniczył w uroczystości otwarcia igrzysk. Gdy profanowano religię katolicką, siedział i patrzył. Powinien wstać i wyjść. Reprezentował polski naród i polskie państwo, jest strażnikiem konstytucji, a nie osobą prywatną. Konstytucja nie pozwala na znieważanie religii. Większość wyborców Andrzej Duda to katolicy, większość obywateli RP to też nadal katolicy, choć z roku na rok coraz mniej. Duda nie wstał i nie wyszedł. Może się nie orientował, co ogląda, ale potem, gdy już się zorientował, nadal nie zrobił nic stanowczego, jednoznacznego. Był jak ten trener, który siedzi cicho w narożniku, patrzy biernie, nie staje w obronie.

Co mógł zrobić? Wiele rzeczy uczciwych, godziwych, godnych, ważnych. Dostał to stanowisko właśnie po to, by przy niewielkich uprawnieniach prezydenta robić mimo wszystko to, co zrobić się da –

godnie reprezentować państwo i naród, a nie siedzieć potulnie w narożniku. Nie ryzykuje już niczego. Jego kariera dobiega końca. Być może dadzą mu jakąś synekurę zagraniczną, choć nie sądzę, bo PiS nie ma dobrych notowań na świecie. Więc po co ktokolwiek miałby dawać Dudzie prezenty po zakończeniu kadencji? Teraz, gdy już Duda nie ma nic do stracenia i niczego nie ryzykuje, mógłby wreszcie zrobić coś pożytecznego. Na przykład wstać i wyjść na oczach kamer, gdy w trakcie otwarcia igrzysk profanowano chrześcijaństwo. A jeśli nie przeszkadzała mu obrzydliwa inscenizacja „Ostatniej wieczery”, to powinien być przynajmniej zbulwersowany tym, że do tej inscenizacji wzięto małą dziewczynkę, którą otaczała grupa zboczonych przebiezańców. Niektóre rzeczy są absolutnie nieodpowiednie dla dzieci, a tam użyto dziecka. Państwo to odbierają inaczej? Wszystko w porządku?

Są przykłady tego, jak może się w takich okolicznościach zachować człowiek porządny. Oto cytat z sieci, jeden z wielu, bo bardzo wielu widziało, zauważyło i doceniło gest samotnego człowieka klęczącego na korcie tenisowym: „Znałem Krzyża na oczach ponad miliarda widzów tenisista Novak Djoković zrobił dla wiary w Boga więcej niż milczący tchórz z Watykanu”.

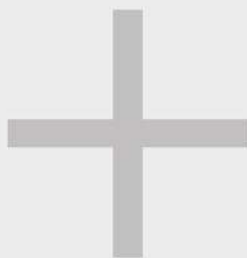
Djoković ma do stracenia o wiele więcej niż Duda, a jednak nie ogląda się na okoliczności. Jest dzielny, odważny, prawy. Jest wzorem dla wielu.

W Polsce kibole prezentują na piłkarskich trybunach wzór postaw dużo lepszy i przekaz dużo bardziej treściwy i patriotyczny niż każde przemówienie prezydenta Dudy. Chwała bohaterom! ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISIĘCIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA DO RZECZY



~~514~~ zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

KS. BOGUSŁAW KOWALSKI W ROZMOWIE
Z KATARZYNĄ SZKARPETOWSKĄ:

„CHŁOPAK Z PRAGI”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

233,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 281 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty,
przedłużymy Ci obecnie trwającą
prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@mpg.pl

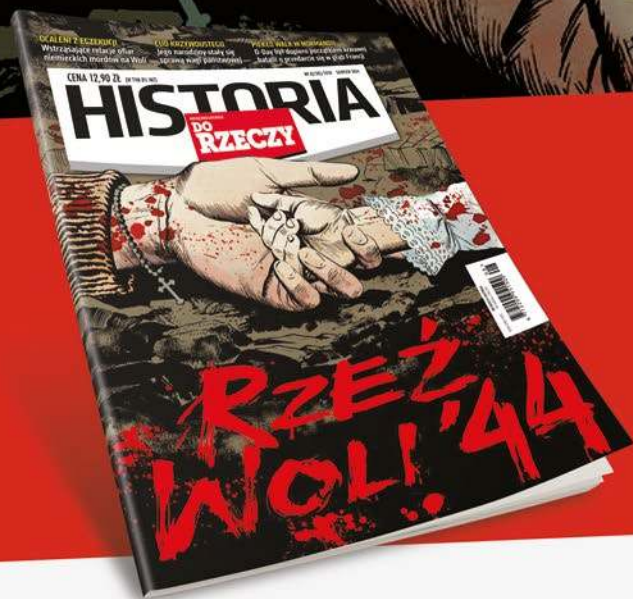
TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)

INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 4f778cf24c

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



NIEMIECKIE LUDOBÓJSTWO NA WOLI

Zgładzona dzielnica – Piekło tamtych mordów przyćmiewa wszystkie inne niezliczone zbrodnie popełnione w sierpniu i we wrześniu 1944 r. na mieszkańcach stolicy Polski

„To Bóg mnie tak poprowadził” – Cudownie ocaleni z zagłady Woli do końca życia dawali świadectwo o cierpieniach polskich ofiar

Niezwykłe narodziny syna Marsa – Czy przyjście na świat Bolesława Krzywoustego było efektem interwencji św. Idziego?

Licytacja Piłsudskiego – Sto dziesięć lat temu oddziały strzeleckie wyruszyły na wojnę z Rosją. Dziesięć dni później powstały Legiony Polskie

Cesarz legenda – Barbarossa był ostatnim niemieckim władcą, który usiłował zrealizować wizję uniwersalnego cesarstwa w starym stylu

Swastyka i trójkąt – Pod koniec wojny dość nieoczekiwanie drogi Niemców zeszyły się ze ścieżkami jednego z ich dotychczasowych wrogów – UPA

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**